STANISŁAW ADAMCZEWSKI

SYMPOZJON

WYBÓR PROZAIKÓW POLSKICH WIEKU XIX I XX

WYDANIE II
LWÓW - WARSZAWA 1920

BARI 1946

SEKCJA WYDAWN. 2 KORP.

M. Walczakowa

BIBLIOTEKA POLSKA-POSK
W LONDYNIE
WYMIANA MIĘDZYBIBLIOTECZNA

STANISŁAW ADAMCZEWSKI

SYMPOZJON

WYBÓR

PROZAIKÓW POLSKICH

GIMNAZJUM BIELIZNIARSKIE W MASINDI
322/1

WYDANIE II

LWÓW - WARSZAWA 1928

SEE
364/Ser/Pd
365/Skr

BARI 1946

SEKCJA WYDAWNICZA 2 KORPUSU

ADA
891-856

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

1133502

„... Szeregi martwe ksiąg na półkach bibljotecznych, zasute pyłem. Obojętne, głuche grzbiety oprawy. Zgasłych myśli popioły... Ale - co to? Wpatrz się tylko młodemi oczyma: budzą się dusze uspionych ksiąg! Z pod pyłu wzbija się płomień gibki - znicz myśli, czujna zaduma o losach świata, człowieka, ducha. Wsłuchaj się uchem duszy młodej w głosy tych ksiąg: te księgi żyją! Ciebie wołają milczącą mową swych kart; a tyle tonów jej, tyle rytmów, tyle jej brzmień, ile odrębnych imion. Równe, miarowe akcenty myśli badawczej, pilnie schylonej nad zagadkami dziejów, twórczości i życia; to znowu twarde łamanie się z prawdą w mozole ducha, upadki, wzloty, ekstaza i gorycz, znój poszukiwań i radość poznania. A zawsze - i tu, i tam - troska żarliwa o ludzkość, o naród, - o twoje serce! Wsłuchuj się w trudną a piękną poezję prozy, w muzykę jej delikatną. Wnikaj przez słowo w bogatą różność umysłów pisarskich, ucz się postrzegać odcisk odmienny własnego ich czasu na każdym z nich, a może tem snadniej siebie samego poznasz i swoją drogę odkryjesz. Lecz nadewszystko wmyśl się w istotę tych ważnych spraw, o które toczy się wysoki ów dyskurs. Do ciebie on zwrócony, dziedzicu wieków! Ciebie to wzywają to księgi do uczestnictwa w niemilknącym sympozjonie pokoleń, ciebie to właśnie zwerbować pragną do rycerskiego zakonu pracowników ducha. Tobie zwierzają słodki ciężar trosk swych serdecznych, pasyj i ukochań, abyś, w dziedzictwo to wrosłszy, tworzył je dalej i nowym zastępom przekazał. Wczytuj się więc w te karty, wżywaj, rosnij duchem!"

WYKAZ PORZĄDKOWY AUTORÓW I TYTUŁÓW.

Str.

Przedmowa . . . . . .

J A N Ś N I A D E C K I.

1. Z Listów o języku polskim. 1
2. O filozofii. 4

M A U R Y C Y M O C H N A C K I.

1. O "Marii" Malczewskiego 11
2. Przedmowa do dzieła "Powstanie narodu polskiego". 20

J O A C H I M L E L E W E L.

Z pism i przemówień emigracyjnych:
a) Odezwa Komitetu narodowego do Rosjan. 24
b) Mowa na obchodzie 2-giej rocznicy rewolucji listopadowej. 28

A D A M M I C K I E W I C Z.

1. Z Kursów literatury słowiańskiej:
a) Rok trzeci, lekcja 2 31
b) Rok czwarty, lekcja 2. 36
c) Rok czwarty, lekcja 12 52
2. Z korespondencji:
a) Do Bohdana Zaleskigo, 7/I 1840 51
b) Do jenerała Skrzyneckiego 23/III 1842 54
c) Do pani Konstancji Wodpol, X 1851. 53
d) Do pani Konstancji Wodpol, I 1852. 54

J U L I U S Z S Ł O W A C K I.

Z listów do matki:
a) 17 lutego 1837. 56
b) z maja 1845. 60

Z Y G M U N T K R A S I Ń S K I.

Z listów do Adama Potockiego:
a) 17 sierpnia 1838 63
b) 8 września 1838. 66

B R O N I S Ł A W F E R D. T R E N T O W S K I.

Z dzieła p.t. "Chowanna":
Wychowanie wszystkości w istocie młodzieńca. . . . 69

A U G U S T C I E S Z K O W S K I.

Z dzieła p.t. "Ojcze nasz":
a) Rozdźwięk chwili obecnej 71
b) Dwie epoki zna dotąd historia. 74
c) Zadanie trzeciej epoki 77

J Ó Z E F I G N A C Y K R A S Z E W S K I.

O powołaniu literackim. 80

J Ó Z E F S U P I Ń S K I.

O pracy. 86

K A R O L S Z A J N O C H A.

Ze Szkiców historycznych:
Jak Ruś polszczała. 93

A N T O N I M A Ł E C K I.

Z dzieła "Juliusz Słowacki":
Lechici i Wenedzi w tragedii Słowackiego. 103

W A L E R I A N K A L I N K A.

Przedmowa do "Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta" 109

S T A N I S Ł A W T A R N O W S K I.

O "Ślubach panieńskich". 119

JULIAN KLACZKO. Str.
Z książki "Rzym i Odrodzenie":
Pod sklepieniem kaplicy Syksytyńskiej. 126
JÓZEF SZUJSKI.
Z pism politycznych:
Dawna Rzplita a jej pogrobowce. 136
PIOTR CHMIELOWSKI.
Przekonania i dążności pozytywistów warszawskich. . . . 150
JULIAN OCHOROWICZ.
O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii . . 167
BOLESŁAW PRUS.
1. Z Kronik tygodniowych:
a) Rzut oka na Ujazdów. 194
b) Wieża paryska. 197
2. Z książki "Najogólniejsze ideały życiowe":
a) Rola krytyki literackiej. Sztuka czytania . . . 201
b) Charaktery narodowe 202
c) Wiara w przywileje. 206
HENRYK SIENKIEWICZ.
Słowacki-Helios. 208
ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI.
1. Z felietonów "Liberum veto":
Kosmopolityzm. 212
2. Nad uczczonym grobem 214
STANISŁAW SZCZEPANOWSKI.
Z książki "Nędza Galicji":
Konkluzje. 218
ROMAN DMOWSKI.
Z książki "Myśli nowoczesnego Polaka":
Charakter narodowy 225
STANISŁAW WITKIEWICZ.
Z dzieła p.t. "Matejko":
Analiza obrazów "Batory pod Pskowem" i "Hołd pruski". 233
KAZIMIERZ MORAWSKI.
Głos żywy i słowo nieżywe w starożytności i dzisiejszym świecie 239
ALEKSANDER BRÜCKNER.
Dawność i znaczenie języka polskiego. 248
OSWALD BALZER.
1. Kultura słowiańska i germańska 260
2. Z przemówienia na pierwszym posiedzeniu publicznym Towarzystwa Naukowego we Lwowie 272
IGNACY CHRZANOWSKI.
Ze studium "Charakterystyka romantyzmu":
a) Romantyzm jako reakcja przeciw oświeceniu . . . 278
b) Indywidualizm romantyczny. 288
WALERY GOSTOMSKI.
Z rozprawy: Arcytwór dramatyczny Wyspiańskiego "Wesele" 294
IGNACY MATUSZEWSKI.
Prus i Sienkiewicz (paralela). 312
STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.
Z gleby kujawskiej. 323
STANISŁAW BRZOZOWSKI.
Z książki "Legenda Młodej Polski" 336
STEFAN ŻEROMSKI.
Sprawa Kasy imienia Mianowskiego. 344
TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI.
Balzac w anegdocie. 348
KAZIMIERZ TWARDOWSKI.
Czy człowiek postępuje zawsze egoistycznie?. 356

J A N Ś N I A D E C K I /1756 - 1830/.

1. Z listów o języku polskim.

Do redaktora „Pamiętnika Warszawskiego".

Z Kruszwicy, 23 listopada 1816 r.

Mości Panie Redaktorze!

Jeżeli Opatrzność, przebłagana długiemi cierpieniami Polaków, zachowa ich w tym rządzie sprawiedliwości i swobody, do którego przyszli, jeżeli ich język, pod berłem Zygmuntów i Stanisława Augusta tak prosty, jasny i wyrazisty, utrzyma te piękne swoje zaszczyty z większą jeszcze okazałością i mocą, które w nim ma zaszczepić talent narodowy, zbogacony wiadomościami tylu nauk, posiłkowany głęboką rzeczy uwagą i prowadzony czystym, a na żadne przewinienia nieubłaganym smakiem: w tej przyjemnej perspektywie gruntownego i smakownego oświecenia uważani nasi następcy cóż powiedzą na wiek nasz, kiedy im przypadkiem wpadną w ręce mnożące się pisma dzisiejszych „reformatorów" języka, z coraz inszym szamerunkiem ortograficznym, napełnione niezrozumianemi nowej fabryki słowy, które ucho, smak i proste rozeznanie znieważają i dręczą? Bać się trzeba, żeby sobie nie pomyślili, że albo jakieś uczone barbarzyństwo napadło na niwę Kochanowskich i Krasickiego, albo żeśmy na jakiś czas zdziecinnieli, kiedy rzecz tak poważną jak język, który jest istotną cechą narodu, jego chlubą albo zawstydzeniem, który do swojej uprawy tyle potrzebuje nauki, talentu i zastanowienia, my wzięliśmy za cacko i bawidło, i postępujemy sobie z nim, jak dzieci z lalkami, przebierając je w coraz inszą i w coraz śmieszniejszą postać! 1/

Trapiłem się niemało tym smutnym przyszłości widokiem, przechodząc się nad brzegiem Gopła, którego kołyszące się wody zdawały się malować moje dumanie, miotane niespokojnością. Aleć przecież pocieszył mnie i wyprowadził z tej obawy Jędrzej Śniadecki, który w przemowie do swej Chemji, trzeci raz wydanej, napisał, że te nowe stworzenia i niedonoszone płody, zostawione samym sobie i publicznemu zdaniu, zginą w samym kwiecie swojej młodości. Ile moja bojaźń krzywdziła zdanie publiczne, tyle mu oddał sprawiedliwości ten Autor. A jeżeli prawdę powiedział Buffon 2/, że styl i język nadaje trwałość dziełom i nieśmiertelność autorom, nasi nowomodni pisarze składają osobliwsze jakieś w świecie literackim bractwo; bo nie piszą dlatego, żeby żyli po śmierci, ale żeby umarli za życia. Życząc im wiecznego odpoczynku, umyśliłem przełożyć Waćpanu, jak wiele na tem zależy dostojności narodowej, aby prawdziwie dobrzy i znakomici pisarze chronili się w swoich dziełach wszelkich szkodliwych nowości, boby te szerzyły zarazę i rozpościerały obelgę na nauki i na ich kapłanów. Powszechność uczonych dzieli się jak atmo-

sfera ziemska: na krainę niską i poziomą, zawsze grubą, ponurą i obcemi wyziewami skażoną, i na krainę gòrną, siedlisko czystego żywiołu i przezroczystości. Jest to powołaniem dobrych pisarzy trzymać się w tej wynioślejszej sferze, i wylewać na ziemię dary nauki, rozwagi, smaku i talentu: zgoła wyrabiać i posuwać dzieło prawdziwej oświaty; bo publiczność uczy się myślić i sądzić, kiedy autorowie nauczyli się dobrze pisać!

Jasność jest najpierwszym i najwalniejszym przymiotem mowy, która nie powinna ustępować żadnej innej zalecie. Rozpływamy się wewnątrz z radości, czytając prosty i jasny opis rzeczy: pojęcie nasze, niczem nie zatamowane, trzyma jak przykutą do pisma uwagę. Dlaczegoż? bo prawda bez trudu i mozołu zawsze jest umysłowi ludzkiemu przyjemna; i mamy się wtenczas za tak biegłych, jak piszący, kiedy go łatwo pojmujemy. Odłòżmy teraz nabok język naukowy, jako nie tak niebezpieczny, bo rozszerzona gruntowna nauka nie ścierpi długu niedorzecznych i lekkomyślnie narobionych wyrazòw; a zastanòwmy się kròtko nad językiem powszechnego pojęcia. Cokolwiek mąci jego jasność, jest mowie ludzkiej szkodliwe: wszystkie niezwyczajne i nowej fabryki słowa, zatrzymując pojęcie, są to brudy, odbierające przezroczystość naszym myślom. Wtrąćmy do najpiękniejszej myśli niezwyczajne słowo, a zniżymy znacznie jej cenę; bo, dzieląc uwagę między słowo i myśl, osłabiamy wrażenie. Albo więc piszemy bez myśli i niezwyczajnemi słowy łudzimy uwagę czytelnikòw, i wtenczas popełniamy kuglarstwo; albo ważne i piękne myśli ubieramy w słowa niezwyczajne i powszechnie niepojęte, i wtenczas nie umiemy przedać naszego towaru.

Można użyć powszechnie rozumianych wyrazòw i czystego języka, a przecie ciemno pisać: i natenczas cała wina jest w myśleniu i niedokładnem objęciu rzeczy. Są głowy tak bystre i szczęśliwe, które odrazu chwycą myśl głęboko i z dobrej strony, i tę bez trudności wyleją w całej jasności, mocy i prostocie. Są znowu talenta albo tępsze albo nie tak wprawne, które muszą długo i na wszystkie strony tę samą myśl obracać, nim trafią na jej widok najprostszy: i choć im ciężko przychodzi dobrze napisać, ten atoli mozòł nie wydaje się w ich pismach, co bardzo właściwie nazwał Stanisław Potocki 3/ „trudną łatwością". Ale zgodziwszy się na to, że trzeba wprzòd dobrze pomyśleć, żeby dobrze napisać, są w języku naszym zdradliwe na jasność sidła, które należy pisarzom poznać, aby ich uniknąć.

Naprzòd. Rozmaitość zakończeń daje językowi naszemu tę swobodę, że wyrazy, w jakiemkolwiek miejscu położone, czynią mowę zrozumiałą. To jednak prawidło nie jest powszechne, jeżeli zważać będziemy na różne stopnie zrozumiałości; i jest pewien szyk i porządek słòw, którego się przestąpić nie godzi, jeżeli chcemy wystawić myśl jaśnie dla pojęcia, a przyjemnie dla ucha.

Powtòre. Widzę w wielu dobrych pismach nadto zagęszczony

przypadek, który nazwę ubocznym /casus obliquus/, kiedy przymiotnik nie zgadza się z rzeczownikiem, ale się każe domyślić drugiego: np. dlatego, że mówimy słońce jest gwiazdą, mówimy także, zamiast słońce jest świetne, słońce jest świetnem, gdzie się dorozumiewamy: ciałem albo słońcem. Ponieważ tu ani ciało ani drugi raz słońce jest niepotrzebne, grzeszymy tu zbytkiem słów, czyli popełniamy pleonazm. Gdy zaś powiedział Fenelon 4/, że dobrze pisana mowa jest ta, w której nic nie masz do ujęcia ani do przydania, a Cicero nawet osądził, że w mowie więcej szkodzi nadto, niż mało /magis offendit nimium quam parum. Brutus 110/, więc ten sposób pisania, lubo nie jest przeciwny mowie polskiej, często atoli i niewłaściwie użyty zaciemnia jej jasność. Pilna uwaga ostrzeże piszącego, że ile razy drugi domysłowy wyraz jest mowie niepotrzebny, tego sposobu pisania używać się nie godzi.

Po trzecie. Niemało mowę ćmi i szpeci cudzoziemczyzna, to jest tok i sposób wyrażania myśli wzięty z obcych języków, a naszemu niewłaściwy. Źle, zdaje mi się, sądzą ci, którzy rozumieją, że się język bogaci, kiedy do swych ubiorów przyjmuje obce. Jest to owszem najkrótsza i bita droga do jego zguby, bo przydając mu fizjonomje cudzą, zacieramy jego własną, zaniedbujemy i osuszamy źródło prawdziwych jego bogactw; i jakby lud prosty pomieszany z obcemi narodami, układamy gadaninę zamętu, powikłaną i do zrozumienia trudną. Wciska się do naszej mowy ta zaraza albo przez niebaczność i lenistwo piszących, albo przez ubieganie się nie tak za myślą, jako raczej za polubionem słowem obcem, które nas wciąga w cały sposób mówienia cudzoziemski. Przydać jeszcze do tego należy i tę walną przyczynę, że w czytaniu dzieł zagranicznych puszczamy się na rabunek i na literackie łupiestwo, zamiast, cobyśmy mieli za podnietę pisarzów zagranicznych pracować na zdobycz i zarobek własnej rozwagi i talentu. Wynalazki w sztuce pisania co do wyrazów nie zależą na wymyślaniu nowych, ale na całe nowem użyciu już powszechnie wiadomych: do tego nowego użycia prowadzi nas albo nowa myśl, albo tkliwość, albo malarski imaginacji widok. I tym to sposobem wielcy pisarze francuscy, nie przydając nowych słów, niezmiernie zbogacili swój język. Może się jednak czasem trafić, że człowiek, zatopiony w jakiej myśli, rozpalony imaginacją i czułością, wpadnie na całe nowy wyraz w mocnem tej myśli wynurzeniu, i na ten czas wyraz ten będzie szczęśliwym wynalazkiem, bo będzie natchnieniem talentu. Ludzie nie są to anioły, czyli stworzenia, posiadające same tylko władze duchowe: są oni jeszcze obdarzeni imaginacją i czułością, i te wszystkie piętna człowieczeństwa być powinny wyryte w ich języku. A zatem nie można z samym tylko cyrklem Euklidesa zapuszczać się w krainę wynalazków językowych. W dobre utworzenie nowego wyrazu wchodzi muzyka, żeby dogodzić uchu, malarstwo, żeby zachwycić imaginację, i głębokie rzeczy pojęcie, żeby zaspokoić rozum; i dlatego słusznie powiedział pisarz w Żywocie Kołłątaja 5/, że na stworzenie dobrego wyrazu tyle prawie potrzeba talentu, ile na stworzenie nowej myśli, i że to nie jest rzeczą wszystkich krzątają-

cych się około nauk. Tuby można przebiec różne zawody i popisy, w których język nasz, tak świetny w dobrych pisarzach polskich, mógłby się jeszcze najlepiej wydać, rozszerzyć i zbogacić. Ale nie chcę W. M. Pana nudzić nadto przedłużonem pisaniem.

Zygmunt Szczeropolski.

1/ Są ludzie, którzy ani żadnej dobrej przyczyny swemu mniemaniu nie są zdolni naznaczyć, ani się żadnemi dowodami od niego odwieść nie dają. Są to głowy, stworzone do dziwactwa, nie do rozumowania; i dla nich powołanie literackie, jako obrane na przekorę przyrodzeniu, nazwać można skaraniem boskiem /p. a./.

2/ Sławny francuski pisarz naturalista XVIII w.; od niego to pochodzi znane powiedzenie, że „styl to człowiek".

3/ Owczesny wybitny literat, mówca i mąż stanu. -

4. Znakomity pisarz francuski XVII w., autor poczytnej niegdyś książki „Przygody Telemaka".

5. Własny utwór autora niniejszego listu, ukrywającego się tu - jak z podpisu widać - pod pseudonimem.

2. O FILOZOFJI.

/Rzecz czytana na Sesji Literackiej Uniwersytetu Wileńskiego dnia 27 kwietnia 1819 r./.

Ledwo nie we wszystkich odnogach wiadomości ludzkich Grecy byli w znanej nam starożytności najuczeńszym narodem. Świadczą to ich pisma, które nas doszły albo w ich języku, albo w przekładaniu łacińskiem lub arabskiem. To, co nam powiadają o nauce Indjan, Egipcjan, Chińczyków i Chaldejczyków, po ściślejszem roztrząśnieniu dowodów, jest tylko domysłem i słabo wspartem mniemaniem. Tak nazwana nawet astronomja indyjska pokazuje się dziś złą kopją nauki Greków, którą tam zanieśli Arabowie.

Uczeni greccy aż do czasów Pytagorasa nazywali się mędrcami. Pierwszy Pytagoras, żyjący blisko 550 lat przed erą chrześcijańską, obrał sobie tytuł skromniejszy, i nazwał się miłośnikiem mądrości czyli filozofem. Nazwisko to, jak pisze św. Augustyn, nadawano potem ludziom jakąkolwiek nauką celującym: skąd powstało imię filozofja, wyrażające miłość mądrości. - -

Z naukami Greków przeszło do Rzymian, a potem i do nas nazwisko filozofji, brane w rozmaitem znaczeniu. Najwłaściwiej jednak służyło tym naukom, które zostawił w swych dzie-

łach Arystoteles, obejmującym wiadomości o duszy, o rzeczach przyrodzonych i obyczajach, t. j. nauki umysłowe, fizyczne i moralne razem wzięte. Bo mądrość, uważana w nauce, jest to dzieło wywartego i ćwiczącego się rozumu w poznawaniu rzeczy jego pojęciu dostępnych, i właśnie to wszystko zawiera podział nauk przez Arystotelesa podany. Filozofja więc zamykała w sobie logikę, metafizykę, fizykę i etykę. Oddział filozoficzny po wszystkich dawnych uniwersytetach obejmował dopiero wyliczone nauki, do których przydano matematykę, jako naukę prawdziwie umysłową, która jest i najlepszą logiką praktyczną i do fizyki nieodbicie potrzebną. Ale jeszcze w każdej prawie nauce chciano mieć filozofję, i to znaczenie, choć szczuplejsze i ograniczone, nie sprzeciwia się wyżej położonemu, bo to jest ogólniejszy widok jakiejkolwiek szczególnej nauki, odniesiony do początków pewnych i jasnych, przez rozum ustanowionych. Każda przyrodzona nauka jest dzieckiem rozumu, kiedy jest pasmem prawd i twierdzeń, wywinionych przez czyste pojęcie i prawe wnioskowanie.

Jeżeli nazwisko filozofji przeniesiemy do człowieka, natenczas mądrość zależy na okazaniu rozumu w znajomości rzeczy i razem w postępkach życia; bo to są dwa istotne i nierozdzielne warunki do utrzymania towarzyskiego porządku i do szczęścia osobistego, do których dąży człowiek rozsądny; bo na tej harmonji myśli i czynów zależy pokój duszy, najpierwsze dobro człowieka, i zależy jeszcze cała godność natury ludzkiej. Miłość więc mądrości prowadzi człowieka do ciągłego ubiegania się o doskonalenie rozumu, który go wynosi do najpierwszego rzędu stworzeń ziemskich, i o pokazanie tego rozumu w swych sprawach i postępkach, które go utrzymują na tym tronie pierwszeństwa. Słowem filozofja jest to nauka prawego myślenia i życia, w ciągłej praktyce okazywana. Prawdziwy więc filozof trudni się z przepisu Dekarta 1/ nie urządzaniem świata, ale urządzaniem swych żądz i chuci: patrzy na nieprawości, ale z drogi sprawiedliwości nie schodzi, uzbraja się stałością i męstwem tak na nieprzyjazne ciosy, jak na zwodnicze uśmiechy fortuny, szuka szczęścia osobistego w pełnieniu swych obowiązków i w spokojności sumienia, i nigdy z oczu nie spuszcza szacunku samego siebie.

Czyli więc zapatrywać się będziemy na filozofję jako na naukę: jest ona dostojnem i najważniejszem zatrudnieniem człowieka około wydoskonalenia samego siebie. Jeżeli ją uważać będziemy w człowieku: jest ona owocem nauki i rozwagi, okazanym w myśleniu i postępowaniu. Tak w pierwszem, jak w drugiem znaczeniu, jest chlubnym zarobkiem i najpiękniejszym zaszczytem natury ludzkiej.

A przecież są ludzie, u których filozofja i filozof są jeszcze dziś nazwiskami szyderstwa i obelgi: zadają jej w mowach i pismach występki zepsutej moralności i przewrotnego myślenia, liczą na jej karb najhaniebniejsze zbrodnie i zgorszenia. Te zarzuty, złośliwe pomyślane, a prawie niczem nie poparte, są to szkodliwe uprzedzenia, zarażające opinję publiczną.

Jest zdaje mi się walną powinnością ludzi, naukami zajętych, zapobiegać, aby się fałszywe zdania nie szerzyły w narodzie; bo pierwszą własnością oświecenia jest mieć dobre pojęcie tego, o czem się mówi i pisze, i sądzić o rzeczach nie z uprzedzenia, ale z przekonania. - -

Powierzchowni statyści[2] zelżyli w wieku naszym filozofję, przypisując jej niesłusznie początek i okropności rewolucji francuskiej. Kto widział Francję przed rewolucją nie w Paryżu, ale po prowincjach, kto czytał dzieło Neckera[3] o administracji skarbu, kto patrzył na spory parlamentów, obstających przy prawach fundamentalnych monarchji, i na usiłowania rządu, wyłamującego się z tych praw, ten zapewne w książkach i marzeniach ludzkich przyczyn rewolucji szukać nie będzie. Wojny zdobyczy i dumy Ludwika XIV, kosztowna okazałość jego dworu, po śmierci zaś Ludwika XIV rozrzutność i marnotrastwo tak Regenta, jak miękkiego panowania Ludwika XV, obarczyły Francję ogromnemi długami i wydatkami, przewyższającemi dochody. Ukrywali chytrzy ministrowie tę ruinę i bankructwo skarbu, ratując i okrywając jego niedostatek corocznemi pożyczkami, które pomnażały masę długów i przydawały coraz więcej ciężaru już przeładowanemu podatkami krajowi. Któż te ciężary znosił? Pływająca w dostatkach szlachta nic nie płaciła; bogate duchowieństwo, wolne także od podatków, składało na swych zborach niewielkie dla skarbu ofiary pod imieniem „daru łaskawego". Płacił więc sam lud ogromną sumę, przeszło sześćset miljonów franków rocznie wynoszącą i nałożoną ledwo nie na pierwsze życia potrzeby, jaką jest np. sól. Ta suma roczna była więcej jak podwojona zdzierstwem i chciwością arendarzy, dostarczających przed czasem rządowi gotowizny i tę potem z niezmierną lichwą i uciskiem wydzierających z ludu, przez licznie rozstawionych po kraju poruczników. Prawo myślistwa, obwarowane dla króla i książąt jego krwi na rozległych obszarach kraju, skazywało na kajdany i galery tych, którzyby się ważyli albo dzikie zwierzęta zabijać, albo ich rozmnożeniu przeszkadzać. Liczne stada rozpłodzonego zwierza bujały swobodnie po polach, zjadały i tratowały urodzaje biednych rolników, niszczyły ich fundusz do żywienia siebie i dzieci, i do opłacania tylu dolegliwych podatków. Świecił się Paryż zbytkiem, przepychem i okazałością, a drogi publiczne po prowincjach napełnione były żebractwem i jękiem zgłodniałego i nędzą przygniecionego ludu, do reszty odartego i z chat wiejskich rozpędzanego przez poborców.

„Z niesprawiedliwości nakoniec rodzi się niepodległość" - powiedział Voltaire; i to zdanie, stwierdzone dziejami dawnych i dzisiejszych narodów, rozwiązuje zagadkę. Przebrana miara ucisku i nieład skarbu, potrzeba zwołania stanów generalnych na zaradzenie złemu, nakazana dawnemi ustawami monarchji i natarczywem dopominaniem się całego narodu, sprowadziły rewolucję francuską; opuszczenie cnotliwego i najlepszego z królów przez swoją familję i przez ludzi, obsypanych dobrodziejstwami dworu, podzieliło naród na partje;

a nieuwaga zgromadzenia konstytucyjnego, dopuszczającego klubòw i wyborów zapalonemu i na partje podzielonemu narodowi, ustępującego swych miejsc intrygantom i kuglarzom politycznym, przytem jeszcze zapalona wojna obca i domowa, dopełniły reszty nieszczęść, które się rozlały na całą Europę.

Gdzież tu są skutki i występki filozofji? Jestże jej rzeczą i siłą zatrzymać lub odmienić bieg natury ludzkiej, jątrzone systematyczną niesprawiedliwością serca ukoić, albo uśpić rozbolałą cierpliwość? Byłoż to winą filozofji, że najmajętniejsze klasy mieszkańców nie przykładały się do wydatków krajowych? że wygòrowany przepych i zbytek jednych jątrzyły i oburzały drugich, przygniecionych nędzą i uciskiem? że intrygi, obłuda i rozwiązłość wyższego duchowieństwa, zepsute obyczaje wielu zakonòw osłabiały i niszczyły tę cześć dla religji, którą drudzy szanowni plebani i pasterze usiłowali wpajać swem przykładnem życiem, dobroczynnemi posługami i nauką prawdziwie apostolską? Byłoż to radą filozofji, że naród trzydziestu miljonòw ludzi, zamożny w dostatki, odwagę, w naukę i talenta, tkliwy na obrazę swego honoru, zamieniono na naród żołnierski, który przez swòj charakter ani poniżenia ścierpieć, ani w pomyślności umiarkowania znaleźć nie umiał? Nazwiemyż filozofami tych naczelnikòw zbrodni i bezbożności w rewolucji, którzy się wyparli religji, sprawiedliwości i rozumu, żeby hańbili i uciskali własną ojczyznę i wyszli na zgorszenie i poczwary ludzkości?

Prawda jest zawsze dla ludzi i narodòw dobroczynna; a czysta filozofja, spokojnem jej opowiadaniem zajęta, nigdy nie wyzywa i nie wyciąga ludzi na scenę rozhukanych namiętności, gdzie cały jej wpływ ustaje i ginie.

Kiedy ucisk i niesprawiedliwość w państwie dojdą do tego stopnia, że życie towarzyskie staje się nieznośnym dla człowieka ciężarem, otwiera się przepaść straszliwego przesilenia, gdzie wściekła rozpacz gardzi rozumem i w rozjuszonym zapale wszystko wywraca, niszczy i pożera. Przechòd ludu z ucisku do rozpaczy i rozwiozłości zawsze był straszny i okrutny, bo to jest czas i pole rozpasanych srogich namiętności zemsty i nienawiści, któremi się posługuje ambicja ludzi złośliwych, torujących sobie drogę do opanowania zmordowanego zbrodniami i nieszczęściami ludu. Przez podobne zaburzenia przechodziły narody wtenczas jeszcze, kiedy nie było ani książek, ani filozofòw, a nawet, kiedy sami teologowie przewodzili i kierowali światem. Historja Grekòw i Rzymian, rzeczypospolitych włoskich w średnich wiekach, Anglji od trzynastego do siedemnastego wieku - aż do oczywistości tego wszystkiego dowodzą.

Strapiona filozofja patrzy z bólem na te nieszczęścia; zbiera z nich na przyszłość zbawienne rady i przestrogi, których nikt nie słucha po skończonem tragicznem widowisku. I dla tego ta sama kolej zaburzeń i nieszczęść wraca się i trapi państwa. Zdaje się, jakby te odradzające się wiekami klęski były przeznaczeniem dla świata, kiedy one są tylko

koniecznemi wypadkami tych samych przyczyn, z których ludzie, mogąc uleczyć się, nie chcą. Podobni do nałogowego pijaka, który wytrzeźwiony poznaje swoją namiętność, utyskuje na nią i płacze, a przecież wraca się do wkorzenionego nałogu i występku.

Jeżeli fałszywi statyści spotwarzyli filozofję, nierównie jej większą wyrządzają krzywdę teologowie, którzy niedowiarstwo przezwali filozofją, przypisują jej całą naukę bezbożności, wyszukują skrzętnie irreligji[4]/ tam, gdzie jej niemasz; nicują mowy i pisma nawet te, których nie rozumieją; wpajają publiczności podejrzenie na uczonych i na najznakomitszych pisarzy, zgoła szkalują pobożnie ludzi i nauki: i niby to wielki czynią religji zaszczyt i przysługę, wmawiając niebacznie w publiczność, że ten dar niebieski, to boskie prawidło sumienia i życia jest tylko dla nieuków i głupców. Prawdziwa filozofja zna granice ludzkiego pojęcia i za nie nie wykracza; zna słabość rozumu w rzeczach nawet jego dociekaniu zostawionych; a co krok ucząc się skromności, nie ośmiela się do przetrząsania tajemnic, od Twórcy sobie zabronionych.

Prawda, że byli ledwo nie we wszystkich wiekach pisarze i filozofowie, którzy zhańbili swoje pióro irreligją i bezbożnością, rozszerzyli zgorszenie i ośmielili rozwiązłość z niezmierną dla towarzystwa[5]/ klęską. Ale wykroczenia niektórych dają prawo do podejrzenia na wszystkich i do przezwiska zelżywego na całą naukę? Naczelnicy sekt, kacerstw i ledwo nie wszystkich od Kościoła katolickiego odszczepieństw wszakże to byli teologowie; godziż się dlatego nazwać teologię nauką odszczepieństw? i posądzać uczonych i sławnych teologów o to, że oni mogą nie być prawowiernymi synami Kościoła? Lekkomyślność jest w każdej sprawie, w każdej nauce szkodliwa, ale najszkodliwsza w teologji, bo tu zachodzi wielkie niebezpieczeństwo zrażenia i odstraszenia sumień bojaźliwych od nauk istotnie społeczności potrzebnych, niebezpieczeństwo krzywdzenia ludzi na dobrej sławie, najmilszej każdego w towarzystwie własności, a zatem przestąpienia najpierwszego i fundamentalnego prawa religji naszej, która od miłości Boga nie pozwala oddzielać miłości bliźniego.

Zdania ludzkie, pismem ogłoszone, wzięte nie luzem i pojedyńczo, ale odniesione do tego, co je poprzedza i co po nich następuje, mogą być religji przeciwne, a zatem ludziom i towarzystwu szkodliwe; natenczas jest chwalebną gorliwością i powinnością teologów ścigać takowe zdania, wystawić je w swych szkodliwych skutkach i siłą przekonania tamować szerzenie się zarazy i bezbożności. Ale też mogą być zdania, napozór tylko mylne, podlegające różnemu tłumaczeniu, które osnowa pisma i inne jego miejsca wyświecają i okazują jako niewinne. Natenczas sprawiedliwość każe wytknąć i wyróżnić znaczenie szkodliwe od niewinnego; ale nie posądzać pisarza o pierwsze, kiedy osnowa pisma tego nie stwierdza. Jest to zaiste rzecz w autorach naganna, a nawet dobremu pisaniu

przeciwna - wtrącać do dzieł poważnych zdania wieloznaczne i na złą stronę brać się mogące; ale znowu zastanawiając się głębiej nad giętkością myśli i mowy, przekonamy się, że ledwo jest myśl ludzka, którejby przez skrzętne lub złośliwe szperania na dwie strony obrócić nie można i przypisać autorowi to, czego on nigdy nie myślał. Szarpać natenczas i potępiać pisarza o to, co jest owocem cudzego przywidzenia, jest to naśladować owego tyrana Syrakuzy, który kazał zgubić człowieka za to, że mu się przyśnił jako buntownik. - -

Teologowie, przewodząc dawniej we wszystkich prawie naukach i wdając się w to, co do nich nie należy, tamowali oświecenie i postępek umiejętności i wystawiali wielkich a niewinnych ludzi na srogie prześladowania. Były czasy, kiedy powaga Arystotelesa w filozofji była u nich prawie naròwni ważona z powagą Ojcòw świętych w materji wiary: przeciwko pierwszej tak się nie godziło myśleć i postępować, jak przeciwko drugiej. Zdanie Ojcòw Kościoła w materjach filozoficznych kazali uważać za dowòd najmocniejszy, przeciwko któremu nic nie ważyły doświadczenie ani rozumowanie. Oparcie się fałszywej nauce przymusiło srogo prześladowanego, a pełnego religji Dekarta do opuszczenia własnej ojczyzny. Chociaż Bòg zostawił świat rozwadze i sporom ludzkim, chociaż św. Augustyn powiedział, że Chrystus nie chciał nas przez Ewangelję robić filozofami ani matematykami, ale chrześcijanami, a zatem, że księgi Objawienia nie są traktatem fizycznym, wszelako teologowie mieli naukę Kopernika za bezbożność dlatego, że Jozue to powiedział do ludu, coby dziś do niego wymòwił każdy astronom, nie chcąc się pokazać niezrozumiałym i śmiesznym[6]/. W tej zaciętości prześladowali i więzili Galileusza i kazali mu kłamstwo[7]/ przysięgą stwierdzać. - -

Potwarze i prześladowania ludzi uczonych zaczęli teologowie, przez co szkodzili religji, moralności i naukom. Uczeni wzięli się nakoniec do obrony: roztrząsnęli naukę teologòw, oddzielili w niej to, co jest prawdziwie boskie i religijne, od tego, co jest wymysłem i przywłaszczeniem ludzi, chcących nad światem przewodzić i panować, i stąd wypadły drogie i wielkie dla religji i społeczności przysługi; ale też stąd wyszło źròdło nieubłaganej na filozofję zawziętości. Otwòrzmy dzieje kościelne, a te nas nauczą, że żli, nieuważni i zapaleni teologowie więcej wyrządzili krzywdy Kościołowi i religji, niż wszystkie pisma niedowiarkòw, bo tych ostatnich bezbożna nauka mogła tylko obłąkać niektòrych ludzi, kiedy zwady, czcze i przesadzone w dawniejszych wiekach teologòw subtelności, wciągnienie władzy kościelnej do rządòw i spraw świeckich i rosnące coraz bardziej tejże władzy przywłaszczenia, od jej pochlebcòw popierane, poodrywały od jedności kościoła całe narody i państwa. - -
Przeczytajmy opisanie inkwizycji hiszpańskiej, a tam zobaczymy, jak ten prawdziwie piekielny trybunał zdeptał i połamał prawa Boga, towarzystwa i ludzkości, najpiękniejszy kraj Europy wypłenił z ludzi i pustkami napełnił. Duch filozoficzny, t. j. gruntownego i bezstronnego rozstrząsania rzeczy,

duch, mòwię, filozoficzny, prawdziwie chrześcijański, uratował resztę Europy od podobnego sądu i od barbarzyństwa dawniejszych wiekòw, rozbroił srogi fanatyzm, wstrzymał wylew krwi ludzkiej, poskromił wygòrowany ascetyzm, tłumiący miłość bliźniego i cnoty towarzyskie; ten to jeszcze duch filozoficzny powściągnął lekkomyślność, wprowadził wyrozumiałość, wròcił ludzi ròżnie wierzących do miłości braterskiej i oczyścił moralnosc ewangeliczną od tych przywar, ktòremi ją zarazili scholastycy. - -

Odwròćmy oczy od tego obrazu nieprawości, i dzieł ludzi, wszystkiego na złe użyć mogących, nie przypisujemy ani świętemu powołaniu, ani tak wielkiej i dostojnej nauce 8/. Każda nauka ma swoich pòłmędrkòw i kuglarzy, ktòrzy ją znieważają i psują, i ma także prawych czcicieli i wyznawcòw, ktòrzy ją z chwałą i pożytkiem doskonalą i szerzą. Własnością pierwszych jest powierzchowność, podłatana dumą i zuchwałością; przymiotem drugich jest gruntowność, ozdobiona skromnością i wielką przezornością w sądzeniu. Gruntowny teolog nie osławia filozofji, ale jej się uczy, jako sobie nietylko pomocnej, ale nawet istotnie potrzebnej. Potrzeba mu filozofji do roztrząsania i ustanowienia charakteròw 9/, przez ktòre rozeznaje się wiara prawdziwa od fałszywej, do zgłębienia i mocnego wystawienia pobudek zniewalających do wiary, do wyłożenia gruntownych początkòw, znamion i zasad pewności historycznej. Potrzeba mu filozofji do uwag krytycznych nad tem, czego dowodzi, żeby odrzucał dowody słabe i takie, ktòrychby użyć mogła religja fałszywa, do rozpoznania tego, co jest przykazem boskim, od tego, co jest przydatkiem ludzkim, do zgruntowania i zrozumienia zdań ludzkich, ròżne znaczenia mieć mogących, i do rozròżnienia tych, ktòre prawdziwie krzywdzą religję, od tych, ktòre jej w niczem nie naruszają. Potrzeba mu filozofji do zdrowego sądzenia o cudach, bo przyjmować skwapliwie i rozsiewać cuda zmyślone i niepotrzebe jest to osłabiać prawdziwe, na ktòrych się religja nasza opiera.

Wyliczone tu potrzeby wymagają po teologu rozległej nauki, czystego i trafnego rozumu, i tej bezstronnej i łagodnej wyrozumiałości, ktòra zniewala umysł i serce w duszach nawet nieprzyjaznych i upartych. Tacy to teologowie, światłem filozofji wsparci, są i będą zawsze przyjaciołami nauk i oświecenia; oni tylko umieją sprawę religji bronić i utrzymywać z tą mocą i godnością, jakie przystoją prawdzie, nieskalanej ani namiętnością, ani głupstwem. - - Tacy to teologowie zasadzają majestat religji nie na samych myślach i okazałościach nabożnych, ale razem na postępkach życia i na ścisłem zachowaniu wiecznych praw sprawiedliwości. W ich oczach nie ma prawdziwej religji zdrajca swojej ojczyzny, przekupny sędzia, mieszający pokòj familji pieniacz, wiarołomny urzędnik, myślący tylko o sobie, a zdradzający ufność kraju i monarchy. Nie ma religji w oczach prawdziwego teologa zdzierca i uciemiężyciel ludu, ktòry ze złupionego od biednych familji grosza rozdaje jałmużny, klasztory uposaża albo buduje kościoły. Niemasz bowiem obrzydliwszego w oczach czystej religji świętokradztwa, jak pokazywać pobożność powierzchownością,

a gwałcić ją postępkami, przez religję zakazanemi.

Religja jako dzieło boskie obeszłaby się bez wszelkiej ludzkiej pomocy; ale jako sprawowana przez ludzi, przeciwko ich przewrotności, potrzebuje usługi filozofji. Filozofja jest to użycie rozumu w poznawaniu świata. Jak religja, tak rozum są darami nieba: więc się łączyć razem i wspierać powinny do utrzymania porządku towarzyskiego, do wskazania człowiekowi dróg szczęśliwości teraźniejszej i przyszłej i do godnego uwielbienia Boga w rozwadze, podziwieniu i w prawdziwem użyciu cudów i dobrodziejstw, rozlanych w stworzeniu świata.

1/ Francuskiego filozofa XVII w., autora sławnego traktatu „O metodzie". -
2/ Statyści - pisarze polityczni. -
3/ Minister skarbu za Ludwika XVI.
4/ T. j. braku religijności. -
5/ - społeczeństwo.
6/ Zapewne aluzja do tego, że Jozue, wódz Izraelitów, miał zatrzymać słońce. -
7/ Że ziemia stoi w miejscu.
8/ T. j. teologji. -
9/ T. j. cech.
10/ Wymagają.

M A U R Y C Y M O C H N A C K I /1804 - 1834/.

1. O „Marji" Malczewskiego[1]/.

Poświęcamy kilka słów cieniom poety, który za dni swoich tak był skromny i tak cichy, - tak natchniony, a tak mało znany rodakom, spółziemianom. Uronmy łzę na jego grobowcu; bo wieszcz umarły jest patronem żywych. Smutna powieść jego, jak dumy i śpiewy tego kraju, gdzie się urodził[2]/. Ofiara nieumiejętnej krytyki, co ją przed kilku laty na zapomnienie skazała. - Publiczność polska nie zna Marji Malczewskiego. Nie we wszystkich ręku znajduje się to poema. Nie rozkupiono małej liczby odbitych egzemplarzy. Przykład nieprawdy recenzentów, godny pamięci. Marja Malczewskiego jest jednym z najśliczniejszych i największych utworów tegoczesnej literatury polskiej, mimo wielu niepoprawnych wierszy i twardego, jak się niektórym zdaje wysłowienia - jakie ja przynajmniej, mojem zdaniem, za zaletę poczytuję. - „Gdybyśmy tylko mieli Marję i Grażynę" - rzekł Michał Grabowski w dzienniku Ordyńca, - „mielibyśmy już oryginalną literaturę"3/. Ten młody krytyk powiedział prawdę.

Napiszę o tej powieści, co długo w myślach miałem. Działo się na Ukrainie, podobno, że za rządów Augusta III. Wojewoda, pan wielki, możny, bogaty, podniosłego serca, dumny z rodu i imienia, wysłał syna zagranicę. Ten po drodze,

przypadkiem, czy z rozmysłu, wstąpił do domu mniej majętnego, lecz poczciwego szlachcica. Obaczył jego córkę. Wacław był młody; Marja była także młoda, piękna. Pokochał ją i z nią się ożenił. Ojcu, panu Wojewodzie, nie podobały się te śluby. Raziła arystokratę wielka, jak sądził, nierówność stanu, a prawdziwa imienia i dostatków. Przedsięwziął stargać święty węzeł; zrazu łagodną namową i upominaniem ojcowskiem, a gdyby to nie pomogło, przemocą, gwałtem. Syn jednak żadną miarą nie chciał złamać poprzysiężonej wiary. Wojewoda, widząc jego słabość, rozkazał kozakom porwać Marję z domu jej ojca, Miecznika, i utopić w pobliskim stawie.

Taka jest osnowa powieści Malczewskiego. Poetycki obraz dziwnego zdarzenia! Konturowy zarys, wielki, pomyślany, prosty, jak przyzwoicie biegłemu sztukmistrzowi. Wykonanie tego planu śmiałe: każdy zaś domyślić się może, że przez wykonanie poematu nie rozumiem wierszy gładkich, potoczystych.

Co za widok stawia autor przed oczy nasze! I jak właściwem godłem z Jana Kochanowskiego zagaił początek pierwszej pieśni.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie. _
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Rzeczywiście, wszystko się w tej powieści splątało w gmatwaninę nieszczęścia nigdy nie odmotaną. Rzecz prosta i zawiła, naturalna i okropna, powszednia i głęboka, jak przepaść. - Nie tak czyn krwawy, jako przyrządzenia[4] mordercy wzbudzają zgrozę, kiedy przed odprawieniem swej roboty w skrytości myśli układa zabójstwo, potajemnie, milczkiem, ztyłu godząc. Daleki zamach ledwo nie straszniejszy od samego uderzenia. Nie śmierć, ale droga do śmierci, ale kręte do tego ścieżki, mamowce siejąą postrach. Wikła się myśl ludzka w tym labiryncie. Natenczas złowieszcze przeczucie całą moc swoją odzyskuje na duszy naszej. To czajenie się, uprzedzające skutek, jest nakształt mroku, jest jako ciemna strona fantazji. Jakaś opona, czarny kir zalega wtedy przestrzeń niezmierzoną między daleką chęcią, zawartą jeszcze w sercu, i jej dopełnieniem; między wyciągnieniem ręki i zadaniem ostatniego, śmiertelnego ciosu. Północna godzina Szekspira![5] Rodzicielka wielkich tragicznych wrażeń. W tym mroku imaginacji, za tą mglistą zasłoną fantazji pojął Malczewski rzecz swego poematu. - Nie rozbieram krytycznie, kreślę tylko, co czułem, co mi się zdawało przy częstem odczytywaniu tej powieści.

Tajemnica osłania zamiary wojewody. Jego samego prawie nie widać na scenie. Poeta stawia mordercę w głębi. Raz tylko jeden ukazał go w komnacie starego zamku. Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy. - Była noc; nie spał, chodził w jej ciemnościach. Duszna, wysoka komnata! łatwo zgadnąć, dlaczego? - Otwiera okno, - patrzy na swoje hufce, rozwinięte znaki, co się do nakazanej wyprawy zbierały. Rozwidniło

się nad rankiem; słuchał budzącej trąby:

Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce w różowej pościeli
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli
I, wznosząc świetne czoło, najpierwszem spojrzeniem
W lśniącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swòj oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy;
Dla nich gwar małych ptasząt w żywej słodkiej nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie:
Nie dla niego - on nie chciał na widoku zostać,
W niknących cieniach zamku wynurzał swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennej nocy - poranek rozprasza.

Świt różanej jutrzenki, zaranna jasność źle zapewne przypada do miary z farbą czarnej myśli. Nie mògł na widoku zostać! Ktòż inny, jeśli nie poeta z użyczenia i daru nieba mògł pochwycić to przeciwieństwo, jakie zbrodnia wiedzie ze światłem dziennem. Te szczególne rysy charakteryzują to, co zowiemy mądrością artysty. - Tatarzy pustoszyli wòwczas Ukrainę. Wojewoda postanowił skorzystać z tej okoliczności. Ale jak podejść syna, kochanka, męża Marji? Jak jej ojca oddalić z domu? Wysyła gońca z listem do miecznika. Uprzejmemi słowy oznajmuje, że dawną urazę zatarłą niepamięcią. Żałuje prawie za grzechy; synową zaprasza do domu. Więcej jeszcze: - „takiego szczęścia" - pisze wojewoda - „syn mòj nie wart; niechaj w wojennej potrzebie dobija się pierwej chwały. Właśnie oto Tatarzy grasują w tych okolicach; niechaj walczy w obronie wdzięków swej żony". - Ale ani pòł słowa prawdy nie było w tych cukrowych wyrazach. Blichtr tylko na omamienie starego. Owe hufce miały wstrzymać zapędy pogańskiej dziczy, - miały oddalić Miecznika z cichego domku. Albowiem przeczuwał pan Wojewoda, że Miecznik tak ważnej sprawy nie poruczy niedoświadczonemu młokosowi. Przewidywał, że starzec, Polak, uniòsłszy się rycerskim zapałem, zostawi Marję w domu, - samą, bez pomocy, bez nadziei! Z takiem pismem wyprawiwszy kozaka, tuli syna, z ktòrym dotąd zostawał w rozdziale niechęci przez pamięć na dawniejszą zwadę, że woli jego nie chciał być posłuszny. Rozmawia z nim teraz łaskawie i pieści się z nim, jakby dla powetowania niezwykłą rodzicielskiej czułości szczodrotą najboleśniejszego ciosu, jaki nań wymierzył w zamyśle nieludzkiego okrucieństwa, depczącym wszystkie prawa i wszystkie zrywającym związki. Ja w tem prowadzeniu rzeczy, w tem wywikłaniu z początkòw treści poematu widzę najwyższe misterstwo, albo, jak się zwykł wyrażać Kamiński, umnictwo Malczewskiego6/. Wojewoda dawał ucztę na zamku w wigilję zgonu Marji; do pòźnej nocy trwała

ochota; libacje wina poprzedzić miały taniec tatarski - i spełnienie najstraszniejszej zbrodni. Malczewski powiada, że tego wieczoru twarze ostre, malowane portrety przodków Wojewody, wiszące na ścianach komnat godowych.

Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami
I śmiać się do pijących - i ruszać wąsami.

W tem nawet wierny charakterowi narodowemu! Odtąd Wojewoda na zawsze znika ze sceny poematu. Cóż Miecznik? Pod rosochatemi lipami domowej zagrody koił tymczasem, jak mógł, urazę we własnem sercu. Jego wejrzenie pochmurne, to dąsa się, to unosi burzliwością młodszych lat, pełen niechęci, gniewu, a może i wzgardy. Przewodzenie bucznego pana, niedola, miłość córki, jej wiek młody, bladość na jej licu, uczucie własnej godności, wszystko to boleśnie go dręczy. „Wolałby dźwigać więzy u brodacza, Turka", wolałby umrzeć w ciemnej trumnie, niżeli spokojnie patrzyć na te smutne śluby:

Alboż to w naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
I tak, jak dawniej było, rycerskie kolano
Raz w życiu tylko ugiąć - po wianek, za wiano!
Nie, Marjo! Nie trza wzdychać - twego nie obrażam -
Mężny jest i cnotliwy - wiesz, że go poważam,
Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi.
A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
I mignie mu przed oczy święconym obrazkiem.
Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
Skrzesać ognia w pałasze, gdy przyjaźń ściemnieje.
Przyjaźń? A nasze hufy nie z sobą na sejmie;
A nasze veto krzyczy jeszcze i w rozejmie!
I gdyby kraju napaść, z Hetmanem umowy
Nie rzuciły mnie wówczas Szwedowi na głowy,
I gdyby twoja matka / daj jej niebo, Panie!/
W swe ramiuchy nie skryła młodych serc kochanie,
A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach smakiem
Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem: -
Nigdyby w moje kopce wróg się nie mógł schować,
Ani by jego złości pozwolił grasować.
Co cóż to ja zostałem? Żonę zmiotła kosa -
A córę - szczep jedyny - z łez polewa rosa!
Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy
Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy!
Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
Alboż młodością - wdziękiem choć raz się rozczulił?
Nie - od domu, imienia, ze wzgardą odgania,
I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania!
O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże -
Wysunie rażna młodzież, i ja za nią zdążę:
Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
To wkońcu tej tam waśni - dzwony się odezwą!

Jakie rysy, jaki charakter, jakie wyrażenia! Malczewski

podniósł do ideału historyczną postać. Idealizuje, cechę poetycką znaczy popularne wysłowienie, - idealizuje wszystkie szczegóły, wszystkie zewnętrzne narodowe znaki w nowie, stroju. On pierwszy szatę polskiego szlachcica - żupan, kontusz, toż broń jego - kord, karabelę do poetyckiej wzniósł godności7/i w poetyckiem pokazał świetle. Nie Podstoli Krasickiego, jak mniemano, ale Miecznik Malczewskiego jest, zdaniem mojem, tą poetycką figurą w literaturze naszj, która stanowi, polskiego szlachcica wyobraża. Podstoli sensat, może gaduła; wreszcie jest tylko rolnikiem, gospodarzem. Ale Miecznik to rycerz-ziemianin! Już te czasy przeminęły; wszystko się około nas zmieniło. Co innego teraz mamy w myśli, w sercu, w staraniu. Jakże wielka zasługa poety! Postrzega wdali kształt historyczny - niknący, ledwo nie w nic się rozwiewający. Korzysta z chwili i nie daje się wniwecz obrócić pięknej pamiątce! Za sprawą jego, co przepadło w historji, nowe poetyckie życie odzyskuje. Poezja drugim jest życia okresem, drugą koleją bytu. Jest tylko wyższą prawdą! Wszystko ziemianieje w powieści Malczewskiego.

Przybycie kozaka z listem Wojewody smutek Marji odmieniło w niespodzianą radość. Miecznik czyta i wydziwić się temu nie może! Opatrzność w tej chwili zsyła nań błyskawicę podejrzenia, - ale ten promień dobroci Bożej, upominającej przestrzeganiem błędnego człowieka, żeby się miał na ostrożności, nagle ściemniał w sercu poczciwego szlachcica. Zdawało mu się, że Wojewoda jakieś matactwo, kabałę stroi. Lecz sędziwy Polak nie przenikał zdrady i nie znał jej krzywego podejścia z własnego doświadczenia. Zaufał słodkim wyrazom. Znikły natychmiast wszelka trwoga, wątpliwość! Serdecznie wita zięcia, który wkrótce zdążył ze zbrojnym hufcem po przybyciu wspomnianego kozaka. Co żywo krzątа się; bierze zbroje, rozdaje oręż ludziom, poleca Marji, żeby suto zastawiła stół na uczczenie gościa. „Nie szczędź korzeni, pieprzu, bobków, imbiru, cykaty, szafranu, bo ten piękny rycerz w bakaljach chowany. O winie sam pomyślę". - A tak kilka przynętnych wyrazów chytrości, jeden uśmiech na twarzy Marji, obecność Wacława - rozżalonego utuliły starca, zwojowały burzliwość skrzywdzonego ziemianina, natchnęły męstwem dusznę rycerza, Polaka! Nie także było w istnej prawdzie? Nie szczerzy to obraz dawnych mieszkańców tej ziemi, kiedy przez tyle set lat na strażnicy Europy, ustawnemi harcami z łupieskiem pogaństwem własną odpierali piersią spustoszenie od chrześcijaństwa i cywilizacji? Oni zapalczywość, jako charta, zawsze mieli na smyczy, kiedy wzywała wspólna potrzeba, gniew i uniesienie zemsty paraliżując z łatwością, myślą i ciałem wychodząc z prywatnych niesnasek. Cała Polska, cała przeszłość nasza sztuką czarodziejską wzięła życie z rąk wielkiego artysty, autora tego poematu. Wszystko się tam zeszło: nieukrócona duma arystokracji, zdrożne możnowładztwo ze staroświecką cnotą i uczciwą godnością szlachcica pod skromną strzechą słomianą, toż rycerskie męstwo i światowy, po wszystkie czasy daleko słynny charakter dziejów polskich wedle tego, żeśmy stawili dzielny opór najazdom dzicży, która spustoszeniem oświecie europejskiej zagrażała.

Maurycy Mochnacki.

Nie jestem rozbieraczem płodów cudzego dowcipu[8]/; kreślę tylko ogólnemi wyrazami obraz naszej dzisiejszej poetyckiej literatury, gdzie się znamienitym talentem, zaletnemi tworami i nadobnem misterstwem kilku pisarzy, ziomków naszych, jakby z wezwania wszystkich innych braci i spółziemian, jakby przez reprezentację, wyrażać zaczynają władze i siły powszechnego narodowego umysłu, jako to: zwierciadlana imagina - cja, żywa i mocna fantazja, duch, natchnienie. Niemały to postęp od czasu, kiedyśmy najpierwej rzymskich, a potem francuskich naśladowali rymotwórców! Charakter, dążność, prędkie wywijanie się tego systematu[9]/ z niemowlęctwa unoszą mnie chlubią ojczystego zaszczytu, aczkolwiek piętno rodowitości na dzisiejszej poezji naszej nie jest jeszcze tak ustalone, iżby o tem godziło się mówić z precyzją właściwą krytykom, roztrząsającym systematy poetyckie zapadłych wieków. Nie strzymywałbym nawet tak długo uwagi czytelnika nad Marją Malczewskiego, gdyby mi nie szło o zadanie nieprawdy tej krytyce, która przed kilku laty, swawolnie szerząc się i brojąc w piśmiennictwie stołecznem, wspomnione dzieło w tak omylnem świetle ukazała publiczności. Przywróćmy cześć rzetelnej zasłudze, - żeby nie powiedzieli następcy nasi, że talent genjalny jako cień przeszedł koło nas, a słowa jego, razem z dźwiękiem ulatując, w powietrzu się rozpròszyły. Malczewski był prawdziwym artystą. Rzecz swoją umiejętnie, rozważnie, głęboko, mądrze prowadzi. Rzuca rys za rysem, kształci, maluje porządek, pasmo wydarzeń wiąże w całość, wszystko usuwając z pod oczu naszych, wszystko tym powiewnym, lekkim zasłaniając całunem, tą przezroczystą astralną siatką[11]/, która się w poezji nigdy podobać nie przestanie. Tą ponętą mocnego uroku podbija, ciągnie ku sobie czytelnika. Powiedziałem już, w jakim świetle pojął i wykonał myśl swego poematu. Nie jest to brzask zaranny, ale zmierzch dnia, chmurzącego się ku wieczorowi dzikiej, ponurej, melancholijnej fantazji. Stepowe pola, roztworzyste błonia Ukrainy godne były takiego poety! Kończy też obiedwie pieśni wyrazami:

I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.
I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie.

Czyn gwałtowny niewidoma odprawuje ręka: gdy Wacław ruszył z Miecznikiem i zbrojną drużyną na harc tatarski, sama śliczna Marja bez straży została w opuszczonym domku. Któż utyskuje przed wrotami tej zagrody? Kto płacze na świat? - Anioł, czy zły duch, czy człowiek? Poeta wprowadza tajemnicze jestestwo; daje mu ludzką postać; ale boleść jego, ale trwożne przeczucie, rozpacz na jego myśli nie są z tego świata. To zjawienie zdaje się być nakształt światełka świętego Elma, zwykle poprzedzającego rozerwanie nawalnej, gradowej burzy[11]/. Stary sługa rozmawiał z ową postacią; nic jednak nie rozumiał. Obróciwszy wzrok w inną stronę, postrzega maski, larwy, zbliżające się w różnofarbnych strojach z wrzaskiem, krzykiem, śpiewem karnawałowej, zapustnej ochoty. Byli to wykonawcy krwawego zlecenia Wojewody. Pieśń ich dzika, liryczna, trwożna i pusta, okropna i wesoła, też same uczucia wzbudza w sercu naszem! Jest to najgenjalniejszy pomysł poematu:

O „Marji" Malczewskiego.

1.

Czy znasz weneckie zapusty?
I w noc i we dnie
Wesołe, szalone, przednie;
Maska twarz kryje, a kto się pyta
O sprawy czyje, tego przywita
Wrzawa, śmiech pusty.
Żywo, radośnie,
Skrycie, miłośnie,
Staruszek Doża, Arlekin młody,
Dziewczyna hoża szuka osłody;
Matrony, księża, oszusty -
Swobody;
A kryte łodzie
Czernią na wodzie;
Wrzawa, śmiech pusty!
Czy znasz weneckie zapusty?

2.

My jedziem sobie kulikiem:
I w noc i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie;
Maska nas kryje - a kto chce wiedzieć,
Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem!
Szczera ochota
Otwiera wrota.
Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
Żydzi, Cyganki uderzą w pary,
Wróżki, Djabli, nie oszusty,
W puhary;
Lecim saniami,
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty.
Czy znasz ty polskie zapusty?

- „Ale tu wejść nie można" - odpowiedział stary dworzanin, świadomy polskiego kuligów zwyczaju, nieraz może praktykowanego w domu Miecznika. „Teraz nie zapusty, pan Miecznik na Tatarach". Chciał wstrzymać śmiałych przychodźców; lecz naprożno. Jemu samemu zawróciło się w głowie, gdy te dziwne postacie, cyganki wróżki, djabły przed jego oczyma tańcować, skakać pląsać zaczęły. Poeta mówi, że myśl tego starca także tańcowała. Puścił przeto maski do dworu, - otworzył drzwi przed mordercami. - Zwycięski Wacław wraca w nocy do domu żony; teść został jeszcze na pobojowisku, żeby, jako mówił, „dojrzeć objażdżki" - „a jutro, skoro świt, brzęknę wam na dobry dzień witanem kopytem". -

Powrót Wacława jest jednym z najcudowniejszych ustępów tej zachwycającej powieści:

Powstał z pośpiechem Wacław i dawnym zwyczajem
Uścisnął starą rękę, - co jemu nawzajem

Szorstkie, silne , lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem presadza drzew cienie.
A stary Miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny pobłysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca, malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej
Lecieć z stęsknionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią,
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony, brzmiące przerywanie:
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej, i żywej, i tkliwej muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach, co z kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem rozkoszy mgłę troskòw odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby wyjście miała
W niebiosa swego Twòrcy, z kajdan swego ciała;
Wtedy matka natura - wszystko z człowiekiem dzieli:
I wszystko się uśmiecha i wszystko weseli,
Wtedy w schowanej szabli - uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu - dobroć, w ustach - przebaczenie.

Ta noc, ten księżyc, to zwycięstwo nad Tatarami, to uciśnienie starego Miecznika, to dumanie w takiej porze, w takiej pewności czytelnika, że rycerz w domu trumnę i pogrzeb zastanie, - ileż w tem wszystkiem smutku? Co tu żałości, - a najbardziej ile efektu malarskiego, dramatycznego, poetyckiego!!

I tak to leciał Wacław błogi; gdyby nagle
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
Toby nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chybaby szumiał wściekły po zimnej mogile.
I tak to mijał stepy. Lecz świetne marzenie,
Co niem ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! Jak widmo wstaje przypomnienie
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepczą dreszcz i niepokòj zgromadzone mary:
„Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
„Więdnie pieszczony powòj - a wszak bez osłony
„Nie trwa tu słodki owoc - i cóż? ledwo wrócił,
„Ujrzał swòj raj stracony i zaraz porzucił!
„Dlaczego? dla czczej sławy, ktòrej blask nie waży
„Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy.
„Gdybyż przynajmniej w los swòj wierzyć miał powody!
„Lecz ledwo burza przeszła - już pewny pogody;
„Niepomny, jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
„Płochy, wydarł się szczęściu, co mògł odziedziczyć".
Ach! dalej, prędzej! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty - a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczą postacią rycerza
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza!
„Ha! Ha" - nim otarł oczy i serca mògł dowieść,

O „Marji" Malczewskiego.

Znikł rycerz i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław -- szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny, - był wiernym śmiertelnych obrazem.

Nikt nie wyszedł na spotkanie drogiego gościa w domu Marji. Nikt nie odebrał rżącego, spienionego konia. Zakołatał: nikt mu nie otwiera, nic nie przerywa głębokiej cichości. „Musi być bardzo pòźno" - pomyślał Wacław. Przy świetle księżyca błąka się około domu. Naostatek postrzega ruch w sypialnej komnacie. Przez otwarte widzi okno lekką zasłoną, którą wiatr to wypychał z pokoju, to znowu wciągał. Niecierpliwy skacze przez okno i znajduje umarłą kobietę w żałobnej odzieży. Owa postać dwuznaczna[12]/ uwiadamia rycerza o tem, co się stało.

Lecz ktòż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy duchem jego losu? Aniołem? Szatanem?
Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem - objął rycerza i w cwał polecieli.

Taka jest powieść Malczewskiego o podniosłym Wojewodzie, o pięknej Marji i zacnym starym Mieczniku. Ze względu mistrzowskiego prowadzenia rzeczy porównywaćby ją można ze sztuką jaką doskonałego mechanika, gdzie się wszystko odbywa skutkiem poruszeń niewidzialnych kòłek, żelazek, sprężyn. Umieściłem to poema na czele nowszych dzieł ojczystej poezji, nie iżby w mniemaniu mojem przodek przed niemi trzymało, - bo taki sąd byłby z wielu miar płochy i nieopatrzny, bo każde dzieło uważać trzeba jako oddzielną całość i cenić bez naciągania; ale szczególnie z tej przyczyny, że to jest twòr młodego poety, ktòry już zeszedł z tego świata, a ktòrego genjuszu dawniejsza krytyka recenzentòw stolicy nie pojmowała. Mògłżem właściwiej postąpić sobie? Nikomu wreszcie nie narzucam tego zdania, sądzę jednak, że niemasz dzieła w dzisiejszej poetyckiej literaturze polskiej, ktòreby tę powieść Malczewskiego przechodziło bądź wielkością układu, bądź ustawicznością ducha, bądź nakoniec umiejętną, szykowną zręcznością prawdziwie artystowskiej ekspozycji. Nieliczny był poczet osòb, składających żałobny orszak na pogrzebie Malczewskiego. Nie mòwiono wòwczas: „umarł wielki poeta". Przyjaciele żałowali tylko przyjaciela, - genjusz przemknął się nieznany, jak cień bez szelestu! Połòżmy mu teraz na ustroniu kamień ze skromnym napisem: „Autorowi Marji".

1/ Z książki „O literaturze polskiej w wieku XIX" /1830/.
2/ Autor ma na myśli Ukrainę.
3/ Niejaki Ordyniec redagował Dziennik Warszawski.
4/ T. j. przygotowania.
5/ Por. początek aktu II Makbeta.
6/ Autor popularnej wòwczas sztuki Zabobon albo Krakowiacy i gòrale, Jan Nepomucen Kamiński, był także krytykiem literackim; umnictwo = filozofja sztuki, estetyka.
7/ Tę uwagę czyni Michał Grabowski, jeden z najznamienit-

szych krytyków naszych, w rękopiśmie niewydanym, który mnie nadesłać raczył. Ciekawe są i zajmujące spostrzeżenia jego co do Marji, Wallenroda i Zamku Kaniowskiego /p. a. /.

8/ Talentu.
9/ Tu - kierunku, szkoły poetyckiej.
10/ Gwiezdną mgławicą?
11/ Zjawisko atmosferyczne.
12/ „Pacholę".

---

2. Przedmowa do dzieła „Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831".

/Wydane w r. 1834/.

Po rozbiorach Polski nic innego nie widzimy w tym kraju tylko same klęski, jedne z drugich wypływające; nic innego nie postrzegamy tylko ustawiczność nieszczęść publicznych, które zaledwie na chwilę przerywały zwodne połyski fortuny. Dlaczego tedy naród polski, który miał tyle czasu przywyknąć do własnej niedoli, który przebywał wszystkie drogi prowadzące do zguby, do zagłady nawet imienia, nie przestał dotąd być narodem? To, co się działo w Polszcze od chwili, jak ziemię naszą źli sąsiedzi rozerwali pomiędzy siebie, pokazuje dostatecznie, że w nas jest pełna siła, którą trzeba nazwać siłą dźwigania się z każdego upadku. U nas tylko wykształciło się i upowszechniło nieznane innym ludom życie po śmierci politycznej.

Ta moc wewnętrzna, plemienna, którą przez lat przeszło sześćdziesiąt odpieramy od siebie ostateczną zagładę, była jednak źle kierowana, źle przez nas samych użyta. Wprawdzie zawsze mogliśmy zginąć, lecz także zawsze i odrodzić się w tej walce z zagładą.

Zostaliśmy i dziś jeszcze jesteśmy w środku między temi dwoma ostatecznościami. Wyjść z tego stanu, gorszego niżeli zupełne zniszczenie: ten jest cel naszego dalszego zawodu.

Czemu się dotychczas nie wiodło w Polszcze w usiłowaniach odzyskania niepodległości? To łatwo pojmiemy, zważywszy, jakim trybem szły wszystkie nasze powstania. Charakter ich taki: zawsze w początkach zapał powszechny, wszystko ogarniający w narodzie, wszystko porywający z sobą, nieprzełamany, niczem niezwyciężony. To samo w każdem powstaniu: poświęcenie, porywczość, śmiałość, posuwająca się nieraz do płochości, też same cnoty osobiste i publiczne. Ale zarazem obok tego, te same przyczyny upadku sprawy, zawsze pomyślnie zaczętej, zawsze potem niedołężnie kierowanej, giną cej zazwyczaj nieładem. Nigdy u nas nie korzystano z poprzednich doświadczeń; stąd też w każdem powstaniu jednakie prawie błędy wojskowe i polityczne: najbardziej zaś to w każdem

podobnem zdarzeniu odnawiające się, ku końcowi zwłaszcza, omdlewanie i upadanie na duchu, kiedyby go najwięcej wznosić wypadało; to gorszące dobrowolne rozpraszanie sił niemałych, jeszcze niestarganych! We wszelkiem bohaterskiem przedsięwzięciu naszem byliśmy nakształt kunsztownego ognia, co od jednego razu strzeli wgòrę jasnym strumieniem i - w dymach gaśnie.

Żadne powstanie polskie nie zasłużyło sobie na napis: usque ad finem[1]/.

Lecz còż z tego wnosić? - Mamyż wyrazić w samych siebie to przekonanie, iż nigdy nie uda się nam doprowadzić do końca, co zaczniemy? Ja rozumiem, iż wszystko, co się działo u nas, tak mi mniemać każe, że chcieć ugruntować w Polszcze tak opinję, byłoby to dopuścić się ciężkiej obrazy przeciwko temu wyższemu porządkowi w dziejach, albo raczej, że się jaśniej wytłumaczę, przeciwko zrządzeniom tego niewidomego, niezbadanego losu, ktòry nas dotąd, po utracie tego wszystkiego, na czem zależy byt innych narodòw, utrzymuje w rodzinnej całości i wiąże w pewną jedność rozłączonych przemocą, poddanych ròżnym berłom, gnębionych od lat tylu ròżną niewolą.

Byt Polski śròd takich okoliczności, życie narodu polskiego od rozbioròw do tego momentu, szczególnie zaś dzieła tego narodu po katastrofie podziału: jest to największa zagadka nowoczesnych dziejòw, jest to, jak mnie się zdaje, jedyny cud w dzisiejszych czasach, może dlatego zrządzony, ażeby tą wyższą interwencją łatwiej się rozplątała ich gmatwanina. - Za tem mniemaniem przemawia ta niezaprzeczona prawda: że jedynie wskrzeszenie całej Polski zmienić zdoła teraźniejszy polityczny, naturze przeciwny, z dobrem ludzkości niezgodny kształt Europy, a zatem ledwo nie całego świata.

Taki widok rzeczy nie prowadzi do rozpaczy. Lud polski, ktòry ciągle śpiewa „Jeszcze Polska nie zginęła", wyraża temi kròtkiemi słowy najgłębszą maksymę swego jestestwa. Wie, że jest, i tą wiedzą skruszy obce jarzmo. Jest żywy i mocny, mocniejszy nawet, niżeli jego ciemiężyciele, ponieważ jeszcze nie uległ pod ciężarem własnych nieszczęść. Z doświadczenia może powiedzieć o sobie: „Narody nie umierają!"

Z tem wszystkiem jednak /wracając do punktu, z ktòrego wyszedłem/ mimo wszelką wiarę, jaką naròd ma we własne jestestwo, jest rzeczą w obecnem położeniu dla nas najważniejszą dochodzić rozumem przyczyn, dla ktòrych dotąd nie zdołaliśmy pokonać naszych nieprzyjaciòł. Nie podlega zaprzeczeniu, że tylko przez nowe powstanie potrafimy odzyskać całość i niepodległość; a zatem to, co poprzednie powstania daremnemi czyniło, koniecznie zgłębić wypada. W kraju naszym powszechne jest zdanie, żeśmy zawsze ulegali przemocy. To zdanie błądzi, - kłamie. Niemasz przemocy dla kilkunastu milijonòw, śròd najniepomyślniejszych nawet okoliczności; nie było jej w ostatniej wojnie; nie było jej za Kościuszki i za Napoleona.

Dlaczegòż tedy, skoro jesteśmy tym narodem, ktòry przetrwał taką pròbę losu, ktòry nietylko nie zginął po stracie udzielności politycznej, lecz tyle sił rozwinął pod obcem jarzmem, dlaczegòż, pytam się, przez powstania nasze nie umieliśmy zostać potęgą polityczną na pòłnocy?

Wyraz „nie umieliśmy" zdaje się być najwłaściwszy w tej mierze. Nie „nie mogliśmy", ale nie umieliśmy! Naròd wszystko może; lecz nie wie wszystkiego. W ostatniej np. wojnie nie znał sił swoich i nieprzyjacielskich. Pierwsze zbyt nisko, drugie zbyt wysoko szacował, za przykładem swych naczelnikòw, ktòrym tego błędu, tej niewiadomości przebaczyć nie można. Z tej jednej przyczyny wszystko opacznie sie działo od początku do końca.

Dotąd historja powstań naszych, ta najbardziej zajmująca część dziejòw ogòlnych narodu polskiego, z powodòw naturalnych prawie zupełnie była zaniedbana. Po każdem powstaniu następował nowy ucisk, jeszcze uciążliwszy od poprzedniego. Coraz nowa niedola zacierała przedewszystkiem pamięć świeżych wydarzeń. Druk rzadko, zaledwo ułamkami, nigdy w całości, najczęściej pokryjomu albo w obcych językach, przechowywał je od jednego dziesiątka lat do drugiego. Znakomite czyny, wielkie poświęcenia, wespòł z wielkiemi błędami rządòw i występkami osòb, głucho przemijały. Tym sposobem synowie nie mogli znać dobrze spraw ojcòw swoich. Przyszedłszy do lat męskich, porywali, jak oni, za oręż dla uwolnienia Ojczyzny, nie korzystając jednak z ich doświadczenia, nieszczęść i omamień. Jedna wojna w kraju naszym nie stawała się przeto nauką dla drugiej; jedno powstanie drugiemu nie służyło za przykład. Jak już wspomniałem, wpadaliśmy zawsze w te same błędy.

Jest rzeczą oczywistą, że tylko wykład historyczny, bezstronny, rozważny, tak powstań, jako epok, które między niemi środkują, wywieść nas może z zaklętego koła tych samych zawsze nieszczęść i ułomności. Tylko rozszerzenie w narodzie wiadomości jego własnych dziejòw po rozbiorze kraju gruntownie go oświeci. Historja rewolucyj, któreśmy przebyli w skutku tego nieprawego czynu sąsiadòw naszych: otòż podobno kamień filozoficzny naszej narodowej mądrości.

Starajmy się tylko poznać to, co się u nas działo w przeciągu przeszło pòł wieku, a gdy nadejdzie pora nowych walk, nie znajdziemy się w potrzebie zakopywania broni naszej, jak pod Radoszycami, albo łamania jej zagranicą, jak w ostatniej wojnie[2]. Wtedyto zapewne ostatni akt naszego powstania odpowie jego początkom, a świat nie będzie powtarzał, że, umiejąc dobrze zaczynać, zwykle źle kończymy.

W tym całym przeciągu czasu, ktòry upłynął od podziału Polski do dni naszych, panuje jedno ważne, zdumiewająco faktum: jest to owe niezaprzeczone, stopniowe rozwijanie się siły narodowej w powstaniach, tak dalece, iżby sądzić można, że Polszcze z każdego upadku w usiłowaniach odzyskania straconej niepodległości coraz nowej przybywało mocy.

I w istocie: od konfederacji barskiej do rewolucji 29 listopada ciągły postęp w tej mierze postrzegać się daje. Nasamprzód w konfederacji barskiej jedna tylko i nieliczna cząstka ludności, sama prawie szlachta, i to nie ze wszystkich prowincyj, staje w obronie kraju, na którym się już podówczas Moskwa srogich gwałtów zaczynała dopuszczać. Za Kościuszki, myśl niepodległości, chęć zrzucenia obcego jarzma porusza daleko większe masy. Po większej części z własnego natchnienia, wespół ze szlachtą, chłopi z wiejską bronią, bo z kosą tylko, napadają na nieprzyjaciela. Kościuszko przybył sam jeden do ojczystego kraju: wypowiedział wojnę Moskwie bez wojska i pieniędzy, w kilku dniach stworzył armję tak dziwną, jakiej jeszcze nie było na świecie, i odniósł pamiętne zwycięstwo nad nieprzyjacielem liczniejszym, bitnym i zorganizowanym. Początków powstania w 94 - tym roku z niczem w dziejach porównać nie można. Była to konfederacja włościan, daleko potężniejsza od szlacheckiej, barskiej. Wojny francuskie, zwycięstwa i najazdy Napoleona wstrząsły całą Polską. W roku 1807, a bardziej jeszcze 12 - tym, byłoż rzeczą niepodobną połączenie wszystkich jej części w jedną całość? Lecz dla osiągnięcia tego celu wypadało nam więcej rachować na własne siły i, gdy temu sprzyjały okoliczności, potężniej się utwierdzić we własnej ziemi, nie zaś tak ślepo przywiązywać się do szczęścia, a potem do przeciwnego losu francuskiego bohatera. Na nim jednym Polacy, nie na samych sobie, zasadzali nadzieję zbawienia. Ostatnia rewolucja miała więcej sił materialnych, niżeli wszystkie poprzednie. Śmiało rzec można, iż nigdy Polska tak potężną nie była, jak na dniu 29 listopada; nigdy bowiem energja ducha publicznego w całym narodzie, we wszystkich częściach kraju do takiego stopnia nie dochodziła.

Tę przeto rewolucję uważać trzeba jako sumę wszystkich poprzednich powstań w kraju naszym. Jest to najdzielniejsze objawienie ducha narodowego, ducha Polski. Mimo nieszczęść, które nas w tem powstaniu dotknęły, mimo całego obłędnego systematu politycznego i wojskowego, którym tę sprawę przywiedziono do upadku, mimo gorszącej nieudolności we władzach i nieraz złej woli w osobach, mimo wreszcie niczem nieusprawiedliwionego rozprzężenia ku końcowi: ostatni ten akt narodu polskiego, to jego nagłe porwanie się ze snu piętnastoletniej niewoli jest wielkie! Czem była, czem być mogła dla Polski rewolucja 29 - go, to się wyraziło w jej kilku kolosalnych bitwach. Żołnierze Grochowa, Ostrołęki i Boremla byli to prawdziwi reprezentanci tej sprawy3/. Ich dzieła i mogiły pokazują całą energję ludu polskiego, objawiają całą moc rewolucji. Wobec tych wypadków nikną przywary systemów rządowych i występki pojedyńczych ludzi.

Pod temi względami historja ostatniego powstania naszego, jako zebranie w jedną treść poprzednich powstań, gdzie się najdobitniej wybiły charakter, duch, patrjotyzm narodu; gdzie się w tym samym czasie powtórzyły wszelkie poprzednie ułomności publiczne i partykularne; gdzie się w krótkich chwilach,

bo zaledwie w kilku miesiącach uniesień, nadziei, oczekiwania i rozpaczy, niejako zreasumowało jestestwo Polski, rozdzielonej między sąsiedzkie mocarstwa; gdzieśmy żyli życiem przyśpieszonem, prędszem jak zwyczajnie, brzemiennem przeszłością i przyszłością; gdzie nagle i niespodzianie najaw wyszło to wszystko, co kiedykolwiek Polska miała w sobie wielkiego i małego, mocnego i słabego: historja, mówię, takiego powstania jest więcej nauczająca, niżeli poprzednich, bo je wszystkie w sobie zawiera.

Odnośniki do tego rozdziału na str. 118.

J O A C H I M L E L E W E L /1786-1861/.

Z pism i przemówień emigracyjnych.

a/Odezwa komitetu narodowego do Rosjan.

Bracia Rosjanie!

Braćmi was zowiemy, boście braćmi z imienia samego ziomków naszych Rusinów, boście dzieci rodu słowiańskiego. Braćmi jesteście, boście narodem, z innemi ludami do wolności wzdychającym.

Nie przypominamy wam tej świetnej wolności miast i ludów ruskich, którą polityka osadników zaleskich, wielkich kniaziów nad Klazmą 1/i carów Moskwy zgnębiła, nie przypominamy wam, wielekroć Polacy zamierzali waszych carów na swój tron elekcyjny powołać, aby przez to u nich kwitnącą wolność w rodzie słowiańskim rozszerzyć, nie przypominamy Sapieżyńskich projektów2/ unji carstwa waszego z Rzecząpospolitą Polską, aby przez to rychło bratnią zgodą skruszyć despotyzm. Stało się to księgi dziejów wspomnieniem i wspomnieniem dalekiej przeszłości, o której despotyzm Rosji, jak było rzeczywiście, pisać nie dozwala.

W miarę, jak u was despotyzm głowę podniósł i ustalił się, ziemie wasze i nasze zakrwawiły się nieraz zobopólną krwią, i myśmy wam ulegali. Wszakże wiecie, że zawsze do walki wiodły zgubny egoizm lub uciążliwy despotyzm, a ujarzmienie nasze my nie wam, ale przypisujemy chciwej i przewrotnej polityce samodzierżców waszych, którzy i was w jarzmie trzymają.

Między ludami, wolności pragnącemi, stoi przymierze. Jeśli wy o swoją dbacie, jest takie przymierze między wami i nami. Okazywało się to jawnie, gdy przed siedmią laty zbliżone w tym celu serca polskie z rosyjskimi rozwijały nad brzegami Newy wielką myśl słowiańskich ludów federacji3/. Objawiło się wtedy przymierze między rosyjskim a polskim narodem.

Lud polski, powstający w roku 1830 z jarzma niewoli, przekonany był, że to przymierze trwa, i w walce swojej tego przekonania nie przestawał jawnych składać dowodów.

Sejm rewolucyjny, protestując w manifeście swym 20 grudnia 1830 przeciw nieprawości samodzierżcy waszego i przeciw

natłoczonemu jarzmu, zwròcił swòj do was w imieniu narodu polskiego głos w słowach: „nie powodowała nami żadna nienawiść narodowa przeciw Rosjanom, wielkiemu, jak my, szczepowi słowiańskiego rodu. Słodziliśmy owszem pierwsze chwile wydartej nam na nowo niepodległości tą myślą, że połączenie pod jednem berłem, jakkolwiek dla nas szkodliwe, przyniesie czterdziestomiljonowemu ludowi uczestnictwo swobòd konstytucyjnych, które w całym ucywilizowanym świecie stały się ròwnie potrzebą panujących, jak rządzonych". Te są sejmowego manifestu słowa.

Rozniecał przeciwko nam niechęć, nienawiść i zawziętość samodzierżca wasz; tej nie widzieliście ku sobie obudzonej u nas. Towarzystwo Przyjaciòł Nauk, od chwili upadku Polski ocalenie narodowości na celu mające, wśròd zaciętej walki, w narodzie waszym wyszukiwało światłych mężòw Rosji i do grona swego powoływało.

Wśròd zaciętej walki, skoro wypoczynek nastawał, wasi wojownicy, ranni czyli jako jeńcy przywiedzeni, prawdziwie braterskiego doznawali opatrzenia i przytułku.

Wśròd zaciętej walki myśli nasze zwracały się do pamiątek zacnych uczuć waszych. W tymże dniu, w ktòrym sejm wyrzekał niepodległość ludu, lud warszawski i polski w uroczystym obchodzie czcił pamięć waszych wolności męczennikòw: bo imiona Pestela, Murawjewa, Bestużewa, Rylejewa i tylu innych ofiar okrutnej zemsty, pamiętne na zawsze dla Rosjan, ròwnie są drogie sercu Polaka4/

Wśròd zaciętej walki, jeśliśmy powiedzieli, że „prawy Polak jeśli ulegnie, zginie z tą w sercu pociechą, że jeśli własnej wolności i ojczyzny uratować nie dozwoliły mu nieba, śmiertelną walką zasłonił przynajmniej na chwilę zagrożone europejskich ludòw swobody", tak ròwnie i waszą na celu mieliśmy wolność, a wojownik, nasz obywatel, odpierając ciosy ujarzmienia i despoty, niòsł naprzòd hasło: „za naszą i waszą wolność" i objawił niem, że nie przestaje być przyjacielem waszym.

Narady kongresu wiedeńskiego, przeważną decyzją swoją stanowiąc o losach ludòw, brały pod rozwagę bezprawia polityki i przyznawały potrzebę konstytucji dla ludòw. Wszakże decyzje tego kongresu wpadły w nowe bezprawia i wielu dawnym bezprawiom dodać mocy przedsięwzięły. Nie obowiązują one w niczem ludòw, ale zobowiązały tamtwzajem rządzących i zmawiających się mocarzy. Ten to kongres powierzył imperatorowi Aleksandrowi, jako Kròlestwo Polskie, małą nadwiślańską starodawnej Polski cząstkę, i nakazał, aby to Kròlestwo przez swoją konstytucję do Imperjum Rosyjskiego przywiązane było. Nadał imperator Aleksander małemu Kròlestwu, na zasadach monarchji reprezentacyjnej, konstytucję: czyliż przez to dopełnił kongresem przepisanego warunku? Wcale nie.

„Połączenie na jednem czole koron samodzierżcy i kròla konstytucyjnego, mòwi manifest sejmu rewolucyjnego, było potworem politycznym, ktòry długo istnieć nie mògł.

Joachim Lelewel.

Każdy przewidywał, że Kròlestwo Polskie jest albo zawiązkiem instytucyj liberalnych dla całego Imperjum Rosyjskiego, albo ulec musi pod żelazną samowładcòw jego prawicą". Tak jest, miało być zawiązkiem instytucyj dla Imperjum całego, a tymczasem uległo pod żelazną despotyzmu prawicą.

Wszakże warunek kongresu wiedeńskiego był, aby Kròlestwo przez konstytucję swoją do Imperjum przywiązane zostało. Kròlestwo z Imperjum miało tedy być związane nie przez węzeł federacyjny, nie przez głowę panującego, jak to w innych bywa państwach, ale przez konstytucję. Jakże tedy można było Kròlestwo konstytucyjne do niekonstytucyjnego Imperjum przywiązać? Pewnie nie inaczej, tylko samemu Imperjum podobnąż nadając, jaką Kròlestwo miało konstytucję. Czuł to dobrze Aleksander, znał, że się do tego zobowiązał, że ten warunek dopełnić był powinien, a tym końcem nietylko ròwnym sposobem wam, Rosjanie, prawa i konstytucję nadać obiecywał, ale przed nami sam przy zamknięciu sejmu 1818 uroczyście powiedział, że „doświadczając w Kròlestwie instytucyj liberalnych, które nie przestały być szczególnym jego czuwania przedmiotem, ma nadzieję, że, za pomocą Bożą, ich zbawienne działanie rozciągnie do wszystkich ziem, które Opatrzność jego pieczy powierzyła", przyznając, „że Polacy podali mu środki objawienia jego ojczyźnie, Rosji, to, co dla niej oddawna gotuje, i co otrzyma, skoro żywioły tak ważnego dzieła dostatecznie rozwinione zostaną". To były słowa Aleksandra samego, te były jego przyrzeczenia. Dlatego, dla was, Rosjanie, i dla całego Imperjum swojego konstytucję, na tychże zasadach, na jakich była małego Kròlestwa konstytucja, wygotował, i tę znaleźliśmy w papierach spòlnego wroga naszego, i tę w obu językach, waszym rosyjskim i francuskim, dla wiadomości waszej, wśród zaciętej walki, wydrukowaliśmy.

Daliśmy ją wam poznać, aby was przekonać, że imperator Aleksander znał to dobrze, iż był obowiązany być nie imperatorem despotą, ale imperatorem konstytucyjnym, a z prawa ku wam winien był zrzec się despocji swojej, jeśli chciał nad wami władać.

Ale wasz imperator Aleksander, po dwudziestopięcioletniem panowaniu; nie uiścił się wam z przyrzeczeń; po dziesięciu leciech od czasu kongresu wiedeńskiego schodzi ze świata, nie dopełniwszy przyjętych na siebie dyplomatycznych warunkòw. Nie dopełnił, bo zmowa świętego przymierza uwolniła go od tego, w nowe poszła bezprawia i kuła dla ludòw pęta niewoli. Następca jego, Mikołaj, zapowiedział, że w ślady jego wstąpi, że panowanie jego będzie dalszym ciągiem gnębienia swobòd, mordòw i nieszczęść sprawy ludzkości. Rosjanie! miłe są dla nas wspomnienia słowiańskiej przeszłości. Na waszej ziemi kiedyś w mocy swej była Prawda Ruska[5], wpływem skandynawskiego prawodawstwa tworzona, jednakże żywiła zasady wolność miłujących Słowian.

Dziś, jakież wasze jest położenie? Jakie są wasze prawa?

Rządzi wami bezprawie i zdzierstwo. Wielu dostojnych obywateliów waszych podnosiło swój głos, domagając się praw: głos ich został bez skutku. A ci, co śmielej i ostrzej o prawa się upomnieli, stali się ofiarą gwałtu, w więzach zesłani w Sybir. Od stu lat komisja prawodawcza nic dla was zdziałać nie mogła. Obija się o wasze uszy imię zakonòw, a wami rządzą ukazy[6]. Ukaz na ukaz, dowolnie ogłaszany dla dogodzenia chciwych widokòw. Nic wam bezpieczeństwa waszych osòb ani waszej własności nie zapewnia. Wszystko od ukazu zależy. Tysiące mieliście obietnic i upewnień, a zawsze uwiedzeni, oszukani byliście.

Żeby was w jarzmie utrzymać, dobiera samodzierżca wasz służebnych urzędnikòw, a, nie ufając swoim, do usług swych cudzoziemcòw powoływa. Jeśli jest zniewolony od siebie cudzoziemcòw czasowie odsunąć, rychło do nich powraca; bo to najdzielniejsza jego despotyzmu podpora. Przy nich znaczenie i władza, przy nich powaga, która ich panoszy, was z majątkòw ojczystych wyzuwa, odpycha od tych posług publicznych, w którychbyście się o prawo i wolność skutecznie upomnieć mogli.

Używa i was samodzierżca wasz, ale nie dla waszego dobra, tylko dla dogodzenia swej dumie, ugruntowania władzy i ukucia więzòw narodom. Tym końcem wymyśla wojny, aby mężòw Rosji, kwiat narodu, odwròcić od myślenia o prawach człowieka i ludòw, aby ich życzenie zagłuszyć opowiadaniem bitew, aby ich oko zająć widokiem krzyżòw i wstążek, aby ich wywieść na pole boju, gdzieby przed czasem poginęli i wyplenieni byli, a z nimi wznioślejsze uczucia, myśli, upragnienia, godne człowieka, i òw dzielny instynkt wolności, którego ocknienia despota tak się obawia. Walczyliście, Rosjanie, Turkòw, Persòw, Polakòw. I còżeście zyskali?

Możeście sławę z podbojòw dla siebie, dla Imperjum uzyskali? Nie; bo krew ludzka nie opłaca się kawałkiem ziemi albo lichym groszem na nieprzyjacielu wyciśnionym, który jest obciążony złorzeczeniem i przekleństwem zwojowanego ludu. W nagrodę wysług waszych odpycha was Europa od siebie, zowie was barbarzyńcami, cechuje piętnem hord azjatyckich; bo despota wasz nie dopuszcza wam stanąć na stopniu działań ludòw europejskich, o prawa i wolność upominających się. Bolejecie nad tem, i wyższe uczucia wasze słusznie są tem obrażone. Z wami razem boleje nad tem Europa i ludzkość cała. Czas, abyście zmyli z siebie tę plamę, jaką na was tyran w oczach Europy wycisnął. W potròjnej wojnie, którą duma zacięcie wiodła, namnożyło się po Rosji żałoby. Synowie Rosji bezkorzystnie poginęli: kilkakroć stotysięcy poległych ofiar, w obliczu ludòw do wolności wzdychających, zaległo pobojowiska i mogiły, belesnem wspomnieniem, że walczyli dla zniszczenia cudzej wolności, dla wzmocnienia swojej niewoli. Toż to wasza sława!

Rozlega się dotąd w przyćmionej jaskini jęk i narzekanie; ale się już do niej światło przedziera, które pokazuje

przyczyny cierpień, które objaśnia zuchwałość despotyzmu ludzkości, dolegliwe razy zadającego. Skrępuje go i wywróci dzielna moc ludu. Dośpiewa już rozum i niezadługo uderzy na gwałt przeciwko ciemiężcom. Zbliża się chwila do spełnienia wielkiego dzieła, do którego nadludzka siła ludy powołała.

Bracia Rosjanie! i wy tę chwilę przewidujecie: wzniosły wasz umysł umie oceniać godność człowieka, równie jak jego dla sprawy ludzkości poświęcenia się i cierpienia. Potrafi on ocenić położenie narodu polskiego, jego klęski i uczucia. Do tego powołuje i was, Rosjanie, głos ujarzmionej i w niewoli jęczącej Słowiańszczyzny, na której ujarzmienie sprzysięgli się mocarze niemieccy i wasz samodzierżca. Słowianin Słowianinowi chętnie bratnią dłoń podaje. Słowianin Słowianina ochoczo dźwiga, aby wolność odzyskał. Myśl wielka, na brzegach Newy objawiona, Słowiańskich ludów federacji jedynie tylko przez spólne ich odrodzenie urzeczywistnioną być może. Precz z jarzmem cudzoziemczem! precz z despotyzmem! Zacznijcie, Rosjanie, od siebie, wznieście ołtarz wolności w miejscu zbyt długo czczonego bałwana i powołajcie do wspólnego dzieła bratnie ludy, bo wszystkie równie tego pragną. Złożyliśmy dowody, że lud polski podobnie tego żądał, a walcząc z despotyzmem, mniemał, że z wami w przymierzu stoi. Ani wątpić, że tkwiło w duszy Rosjan toż przeświadczenie. Wielu z Rosjan nie umiało go w sobie stłumić: uczucie ich wybuchało w narzekania; objawiała je łza rozrzewnienia, a niejednego przepełnione wzruszeniem piersi podawały się rozpaczy. Tak jest, mieliśmy, my, Polacy, w szeregach waszych przyjaciół, mieliśmy braci w Rosjanach. Wśród zaciętej walki, wśród przerażającego huku dział, z trudnością mógł się głos powstającego bratniego narodu przedrzeć do was: teraz, pod kirem żałoby, w głuchej ujarzmionego ludu ciszy, głos ten, wznoszący się w chwilach swobody i działania, ponawianem w sercach waszych echem da się wam lepiej rozpoznać. Przypominają go wam tułacze polskiego narodu, co, uchodząc przed niewolą, po świecie się rozbiegali i stali się przestrogą dla ludów, braterską zawiścią rozdwojonych.

Paryż, 1832 roku.

b/ Mowa, miana w Paryżu 29 listopada 1833 roku na obchodzie drugiej rocznicy rewolucji listopadowej[7].

Dostojny grenadjerze gwardji narodowej polskiej!

Broniłeś dzielnie naszej sprawy we Francji, i przychodzisz na dzisiejszą uroczystość, którą Polacy po raz drugi obchodzą na obcej ziemi. Francuzi mieli także swoją uroczystość doroczną, ale ją obchodzili u siebie. Chcąc uczcić pamiątkę waszej rewolucji, przesłaliśmy ci, generale, kilka wyrazów. Zaszczyciłeś nas swoją odpowiedzią, w której, zgadując nasze myśli i podnosząc nasze wyrażenia, dałeś nam poznać twoje wzniosłe uczucia.

Dwa lata temu, o tej samej godzinie, nasza dzielna młodzież skruszyła pęta niewoli i powołała naród do broni. Cały ten naród poruszył się, porwał za broń i mężnie walczył za

swą niepodległość, za swą wolność, za zasady wszechwładztwa ludu, wznowione przez waszą pamiętną rewolucję lipcową. Obywatelu dwòch światòw! Republikaninie! Byłeś na czele szlachetnego ludu, nie mogłeś tedy uchylić się od tego uroczystego zgromadzenia Polakòw: przewodniczysz nam po raz drugi.

Otacza cię uszanowanie narodòw, i wszyscy przyjaciele wolności, jakiegokolwiek odcienia, garną się do ciebie; kilkakrotnie przyjacielskie narody gromadziły się pod wròżbą Lafayetta8/. Widzisz te same narody zgromadzone na dzisiejszej uroczystości: są tu mieszkańcy wysp i stałego lądu, są wszyscy Polacy obecni w Paryżu; bo uczucie, które popycha wszystkie narody do tego samego celu, utworzyło ze sprawy polskiej sprawę europejską, sprawę ludzkości. Przyjdzie chwila powszechnego oswobodzenia, w której znikną ròżnice w widokach i środkach, w której wszyscy, odłożywszy na bok, co im dotąd w drodze do zamierzonego kresu przeszkadzało, podadzą sobie dłoń po bratersku, żeby spòlnemi siłami wolność i niepodległość odzyskać. Co nim nastąpi, poprzestać musimy na wzajemnem sobie udzielaniu naszych życzeń i nadziei.

Mieszkał niegdyś w tym gmachu kròl, nasz spòłobywatel. Znękany klęskami, które za jego panowania Polskę utrapiły, przepędził resztę dni zdala od zgiełku świata politycznego. Spokojny w tem cichem ustroniu, zakończył, jak mòwią, życie, odebrawszy wiadomość o znacznej stracie, jaką ojczyzna jego poniosła, kiedy Turcy wzięli Kamieniec i najechali Podole. Zgromadzeni w tym gmachu, opłakujemy przy jego grobie stratę wszystkiego, stratę poległych w boju braci, którzy mieli szczęście poświęcić się, zginąć za ojczyznę. W niepowiedzianej boleści, upadlibyśmy pod ciężarem nieszczęść, gdyby nas nie pokrzepiała nadzieja odrodzenia ojczyzny, nie zachęcała do wytrwałości.

Ten sam kròl, przeznaczony od młodych lat na cierpienia, popadł we Francji w niemałe niebezpieczeństwo, niemałych doznał tu przykrości, a jednak, zstępując dobrowolnie z tronu, nie gdzie indziej, jak we Francji, szukał przytułku i znalazł gościnne przyjęcie. Jeżeli wolno porównywać nasze przeznaczenie z przeznaczeniem Jana Kazimierza, nie powinniśmy się niecierpliwić, nie powinniśmy tracić odwagi. Potrzeba nam czekać i cierpieć, w tem przekonaniu, że przyjdzie czas, kiedy otrzymamy wsparcie od Francji i spòlnie z nią działać będziemy.

Ten sam kròl, składając koronę i żegnając się z narodem, przepowiedział w pamiętnej mowie do stanòw upadek i rozbiòr Polski. W sto cztery lata potem to przepowiedzenie zaczęło się ziścić, a w sto dwadzieścia siedm całkiem się spełniło. Niemasz więc już dla nas niebezpieczeństwa: wszystko przeminęło i zupełnie się dokonało. Niech jednak dalekie będą od naszej myśli wszelkie złowrogie przeczucia i domysły, dające się tylko zastosować do narodòw, które upadły i nigdy się już nie podźwignęły. Nie z tego kłębka snują się nasze przyszłe losy. Kiedy, wyparci od nieprzyjaciòł, żegnaliśmy naszą rodzin-

ną ziemię, zaraz zaczęliśmy przeczuwać, przewidywać, obiecywać sobie prędki do niej powròt, i teraz to samo powtarzamy w obliczu Francji. Tak jest, nasza Polska, nasza kochana ojczyzna będzie przywròcona w dawnych swoich granicach, i my się do tego przyczynimy. Taka jest nasza wiara. Biada temu, kto o tem wątpi, kto się waha, kto z nas nie wytrwa do końca. Ileżto razy, generale, mòwiłeś nam o niechybnie ziścić się mających naszych nadziejach! Takie jest twoje przekonanie, i takie jest nasze.

Generale! Wszystkich oczy są obròcone na ciebie w głuchem milczeniu. Ale głos twòj rozlega się we wszystkich sercach tu zgromadzonych, we wszystkich wzniosłych umysłach, rozproszonych po obu półkulach. Kiedy mòwisz o nadziei, głos twój przenika nas najwięcej, Polakòw. Czego sobie życzymy, niemniej życzymy wszystkim narodom, a w szczególności narodowi francuskiemu. Wszystkie nasze życzenia są dla Francji.

1/ T. j. wielkich kniaziòw moskiewskich /rzeczka Klazma bierze początek w powiecie moskiewskim/. Zaleskich - z za lasòw, z dalekiego kraju.

2/ T. j. projektòw ks. Lwa Sapiehy w epoce Wazòw. -

3/ W okresie spisku Dekabrystòw.

4/ Imiona skazanych na śmierć lub ciężkie roboty uczestnikòw spisku Dekabrystòw, wykrytego w grudniu 1825 r.; co do uczuć, jakie w sercach Polakòw /m. i. Mickiewicza/ umieli obudzić Rylejew i Bestużew, - por. Wiersz Mickiewicza „Do przyjaciòł - Moskali".

5/ Najdawniejszy - z w. XI - zbiòr praw ruskich.

6/ Zakon - po rosyjsku = prawo, jako przeciwieństwo ukazu, samowolnego dekretu carskiego.

7/ Obchòd urządzono w gmachu, upamiętnionym niegdyś przez pobyt Jana Kazimierza, pod przewodnictwem generała Lafayette, towarzysza broni Kościuszki z walk wyzwoleńczych w Ameryce, obdarzonego - jak widać ze wstępnego wezwania - honorowym stopniem wojskowym polskim. -

8/ To znaczy, że Lafayette już nieraz przewodniczył zebraniom, urządzanym przez emigrantòw politycznych różnych narodòw.

A D A M M I C K I E W I C Z /1 7 9 8 - 1 8 5 5/.

1. Z KURSÓW LITERATURY SŁOWIANSKIEJ [1]/.

a/ R o k t r z e c i. L e k c j a 2 /13 g r u d n i a 1 8 4 2 /.

Obecnośc u Słowian. - Mesjanizm. - Postęp jest szeregiem objawień. - Głòwny jego dogmat. - Słowo. - Każda narodowośc jest rozwinięciem jednego słowa, jednej myśli wcielonej. - Ròżnica mędrcòw od filozofòw. - Prometeusz i Epimeteusz. - Kodeksy, ustawy, porządki ludzkie względem ewangelji; teorje, retoryka, dziennikarstwo względem literatury. - Przeszłośc stawi opòr. - Naròd najbardziej uciśniony od przeszłości. - Co jeden z poetòw polskich mòwi o poezji.

Jeden filozof słowiański, autor dzieła, które będziemy rozbierali, Polak rodem, Trentowski, opiera swòj system na tem, że obecnośc[2]/ jest wszystkiem dla człowieka. Myśl tę, mającą pozòr paradoksu, wyraził już pierwej poeta polski, Garczyński:

> Teraźniejszy świat tylko jest boski, jest wielki;
> Przeszły, przyszły są niczem...

Może to zdawac się dziwnem, że poeta i filozof ze szczepu, który teraz nie gra roli bardzo świetnej, z narodu, który dobija się nie o co innego, jak o przyszłośc, przywiązali się do chwili obecnej; ale ta chwila wedla nich jest to działanie, życie, siła, jest to owoc dziejòw przeszłych, zaròd przyszłych. Tym sposobem pomniki piśmienne, wszelkie zabytki, przechowujące tylko pamięc tego, co minęło, wszelkie okruchy przeszłości, ktòremi tak się chełpią niektòre narody, w tem pojęciu słowiańskiem są niczem: bo przeszłośc powinna znajdowac się cała w duchu ludzkim, ktòry zawsze jest obecnością. Przyszłośc podobnież, przyszłośc, jako nadzieja filozoficzna do urzeczywistnienia, nie liczy się za nic w życiu obecnem, w życiu wielkiego rodu ludzkiego; dopiero duch człowieczy, realizując skupioną w sobie przeszłośc, ciągle daje początek przyszłości.

Musieliśmy naprzòd wyłożyc tę prawdę, ponieważ powołani jesteśmy traktowac filozofję, nie mającą żadnej szkoły, literaturę, posiadającą dzieł niewiele. Powołanie nasze nakazuje nam okazac nawet małą wartośc moralną wszystkiego, co jest pamiątką, pomnikiem, co było zrobione na ubòstwienie dumy człowieka, na łechtanie jego próżności.

Owòż tedy, Bòg ciągle, w każdej chwili mòwi przez ducha ludzkiego, a działanie to stanowi obecnośc. - Nieraz zwracaliśmy uwagę naszych słuchaczy szczegòlniej na znaczenie obecności dla Słowian. Wielekroc wskazywaliśmy skinienia, znaki, jakie ludy te czynią do ludòw zachodnich: przebija się w nich sama chęc zgody. Słowianie nie grożą już najściem Europie, wzywają ją do przymierza.

Adam Mickiewicz.

Narody słowiańskie od dawna dążą ku temu. Jeden z pomiędzy nich, mianowicie naród polski, wyprzedzał prawie zawsze swoich filozofów i poetów. Dlatego też życie historyczne i działanie tego narodu ważniejszym jest przedmiotem od jego literatury. Podobnież ma się rzecz i z innemi narodami słowiańskiemi. Jeżeli jenerał Suwarow był większym od poety Dzierżawina, który go sławił, można powiedzieć także, że ostatnie powstanie Polski miało więcej mocy, wydało charaktery dobitniejsze od zapowiedzianych przez poetów, że nawet teraz są fakta, sięgające daleko wyżej, niżeli wszystkie nasze filozofje i literatury. Dodamy nawiasem, że przytomność znacznej liczby słuchaczy słowiańskich tutaj nie jest przypadkową, ale ma ścisły związek z ciągiem zjawisk politycznych i literackich.

Z całej historji ludów słowiańskich, a osobliwie z pochodu dziejów narodu polskiego, wynikło, jakeśmy to powiedzieli, przypuszczenie mesjanizmu, czyli szeregu objawień. Pierwej, nim przystąpimy do rozbioru dwóch wielkich pisarzy, musimy jeszcze chwilę zastanowić się nad tym przedmiotem.

Już w roku przeszłym widzieliśmy, że różnica, jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwinięty ma naturalne posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat mesjanizmu. Opatrzność używa takiego ducha za swój organ; Bóg nie używa innego sposobu przemawiania do ludzi, obiera na to sobie człowieka. Nie wciela się On w szkoły, złożone z indywiduów różnego charakteru i różnej wartości moralnej, nie wyraża się przez książki, których autorowie mogą dogadzać egoizmowi albo chuciom ziemskim: przemawia przez ducha takiego, co pilnował się Jego praw, udoskonalił siebie, jak należy, czyniąc zadość warunkom do tego potrzebnym, wytrzymał próby, osiągnął mądrość. Wiedziano o tem dawno, znali to mędrcy starożytni, których później zastąpili filozofowie. Nie jest to zdanie nowe, ale trzeba, żeby się stało dogmatem powszechnym, a stało się już nim dla filozofów i poetów wielkiego narodu europejskiego, co rzecz godna uwagi.

Owóż duch, który pracuje, który się podnosi, który bez ustanku szuka Boga, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane słowem, i staje się objawicielem. Człowiekowi ukazuje się nagle przed oczyma nie system, ale, jakeśmy powiedzieli, słowo, i dlategoż to największe ze wszystkich objawienie chrześcijańskie nazwano słowem. To światło Boskie, któremu dość jednego człowieka, żeby się objawić, rozwija się później, bo jest słowem żyjącem; rozwija się w systemach, w szkołach, a nadewszystko w czynach; nie potrzeba mu dowodzeń, rozumowań, przeświadcza samo przez się; nie wykłada szeroce tych systemów, nie zapowiada nawet zgóry, co ma sprawić; przemawia i realizuje się razem. Widzimy teraz, dlaczego w ewangelji niemasz ani jednego przykładu dyskusji, ani jednego sylogizmu, ani jednej obietnicy pod względem ekonomicznym, politycznym lub socjalnym, a jednak słowo to sprawiło zmiany niezmierne we wszystkich gałęziach wiadomości ludzkich.

Na wzór tego objawienia głównego, będącego, jeśli godzi się tak powiedzieć, kapitałem rodu ludzkiego, są objawienia cząstkowe: można nawet rzec /co udowodnimy kiedyś, rozważając dogmat społeczeński Słowian/, że każdy lud brał swój związek z objawienia, że każda narodowość polega na objawieniu osobnem. Ile było wielkich narodów, każdy powstał z jednego człowieka, z jednaj myśli, i żył dlatego tylko, żeby tę myśl zrealizował.

Filozofja, czyli co nazywają filozofją, to jest robota inteligencji, która wyłamuje się z pod wszelkich prawideł moralnych, która nie chce poddać się żadnemu warunkowi, położonemu przez Opatrzność, która mniema, że dosyć jest rozumować i dyskutować, ażeby otrzymać prawdę, filozofja taka, wedle powyższego sposobu uważania rzeczy, jest tylko naśladowaniem, albo raczej fałszerstwem objawienia. Mędrcy objawiają wielkie prawdy, mędrcy czyli cnotliwi /bo po grecku sofos znaczy razem jedno i drugie/, ludzie święci odkrywają wielkie rzeczy; filozofowie udają, że czynią toż samo. Mamy tutaj znaczenie bajki o Prometeuszu i Epimeteuszu. Prometeusz dostał ogień z nieba, i ogniem tym ożywił człowieka, to jest dał wiedzę, założył instytucję; Epimeteusz, chcąc naśladować brata, stworzył tylko małpę.

W rozwijaniu się tedy politycznem narodu, dają się widzieć ludzie przeniknieni tradycją narodową i ci prowadzą naród ku jego przyszłości. Ukazuje się także szereg ludzi natchnionych, którzy od czasu do czasu zjawiają się w chwilach stanowczych. Natchnienie to, jak można wnosić z głębokiego zastanowienia się nad historją, będzie coraz mocniejsze. Pominąwszy bowiem rozbiór instytucyj ludów starożytnych, rzućmy tylko okiem na samo chrześcijaństwo.

Narody chrześcijańskie, przyjąwszy nową wiarę, pozostały jednak pod prawodawstwem [illegible]ańskiem. System kast nie ma miejsca w ewangelji. Wyobrażenie dziedzictwa nie znajduje się także w księgach chrześcijańskiego zakonu. Wojny i traktaty bywają teraz bardziej barbarzyńskie, niżeli zabory i układy Rzymian: radzili się w tem oni przynajmniej swoich kapłanów, zwanych salienses. Ewangelja przeto, przejęta przez ludzi pojedyńczo uważanych, nie weszła w życie polityczne narodów. Kodeks rzymski po dawnemu służy za prawidło trybunałom; prawo arystokratyczne plemienia germańskiego stało się wszędzie, przynajmniej w państwach zachodnich, prawem publicznem; a wszystkie te ustawy, wszystkie te zwyczaje wykluczają natchnienie, kiedy przecież przyszłość narodów założona jest na słowie natchnionem. Oto bo potrzeba czasu, żeby nowy porządek rzeczy wszedł na miejsce starego. Widzimy wszakże, że po wprowadzeniu chrystjanizmu do Galji płomię natchnienia zapala się w niej od czasu do czasu i przedziera się wśród gęstwy przesądów, nawyknień powszednich. Widzimy nadewszystko w Dziewicy Orleańskiej przykład. Wzór, typ nowego porządku rzeczy. Zjawisko to nie mogłoby być pojęte ani przez Greków, ani przez Rzymian. Osobę tę wydał już chrystjanizm. Prosta wieśniaczka, która staje na czele wojska dlatego, że otrzymała wyraźny

rozkaz od Boga, która znieważa władze urzędowe do posłuszeństwa natchnieniu, jest osobą ewangeliczną, jest zapowiedzią, jak na świecie ma dziać się kiedyś. Nie będziemy przywodzili tu innych przykładów z krajów mniej znanych publiczności francuskiej; wspomnimy tylko sławnego Szwajcara Davell, co także zaufany w natchnieniu, opanował był Lozannę, wypędził z niej Berneńczyków i dał współobywatelom swoim wolność, której oni lękając się używać, wrócili znowu pod przemoc obcą 3/.

Wierzymy więc i mamy powody wierzyć, że narody chrześcijańskie zbliżają się coraz bardziej do zrealizowania ewangelji, i że wtedy duchy te wyższe, zdolne otrzymywać natchnienie Boskie, będą powołane do odegrywania ról, jakie nie mogłyby zgadzać się z teraźniejszym stanem społeczeństw. Zastanowimy się jeszcze nad tą myślą pod innym względem, roztrząsając poemat, od którego zaczniemy tegoroczny kurs literatury.

To samo objawienie, co prowadzi ludy, posuwa także i ich literatury. Dają mu rozmaite nazwiska, powiadając zwykle, że aby pisać, tworzyć dzieła, trzeba mieć talent, dar, co jest nie czem innem, jak tylko objawieniem. W dziedzinie przeto literatury zachodzi ten sam spór, jaki i w politycznej. Jak kodeksy, ustawy tamują ciągle rozwijanie się chrystjanizmu, tak szkoły, teorje, retoryka, dziennikarstwo tłumią postęp literacki. Wszystko to przeszkadza człowiekowi otrzymywać natchnienie. Dlategoż nigdy wielcy artyści nie wychodzą ze szkół, ale czerpią siłę twórczą z wielkiego życia, krążącego w narodzie; inaczej trudno byłoby pojąć, skąd biorą się wielcy artyści w krajach, gdzie niemasz ni szkół, ni dzienników, ni nawet księgarni.

Podług tego, cośmy powiedzieli, możemy powtórzyć, że naród, który najwięcej cierpiał z przyczyny dawnego porządku rzeczy, naród najbardziej uciśniony przez potęgi, opierające się na przeszłości, naród polski, został przygotowany do przyjęcia wielkich i ważnych objawień.

Poczniemy naprzód od poezji i przytoczymy wyjątek ze wstępu poematu, mającego tytuł Nieboskiej Komedji. Da on nam widzieć, jak Polacy pojmują poezję. Wstęp ten, bez ogólnego napisu, dosyć jest ciemny; autor odzywa się tu do poezji w ogólności, do jej ideału, jaki sobie wystawia.

„Gwiazdy wokoło twojej głowy - pod twojemi nogi fale morza - na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły - co ujrzysz, jest twojem - brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą - niebo jest twojem. - Chwale twojej niby nic nie zrówna".

„Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. - Splatasz serca i rozwiązujesz, gdyby wianek, igraszką palców twoich - łzy wyciskasz - suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę - na chwil kilka - czasem na wieki. - Ale sam co czujesz? - ale sam co tworzysz? - co myślisz? -

- przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. - Biada ci - biada! - Dziecię, co płacze na łonie matki - kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie".

Po tem skreśleniu potęgi poezji istotnej, następuje teraz obraz nędzy poezji, uważanej jako sztuka.

„Skądżeś powstał, marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz. Kto cię stworzył w gniewie lub w ironji? - Kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać anioła chwilą, nim zagrzążniesz w błoto, nim jak płaz pòjdziesz czołgać i zadusić się mułem? - Tobie i niewieście jeden jest początek".

„Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. - Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. - Twoje rozpacze i westchnienia opadają nadół, i szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń - a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana".

„Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezjo, matko Piękności i Zbawienia. - Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach, mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie - bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywemi głosami twej chwały".

„Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bòg zamieszkał w świecie, nie widziany, nie słyszany, w każdej części jego okazały, wielki; Pan, przed którym uniżają się stworzenia i mòwią:

„On jest tutaj". - Taki cię będzie nosił, gdyby gwiazdę na czole swojem, a nie oddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. - On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. - A kto cię nie dochowa, kto zdradzi za wcześnie i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwròcisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata przez całe życie. - Temu i niewieście jeden jest początek".

Zwròcimy jeszcze pòźniej uwagę na niektòre wyrażenia tego prześlicznego kawałka, pokazującego nam, jak pisarz polski pojmuje poezję. Dla niego nie jest ona sztuką, rozrywką: odmalował tutaj wizerunek potęgi poetyckiej, potęgi ducha, co, rzuciwszy się całkiem w rydwan swojej imaginacji, buja na tej tęczy po morzach i obłokach, mniema posiadać wszystko, ale gubi się przez to, że ten dar niebieski obraca na marną rozkosz. Przed kilku laty, jak wiadomo, była nawet utworzyła się we Francji teorja takich wędròwek po czasie i przestrzeni dla zbierania poezji, przebiegając kolejno chińską, arabską i t. d. Autor, o którym mòwimy, ma poezję za natchnienie wielkiej wagi, każe ją nosić, jak gwiazdę na czole, i nie rozdzielać się od niej przepaścią słowa. Wysłowić ją, wypisać, jest to wedle niego zmarnować, zdradzić. Słowo napisane dowodzi niemocy do czynu. Grecy nawet nieinaczej pojmowali prawdziwą poezję, jak w czynie: poezja po grecku znaczy dzia-

łanie. Czegoż chce nasz autor? Oto żeby duchy najhartowniejsze, najwznioślejsze, najbardziej stykające się z bòstwem, nie puszczając sił w czczych wyrazach, zachowały je całkiem na działanie, na czyny. - Biada im, jeśliby tylko mieli gadać i pisać; wtedy to byliby skazani całe życie bawić się garstką zwiędłych kwiatòw. Taka jest myśl wstępu Nieboskiej Komedji.

b/ Rok czwarty, lekcja 2/26 grudnia 1843/.

Życie prawdziwe i życie pozorne. - Ròd słowiański gotuje się do zabrania głosu. - Pismo Biesiada. - Doktryna i doktrynery. - Czego Słowiańszczyzna potrzebuje od Francji i na jakiej tylko drodze porozumieć się z sobą mogą. - Intuicja. - Jaką i czyją pracą dobywa się prawda na niwach słowiańskich.

Podczas wielkiej rewolucji francuskiej widywano na obradach publicznych osoby, które po kilka i kilkanaście miesięcy nie odzywając się nigdy, skinieniem tylko albo okrzykiem dawały znak, że co zgromadzenie czuło, to zgadzało się z ich uczuciem. Życie ich wewnętrzne szło silniej i prędzej od rozpraw ustnych. Z czasem przychodziła pora, że i ci ludzie milczący musieli wystąpić na mòwnicę, bo już w mowach swoich spòłtowarzyszy nie słyszeli tego, co im własne sumienie mòwiło.

Podobnie bywa i z ludami: wielki jeden naròd, wielki odłam ludzkości, znajduje się w położeniu tych publicystòw niemych. Filozofja i poezja jego są to tylko znaki, skinienia, ktòremi zdaleka dodaje bodźca albo potakuje Zachodowi; a i te znaki stają się coraz rzadsze, bo ròd ten skupia się w sobie, gotuje się do zabrania głosu. W naszym zawodzie tłumaczenia życia wewnętrznego Słowian zostaliśmy nakoniec i od poezji, i filozofji opuszczeni.

Pośròd tej ciszy jedno tylko pismo nam przybyło, pismo bezimienne, ale sama jego wielkość wskazuje źròdło, z ktòrego pochodzi. Puszczone bezimiennie, jak większa część tegoczesnych dzieł słowiańskich, zostało nawet ogłoszone drukiem bez wiedzy autora. Zdrada ta, posługując za narzędzie Opatrzności, uczyniła je nabytkiem publicznym. Tytuł tego pisma jest Biesiada. Weźmiemy je za osnowę naszego kursu tegorocznego.

Z pomiędzy filozofòw nie przytoczymy więcej żadnego, pròcz Cieszkowskiego Polaka i Emersona Amerykanina, ktòrzy nam pomogą dać pojąć publiczności, co w wyżej wymienionem piśmie mogłoby być dla niej rzeczą zbyt nadzwyczajną.

Z poezji podejmiemy niektòre miejsca dwòch poematòw polskich, mających tytuł Przedświt i Sen Cezary.

Ale żebym odważył się podać wam wyròb, jaki powinienem wypracować z tej osnowy, żebym śmiał przeczytać wam choć

jeden wyraz tego pisma, muszę naprzód porzucić metodę, panującą dzisiaj we wszystkich politycznych i religijnych rozprawach na Zachodzie, metodę rozbiorową, tor ubity, nałogi, powzięte z prawideł szkolarskich. Przed dwudziestu laty nie ośmieliłby się nikt tutaj odczytać poematu cudzoziemskiego, tragedyj Szekspira naprzykład; bo trzeba mu byłoby pierwej wiedzieć, do jakiej szkoły słuchacze należą: czy są romantykami, czy klasykami, czy trzymają się Boileau. Szczęściem, publiczność pod tym względem uczyniła postęp i mogliśmy już z katedry czytać utwory ślepych dziadów serbskich i pastuchów litewskich.

Teraz poruszamy przedmiot daleko ważniejszy, przedmiot, w którym zbiegają się wszystkie interesa, wszystkie zagadnienia naszej epoki: nie możemy przyjąć pola, jakie nam podają doktryny i doktrynerowie Zachodu. Pismo, którego tytuł wymieniłem, wypowiada wojnę wszystkim doktrynom, wszystkim układom rozumowym. Bo i cóż to jest doktryna, co doktryner?

Od ścisłego oznamionowania doktryny zależy więcej, aniżeli może mniemamy. Owóż, patrzmy, co znaczy szukać prawdy, a co doktrynować. Wszelka prawda nowa wymaga po człowieku nowego podniesienia się do niej; wszelka prawda nowa, to jest wszelka cząstka życia nowego, wyzywa człowieka do ofiary z cząstki życia dawnego. Nie można podnieść się wyżej, nie opuściwszy szczebla niższego, albo nie będąc gwałtem z niego wyrwanym. Wszystko, co zwiastuje przyszłość, odrywa nas od przeszłości; i dlategoż każda prawda rodzi się w bolu, każda prawda zadaje ból; dlategoż każda prawda nie żyje i nie utrzymuje się inaczej, jak tylko pracą, która także jest bolem, cierpieniem.

Ewangelj porównała prawdę do tych talentów[4], których nie możemy utrzymać, nie pracując na pomnożenie ich dorobkiem.

Jakże doktryna postępuje sobie, i co to jest doktryner? Doktryner jest to człowiek, który chce skazać prawdę na bezpłodność, bo chce uwolnić nas od wszelkiej pracy. Skoro czujemy się szczęśliwi i dumni z osiągnięcia jakiej prawdy, doktryna zaraz przychodzi nam mówić: nie macie potrzeby pracować więcej, zdobyliście już wszystko, przy świetle tego jednego promyka możecie iść do końca świata; pozostaje wam tylko cieszyć się skarbem, utrzymać nabytek i umieć go urządzić: cała rzecz jest już w ręku, chodzi tylko o wydoskonalenie szczegółów, specjalności. Doktryna podaje formuły.

Zwodnicza ta mowa ujmuje człowieka i pomału wyciąga z niego całe życie. Tym to porządkiem, po apostołach i cudotwórcach następują teologowie i kazuiści, a wtedy przychodzi nawet do utrzymywania, że cuda i dary Ducha, jedyny dowód jego bytu, są już niepotrzebne więcej dla ludzkości, że ludzkość ma w podręcznych zbiorach teologji wszystko, co tylko jej przeznaczono wiedzieć o ziemi i niebie, o teraźniejszym i przyszłym świecie.

Tym to porządkiem, po wielkich prawodawcach następują prawnicy i adwokaci ze swojemi formułami i wyrażeniami, ukutemi raz na zawsze. Tym porządkiem, po wielkich wojownikach, po mężach natchnionych, zajmują miejsce ludzie nauczający, że pokòj przedewszystkiem, że każdy u siebie i dla siebie. Przyjście tego rodzaju ludzi jest prawie zawsze znakiem upadku ducha ludzkiego. Tak kończył się świat grecki i tak kończy się świat zachodni.

Doktryna łatwo się przyjmuje, bo nie naraża ducha na żaden koszt, nie wymaga po nim żadnej ofiary z miłości własnej. Doktryner powiada ci: Dowiesz się wielkich, pięknych rzeczy, staniesz się mądrym i potężnym, a nie będziesz obowiązany poświęcić, nawet w czemkolwiek zmienić twoich przekonań. Każdy tedy, trzymając na stronie swòj egoizm obwarowany, rad udaje się po wiedzę, pewien, że ją otrzyma i, otrzymawszy, obròci na dogodzenie sobie.

Zachòd dusi się w swoich doktrynach. Gdyby plemię, występujące teraz na scenę świata, nie miało nic więcej zrobić, tylko dorzucić nową książkę do nieprzebrnionych stosòw książek, tylko dodać nowy system do niezliczonych systemòw, któ-re was obarczają, przybywałoby z niczem, poczynałoby od tego, na czem zwykle się kończy.

Ale tak nie jest. Plemię to nie przyjmuje żadnego z waszych systemòw i samo żadnego nastręczać wam nie myśli. Najkosztowniejszy i najdojrzalszy owoc, spadający z drzewa żywota tego rodu, nie ma nic wspòlnego z tem, co pospolicie podają wam pod postacią wyrobòw filozoficznych i literackich.

Płòd, wzięty przeze mnie za przedmiot pracy, wynika z tej gòrnej krainy, którą filozofowie w języku swoim nazywają intuicją. Krainę tę filozof polski, Cieszkowski, wskazał za jedyne źròdło wszelkiej prawdy spodziewanej; do tegoż przyszedł i filozof amerykański, Emerson.

Żeby wszakże wznieść się w tę krainę, żeby się w niej rozgościć jak w ojczyźnie, żeby mową pospolitą oddawać śmiało najwyższe, najświętsze powzięcia duchowe, muszę zrobić uroczystą odezwę do uczucia francuskiego mojej publiczności, do jej ducha drgającego łatwo.

Skoro się to uczucie obudzi, ujrzycie, że się wam nie przynosi nic nowego. Trzeba tylko, żeby genjusz francuski wszedł w samego siebie. Jest to genjusz, najwięcej dobywający ze swojego wnętrza. Wchodzenie w siebie, łatwe chwytanie tego, co każda chwila nastręcza i co z każdej chwili wyciągnąć można, czyni genjusz francuski tak samodzielnym. Niechaj was nie uwodzi doktryna raz wraz prawiąca o <u>specjalnościach</u>, jakgdyby przeznaczeniem młodzieży dzisiejszej nie było nic więcej, tylko udoskonalać drobiazgowe szczegoły przemysłu. Nikt bardziej od nas nie unosi się nad cudami, jakie przemysł wyrabia, nad tą jego niezmierną siłą, która musi opanować ziemię; ale idzie tu o coś daleko ważniejszego; idzie o to, kto zgarnie w swoją dłoń te wszystkie ogromne środki przemy-

słowe, jaki duch obejmie rządy globu? Arsenały nie mają opinji, służą na użytek każdemu zdobywcy. Duchy narodòw są teraz w walce. Przy kim zostanie zwycięstwo, przy kim panowanie, a zatem i władza kierowania po swojemu temi wszystkiemi narzędziami siły materjalnej? Czy duch Anglji albo Rosji, czy duch Francji będzie nam rozkazywał? Francja powinna myśleć o tem; ona jest powołana rozwiązać ważne to zagadnienie. Francuzi! jakiż to ma być ten duch potężny, któremu dostaną się w zarząd te wszystkie drogi, machiny, okręty?

Ludy pòłnocne nie proszą was o inżynieròw, nie żądają od was machin. Młodzi francuska! Pòłnoc nie rozstaje się z tem przekonaniem, że Francuz jest reprezentantem myśli szlachetnych, uczuć liberalnych, jest reprezentantem ruchu. To jedno tylko zapewnia wam poważanie u niej, to jedno sprawuje, że się jej oczy i nadzieje obracają ku wam. Co poeta rzymski wyrzekł do swoich spòłrodakòw, upominając ich, aby Grekom zostawili sztuki i rzemiosła, a pamiętali, że ich rzeczą jest rządzić: Imperio regere Romane memento, tego nie przestaniemy powtarzać genjuszowi francuskiemu. Tajemnica waszej potęgi, którą powinniście odzyskać, jeżeli nie chcecie jej zrzec się, leży w waszym duchu; a wszystkie doktryny bez wyjątku, wszystkie systemy godzą tylko na to, żeby was wyciągnąć z tej świątyni i poprowadzić na manowce szczegòłòw i drobnostek.

Cały zbiòr materjalnych sił przemysłu wpadał zawsze pod władzę tego, kto potrafi rozwiązać głòwne zadanie ludzkości.

Centurjon rzymski, nieumiejętny i nieokrzesany, ale dumny, bo reprezentował rozwiązanie najwyższej kwestji politycznej za czasòw starożytnych, kazał wołać do siebie uczniòw najsławniejszych mechanikòw i geometròw greckich, uczniòw Archimeda, Euklidesa, i kijem napędzał ich, żeby mu wytykali drogi, robili machiny. Z miast przepysznych, których zwaliska są jeszcze dzisiaj podziwem, zabierał architektòw etruskich i kijem zmuszał, żeby budowali świątynie, stawili bramy triumfalne w Rzymie; bo miał on nabyte prawo rozkazywania i rządzenia, prawo najwyższe, które daje się tylko w nagrodę temu, kto poświęcił wszystko, aby wznieść się do wysokości, z której można widzieć rozwiązanie zagadki swojego czasu.

W was Francuzach jest coś z tego ducha rzymskiego. Zarzucają wam lekceważenie specjalności; wzruszają ramionami na to, że u was częstokroć odrazu wychodzi na ministra taki, co nie strawił życia przy biurze; mają wam za złe, że powierzacie dowòdztwo armji jenerałom, nie wyszłym ze szkòł wojskowych. Słusznie jednak tak robicie. Jesteście wierni genjuszowi narodowemu; bo znacie, że na powiedzenie słowa, stosownego do okoliczności i chwili, trzeba więcej siły i mocy, aniżeli na wbicie sobie w głowę wszystkich manuałòw kameralistyki 5/ austrjackiej i pruskiej. Wiedzcież przytem, że tylko na tej drodze zapału i wewnętrznego poczucia ròd słowiański będzie mògł porozumieć się z Francją przyszłą.

Słowiańszczyzna zna waszych poetòw, waszych mowcòw i waszych wojownikòw; niepotrzebni jej na nic wasi encyklopedyści, wasi, jak ich nazywacie, ludzie specjalni. Powtarzam, że tylko na tej jedynej drodze potrafimy porozumieć się z sobą. Nie przynosimy wam nic nowego.

Przytoczę tu przykład, jaki mamy na człowieku najpraktyczniejszym w starożytności pogańskiej, na największym taktyku greckim, na Xenofoncie. Xenofont, jak wiadomo, nie był nigdy wojskowym, znajdował się przypadkiem pośròd dziesięciu tysięcy, otoczonych przez nieprzyjaciòł w głębi Azji. Jakże się to stało, że nagle jednego poranku obudził się z gotowym planem wybawienia tego wojska, został jego wodzem i wykonał òw sławny odwròt, zadziwiający strategikòw dzisiejszych? Sam on to nam opowiada. „Miałem sen, mòwi, zrozumiałem, co znaczył, i pobiegłem natychmiast do naczelnika i żołnierzy. W natchnieniu, otrzymanem przez ten znak z nieba, przełożyłem im, co trzeba czynić. Zrobili mię swoim wodzem". Jednej chwili Xenofont ujrzał swoje powołanie, poznał swoje obowiązki, odrazu wyuczył się sztuki naczelnego wodza.

Tym sposobem także wasi wielcy ludzie wiekòw średnich i nowożytnych, tym sposobem niektòrzy dyplomaci za czasòw Konwencji, tym sposobem Napoleon, nabywali znajomości spraw całej Europy i całego świata.

Nie sądźcie, żeby te środki sztuczne, które zdają się teraz ułatwiać stosunki między państwami, zbliżały narody jedne do drugich. Bynajmniej; duch tylko może je zbliżyć. Nigdy ludy nie były bardziej, jak dzisiaj, pooddzielane, porozkruszane, poròżnione moralnie.

Dam wam tego dowòd historyczny. W owych wiekach, które nazywamy barbarzyńskiemi, jeden z waszych monarchòw, Karol Wielki, siedząc w swojej stolicy nad Renem, zaprzątał się bez ustanku sprawami ludòw, mieszkających nad Odrą i Wisłą. Są traktaty, zawarte między niektòremi ich pokoleniami a Francją: możecie je widzieć w waszych kronikach średniowiekowych. Znał on nawet szczegòły domowego urządzenia się tych ludòw, znał, o co się kłòciły z sobą. Pytamże się, czy wasi dzisiejsi politycy i dyplomaci, przy pomocy kart geograficznych i doniesień, dostarczonych przez posłòw, wiedzą tyle o tamtych stronach, ile Karol Wielki wiedział? Odpowiedź łatwa, bo miarą świadomości dyplomacji jest przewaga polityczna, a wpływ wasz na Pòłnocy jest żaden. Tenże sam Karol Wielki, patrząc jednego razu na ocean i widząc zdaleka snujących się kilka łòdek normandzkich, zalał się łzami wobec zdumionych dworzan, którzy nie mogli zgadnąć, skądby ten nagły smutek pochodził. Łòdki te były wzwiadami nadchodzącej strasznej napaści, która miała wkròtce zaburzyć pokòj Francji, i w mgnieniu oka cesarz przewidział całą grozę tego niebezpieczeństwa.

Skądże on brał tę wiedzę i tę moc, co mu nadawały działalność sięgającą tak daleko? Oto wchodził głęboko w samego siebie i tam czerpał siłę do wzniesienia się w gòrę.

Największy z waszych, i największy ze wszystkich wojownikòw, kiedy go zapytano, od czego zależy zwycięstwo, odpowiadał, że od iskry moralnej, od tej chwili wewnętrznego poczucia, którą on nazywał iskrą moralną. Wszystko tedy, cokolwiek wielkiego i pięknego macie w waszych dziejach, zwraca was w krainę intuicji, to jest w krainę wewnętrzną ducha.

W naszych stronach rolniczych wiadomo to z doświadczenia, że gatunki zboża po pewnym przeciągu lat zwodzą się i nędzniejąą, a wtedy żeby je odnowić, trzeba sprowadzić nasienie z krainy, która ma to do siebie, że wydaje zawsze ziarno zdrowe i bujne.

Ziemia, często tu przez nas wspominana, ziemia wedle słòw poetòw naszych, kopytami zryta, ciałami poległych utłuszczona, kośćmi ich zasiana, jest tą krainą męczeńską, mającą przywilej dostarczania zboża na zasiew okolicom najlepiej uprawnym.

W świecie duchòw podobnież jest kraina tajemnicza, do której trzeba udawać się po to ziarno nasienne, z którego można rozpleniċ moc, życie i wiedzę. Ku tej to krainie powołują was wyroby ducha słowiańskiego.

My Słowianie nie mamy nic więcej nad świeższą pamięć krainy, z którejśmy przyszli, krainy, z której wszyscy ludzie przychodzą, krainy, będącej mieszkaniem ducha. Przybywszy ostatni na scenę tego świata, pamiętamy jeszcze całe rozpołożenie naszej ojczyzny duchowej; i jeżeli uznacie nas za braci, my doprowadzimy was do poznania naszego Ojca wspòlnego, do poznania Jego domu.

Tak nazywam tę krainę wewnętrzną, tę sferę niewidomą, dobrze znaną filozofom starożytnym, Pytagorasowi, Platonowi; dobrze znaną ludowi stron naszych, który duchem ciągle w niej przebywa; niemniej znaną i waszym mężom wielkim, ale zdawna opuszczoną już i zaniechaną przez doktryneròw i systematykòw zachodnich.

Zbieram w jedno, com powiedział. Odzywałem się do waszego pobłażania i współczucia, bo znam trudność, jaką będziemy mieli w przebyciu tej niezmiernej przepaści, co leży między martwemi doktrynami dzisiejszych czasòw, a ową krainą, z której płynie życie i prawda. Przepaść tę można tylko przesadzić jednym skokiem.

Uczułem to, że pisma wymienionego powyżej nie mogę wam czytać, jak książki zwyczajnej, że nie mogę go czytać inaczej, jak tylko w podniesieniu się do najwyższego szczebla sfery filozoficznej i religijnej. Nim zaś przystąpię do tego, trzeba, abym pierwej wskazał wam warunki, którym koniecznie poddać się powinien, kto szczerze szuka prawdy.

Pierwszym z tych warunkòw jest pozbycie się zupełne wszystkiego, co nas rozrywa, co nas wwodzi na manowce doktryny dzisiejszej: wyzwolenie się całkowite z więzòw wszelkich doktryn i z jarzma doktryneròw.

W takiem tylko usposobieniu ducha da się pojąć słowo, wydobyte sposobem zgoła niepodobnym do tych wszystkich, jakiemi dziś zwyczajnie ludzie chcą znaleźć prawdę. Człowiek starej epoki szuka prawdy z pychą, otwiera każdą książkę z uśmiechem wzgardliwym, i łowi w niej to tylko, co nie obraża jego miłości własnej, a nadewszystko, co go nie obowiązuje do niczego, nie wyzywa do odważenia się na nic, nie wymaga po nim żadnej ofiary. Prawda dla niego powinna być dogodną, - łatwą, zalotnicą. Ale na niwach, gdzie nasz lud ma siedlisko, wszystkie szczątki prawdy nabywają się w pocie ducha. Tam mieszkają miljony ludu znanego całemu światu, ludu, będącego starszym ludów europejskich, starszym wszystkich ludów cywilizowanych, miljony Izraela, który z głębi swych bożnic nie przestaje od wieków wołać krzykiem, z jakim nic w porów-nanie iść nie może, jakiego zapomniało już plemię człowiecze; a jeżeli jest co takiego, co może prawdę ściągnąć z wyż na ziemię, to zapewne nie są bez skutku te wniebogłosy, w których człowiek skupia i wystrzela całe swe życie. Mieliżby ci nieboracy, przez tyle set lat stale jękiem i płaczem żebrzący o prawdę, mniej być pewni jej osiągnięcia, niżeli uczeni, spokojnie zagrzebani w książkach, albo ludzie, czerpający światło z pism dziennikarskich. Na niwach naszych żyją miljony ludu włościańskiego, który pod razami batoga i brzemieniem ucisku, zgięty ku ziemi, pracą jego użyźnianej, nie przestaje wzdychać o pomoc do Boga. Pomocy tej wzywają i wszystkie wznioślejsze umysły Zachodu; starają się ją znaleźć nawet doktrynery, sami nie wiedząc o tem. Ziemia potrzebuje ratunku. Epoce nowej potrzeba nowego udziału prawdy powszechnej.

Teraz zostawuję wam samym sąd, gdzieby najwłaściwiej ta prawda zjawić się mogła, i jakiby był najpewniejszy sposób jej osiągnięcia. Słowa, które mamy wam powierzyć, są owocem długiej i bolesnej pracy narodowej, podajemy je z głębokiem przekonaniem, że jest w nich promień, mający oświecić teraźniejszość i przyszłość. Potężny genjusz ludów zachodnich znajduje się teraz w położeniu wędrowca, któremu trzeba tylko mgnienia błyskawicy, żeby ujrzał swoją drogę.

c/ Rok czwarty, lekcja 12 /30 kwietnia 1844/.

Barbarzyństwo. - Postęp. - Człowiek wieczny. - Syn Człowieczy i Człowiek, przeznaczony dzieło jego w epoce teraźniejszej prowadzić dalej. - Życie narodowe i rodzinne. - Jedyny sposób pracowania dla szczęścia narodów i rodzin, sposobienie ich, aby znalazły i uznały Ideał.

Kraje, które wam skreślałem, plemiona, których opowiadałem historję, według przyjętego sposobu widzenia rzeczy, noszą nazwisko barbarzyńskich.

Społeczeństwa cywilizowane u kresu swego rozwinięcia się nazywają barbarzyńskim każdy lud nowy. Przyjęliśmy bez

ogròdek to nazwisko: istotnie, jesteśmy barbarzyńcami epoki teraźniejszej. Barbarzyństwo z ziemi naszej rozlewało się po Europie: wszystkie ludy znane niegdyś pod nazwiskiem barbarzyńcòw, przechodziły naszą ziemię i naszą historję ojczystą; zdeptawszy dopiero Słowiańszczyznę, spadały one na Galję, na Hiszpanję, na Zachòd cały. Dzieje nasze zatem bardziej, niż jakiekolwiek inne, związane są z dziejami barbarzyńcòw.

Wytłumaczyliśmy niektòre tajemnice ich wedròwek; pozostaje nam teraz powiedzieć cokolwiek o ich wpływie na Europę, sprostować w tym względzie wielki błąd historykòw zachodnich. Rozprawa ta wprowadzi nas znowu na główną kwestję naszą.

Jest powszechne mniemanie, że barbarzyńcy w wieku V przerwali chòd postępowy ducha ludzkiego, wstrzymali pęd wyobraźni, zniszczyli nauki, odepchnęli ludzkość napowròt w ciemnotę. Historycy dodają wszakże, że się też i im coś należy, że odświeżyli oni i odmłodzili plemiona zachodnie. Zdaniem tych historykòw, najścia barbarzyńcòw nie miały innego zbawiennego skutku pròcz pomieszania krwi plemion.

Do takich to niskich widokòw ściągnięto jedną z najważniejszych kwestyj historycznych; tak po bydlęcemu zapatrywano się na myśl Opatrzności, ktòra wiodła barbarzyńcòw na Zachòd.

Gdyby miano prawdziwe pojęcie postępu, potrafionoby dostrzec lepiej zrządzenie opatrzne w napływie ludòw. Zapomocą tego pojęcia łatwo jest widzieć, że ludzkość europejska nie cofała się nigdy, że w postępie jej duchowym nie było nigdy przerw gwałtownych.

Co w nas jest postępującego ciągle, to nasz człowiek wewnętrzny, nasz duch. Postęp, jakeśmy już mòwili, nie zależy na czem innem, jak na rozwijaniu się naszego jestestwa wewnętrznego, na jego zbliżaniu się ku Bogu. Jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być mocniejszymi, bo to dowodzi, żeśmy bliżsi Boga, ktòry jest wszechmocnością; jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być lepszymi, a tem samem zbliżonymi bardziej do najwyższej dobroci; jesteśmy w postępie, kiedy nam jaśniej i szczęśliwiej, jako połączonym ściślej ze źròdłem światła i szczęścia.

Owòż, jeżeli podług takiego pojęcia postępu ocenimy stan duchowy poddanych państwa rzymskiego i ludòw im obcych, w wieku V da się widzieć, z czyjej strony był postęp, a z czyjej nieruchomość, barbarzyństwa prawdziwe.

Czułże się być w postępie ten duch rzymsko-grecki, ktòry, rządząc natenczas państwem ogromnem, posiadając przemysłowe i wojenne środki cywilizacji wielowiecznej, drżał przed garstkami barbarzyńcòw ladajako zbrojnych, zostawił im otwarte pole, zamykał się w twierdzach; kiedy przeciwnie, genjusz wandalski, zerwawszy się ze stepòw Pòłnocy, przelatywał konno puszcze Niemiec, warowne grody Galji, gòry Hiszpanji i opierał się aż w Afryce?

Tegoż czasu, łòdki morskich łupieżcòw pòłnocnych zapuszczały się daleko na ocean, a Rzymianie, panowie flot porządnych, zapominali odkryć, przez swoich przodkòw porobionych na morzach. Źròdło, skąd wychodzą wielkie czyny bohaterskie i wielkie odkrycia scientyficzne, jest jedno: źròdło to wyschłe już było w państwie rzymskim, a poczynało wytryskać wśròd barbarzyństwa. Z łona barbarzyństwa powstawali wtedy prawie wszyscy wielcy święci, apostołowie chrześcijaństwa, słudzy czynni Słowa.

Grecy i Rzymianie nie mieli już sił do tej służby. Nie byli już oni zdolni wydać tego słowa, w ktòrem jest człowiek cały. Słowo Greka albo Rzymianina, nawet w sprawach życia cywilnego, nie miało tej wagi, co słowo Burgunda albo Franka. Barbarzyńcy powtarzali sobie: „Ein Wort, ein Mann" - słowo to człowiek. Słowo i Słowianin są to dwa wyrazy z jednego. Takich to ludzi potrzeba było chrystjanizmowi do ożywienia ducha w świecie òwczesnym.

Duch natenczas, jak w życiu politycznem i społecznem, tak też i w literaturze był wygasły. Literatura była tylko sztuką gry w wyrazy.

Jeden z pisarzy łacińskich tamtej epoki narzeka gorzko na trudność pielęgnowania muz klasycznych wśròd barbarzyńcòw. Znajdował się on na ich uczcie gotyckiej i opowiada, jak go raził szorstki głos barda burgundzkiego. Pisarz ten i bard, obadwaj poeci, siedząc u jednego stołu, byli doskonałym obrazem, pierwszy upadku, drugi prawdziwego postępu. Łacinnik pisał wiersze dla rozrywki bezczynnych swoich czytelnikòw, Burgund śpiewał dla natchnienia swoich słuchaczy do wielkich czynòw.

Czy literatura europejska narodòw cywilizowanych nie przyszła czasem do stanu, w jakim była grecka i rzymska wieku piątego? Niektòrzy pisarze zachodni tak już sądzą o niej. Co pewna, to, że książki, najwięcej krążące po ręku, bardzo mało wpływają na postępki czytelnikòw i rzadko kiedy są prawdziwym wyrazem uczuć swoich autoròw.

Polska w ciężkim doświadczeniu narodowem poznała pierwsza, że słowo europejskie straciło już wszelką wagę polityczną. Naròd ten w zapasach z groźnym nieprzyjacielem miał za sobą wszystkie książki, wszystkie dzienniki, wszystkie wymowne usta Europy, a cała ta niezliczona armja posiłkowa nie sprowadziła żadnego czynu. Słowo, które powinno być źròdłem i wytryskiem życia narodowego, było tylko jego echem, echem kłamliwem.

Po takiem doświadczeniu niemasz czego się jeszcze oglądać. Ludzie myślący i poeci polscy przeczuwali, co z tego wyniknie i ocenili, ile na tem polegać można. Poszło im w obrzydzenie, cokolwiek tylko trąci książką, cokolwiek tylko zakrawa na system. Jeden z tych poetòw, filozof i żołnierz[6] daje następne pożegnanie książkom, odzywając się do filozofòw:

Niechaj mol życie nędzne w starych księgach pędzi,
Niech się w kartę zbutwiałą z ciekawością wżera,
Moja ręka naprożno tysiąc ksiąg otwiera
I waży doświadczenia z tysiącznych narzędzi.
Któż jak ja z potem czoła męczył się i czytał?
Dziś gdym narówni z wami, gdybym się zapytał,
Czegoście nauczyli i co sami znacie,
Wstydby wam czoło, serca i rozum wypalił,
Jeśli wstyd znacie jeszcze.

Temu ostatniemu wykrzykowi literatury polskiej odpowiada echo na drugiej półkuli ziemi, w Ameryce. Tam Emerson podobnież ogłasza wojnę świętą przeciwko ludziom książkowym i systemowym, odpycha precz ten świat sztuczny, zepsuty i zbutwiały, w którym nie możemy zobaczyć naszej przyszłości, w którym się nawet przeszłość nasza nie odbija. Oto są własne jego słowa:

„Nie zewnątrz nas szukajmy wiedzy naszych dziejów; nauczmy się wyczytywać je w nas samych. Historja powinna przestać być szpargałem: potrzeba koniecznie wygrzebać się ze szpargałów. Historja powinna chodzić wcielona w każdym człowieku prawym i mądrym. Nie wyliczaj mi książek, któreś przeczytał: daj mi uczuć, z jakiego wieku jesteś, wiele wieków przeżyłeś, złóż mi w tobie samym świadectwo żywe, do jakiej epoki doszedłeś; a ja podług tego naznaczę ci miejsce. Muszę zobaczyć w człowieku przeszłość całą: w jego dzieciństwie wiek złoty, drzewo wiadomości dobrego i złego, wyprawę Argonautów, powołanie Abrahama, zbudowanie Kościoła; w jego młodości przyjście Chrystusa, wieki średnie, odkrycie Ameryki i t. d. Jeśliś jeszcze nie odbył twojej wojny krzyżowej i twojej rewolucji francuskiej, spiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł należeć do pokolenia dzisiejszego".

Zbudować swój Kościół i odbyć swoją wojnę krzyżową, to nie przeczytać historję budowania Kościoła i wojen w Ziemi Świętej.

Wiek XVIII nażartował się dowoli z waszych potężnych mężów wieków średnich, z nieuctwa Karola Wielkiego, Godfreda de Bouillon, Bohemonda[7], którzy zaledwo umieli czytać i pisać. I nad jakiemiż to książkami mieli oni siedzieć? Czy z Witruwjusza albo Wegecjusza powinni byli uczyć się stawiać twierdze, sprawiać szyki do boju?[8] Czy w jakim starym pergaminie greckim potrzeba im było szukać sposobu robienia ognia gregorjańskiego? Ci ludzie, którzy czuli w swoich piersiach drgającą całą erę nową, którzy jednem słowem, jednem skinieniem ręki poruszali całe państwa, mieliż bawić się czytaniem woluminowych opowiadań Liwjusza, albo przewlekłych mów Cycerona? Oni czuli się być wymowniejszymi od wszystkich mowców starożytnych i większymi poetami od samego Homera: oni realizowali poezję, powychodzili na bohaterów poezji.

Ktokolwiek uważa, co teraz dzieje się na świecie, postrzeże, że ta sama potrzeba wielkich rzeczy, to samo pragnienie wielkich przedsięwzięć i czynów obudza się we wszystkich sercach.

W ludzie ta potrzeba, ta żądza nie ustawała nigdy; dzisiaj gotowszy on, niż kiedykolwiek, odpowiedzieć na wezwanie. Z tego względu lud francuski jest jeszcze barbarzyńskim.

Wasi publicyści nazywają go takim. Mógłbym wymienić książki, przytoczyć dzienniki, w których są dowodzenia, jak jeszcze jesteście daleko od ideału cywilizacji materjalistowskiej. Ile to wam jeszcze brakuje systemów dróg żelaznych, filozofji i instytucyj specjalnych, żebyście mogli stanąć narówni z Anglją i Prusami. Publicyści ci poglądają z przerażeniem na to, że tak mała garstka ludzi, wedle nich ucywilizowanych, stanowi tę powierzchnię, pod którą, jak oni mówią, huczy barbarzyństwo ludowe, grożące każdej chwili przerwaniem tamy i zalewem tego, co u nich nazywa się krajem cywilizowanym, czyli legalnym. Tym tedy sposobem, my barbarzyńcy Słowianie znajdujemy się być braćmi ludu francuskiego i uznanymi za takich przez publicystów waszych. Raduje się z tego; bo na tem braterstwie zasadzamy nadzieje nasze.

To uporczywe barbarzyństwo w ludzie francuskim pochodzi z przyczyn najgłębszych w jego naturze. Mówiliśmy, że duch francuski jest intuicyjnym, dobywa wszystko z siebie. Czuje się on być wyższym nad wszelką drobiazgowość, szczegółowość, specjalność, systematyczność.

Ciągle i niezbędnie usiłuje on osiągnąć natychmiast, całkiem, wszędzie.

Grecy prędko ulegli zepsuciu cywilizacji materjalnej i zupełnie zewnętrznej, prędko potem sami zepsuli Rzymian. Były czasy, kiedy wielkie miasta greckie i włoskie służyły tylko za pole do popisu sofistom i kuglarzom. Ludność zbiegała się tam dla słuchania, jak rozprawiali Epikurejczycy i Cynicy, jak ten lub ów uczony czytał akademicką rozprawę o piękności Heleny, deklamował mowę na pochwałę, kogo? - na pochwałę muchy! /Lucjan dla podobnego audytorjum napisał pochwałę muchy/[9]/. Oto czem się zajmował duch narodów cywilizowanych czwartego i piątego wieku.

Lud francuski nigdy nie wdawał się w spory nominalistów i realistów, nie trzymał z Arystotelesem albo Gassendim, nie obchodziły go również sprzeczki Eklektyków i zwolenników Hegla[10]/. Pod względem filozoficznym i literackim był zawsze barbarzyńskim, zawsze młodzieńczym i świeżym. Dlatego to Francja nie postarzała jako naród i nie ma co lękać się nachodu barbarzyństwa obcego.

Duch słowiański ma tę samą naturę i tę samą dążność, co i duch francuski. Niektórzy z waszych myślicieli już to dostrzegli, między innymi Józef de Maistre[11]/. Duch francuski i słowiański rozwijają się jednak w kierunku różnym.

Francuski, przyjąwszy chrystjanizm, natychmiast go stosował, starał się wprowadzić w stosunki życia społecznego, podbić za jego pomocą ziemię, stać się wolniejszym na ziemi. Stąd to pochodzi ta jego swoboda, to uczucie własnej godności,

a nadewszystko ten ruch ciągły, zwany duchem rewolucyjnym, który odznacza Francuza od jego sąsiadòw.

Słowianin, daleko pòźniej zostawszy chrześcijaninem; nie potrafił jeszcze wyrobić w sobie tyle ognia świętego; trzyma się wprawdzie wiernie swojej religji, ale nie wyciągnął z niej żadnej korzyści ziemskiej; a za tem còż poszło? - Cierpi i znosi.

I jeden i drugi wszakże nie znaleźli dotąd spoczynku na ziemi. Ani w przemyśle, ani w filozofji duch francuski ulgnąć nie mògł. Żaden rząd nie dokazał także zadowolenia ducha słowiańskiego. Obudwu im potrzeba prawdy, i nie będą mogli spocząć, aż tylko w prawdzie, wystarczającej na wszystkie wymagania ich ducha. Jeden rusza się, jej szukając, drugi oczekuje, a tymczasem pozwala przemijać nad sobą wszelkim rządom, niezdolnym zapewnić mu szczęśliwości ziemskiej, bo szczęśliwość ta jest nierozłączną ze zbawieniem wiecznem.

Còż to więc są te dwa ludy? Są to dwa bieguny jednej siły, dwa ramiona jednego genjuszu, przeznaczone działać razem, dla spełnienia jednego posłannictwa religijnego i politycznego.

Posłannictwo to maluje się już nam emblematycznie w tym rodzaju czci u obudwòch ludòw, które nazwą czcią domową. Każda cześć, nim stanie się publiczną, długo pierwej jest strzeżona w domach prywatnych. Chcesz widzieć zaròd czci nowej? Idź na poddasza do mieszkań rzemieślnikòw, zwiedź chałupy wieśniacze we Francji i w Polsce, a obaczysz, jakie tam obrazy, jakie emblemata, jakie imiona są przedmiotem pobożności narodowej. Oto naprzòd Chrystus na krzyżu, wyraz i treść całej przeszłości, potem wizerunek Napoleona, symbol mocy, a obok niego portret marszałka wojsk francuskich Poniatowskiego, przedstawiający uosobienie ślubu dwòch narodòw.

Oba więc te dwa narody mają jedną religję polityczną, jedne bòstwa, jednych patronòw. Symbol ostateczny, który połączy je znowu, musi być także narodowym dla obu.

W dniu, kiedy ten symbol, zarysowany już na sumieniu wielu, objawi się, jako słowo narodowe, w dniu, kiedy emblemata, uświęcone już czcią ludu, zabłysną na sztandarze chrześcijaństwa, w dniu tym, jesteśmy tego pewni, ci wszyscy, co stoją już pod bronią w duchu, gotowi do ruszenia naprzòd, znajdą się razem.

Religja, dopòki była poczuwana głęboko i jawiona potężnie, nie wzywała ludzi do czego innego, jak tylko także, żeby posuwali się naprzòd, wstępowali wyżej. Posuwać się i wstępować, to treść wszystkich zalecań nauki chrześcijańskiej. Dalej tedy, żołnierze przyszłości! idźcie ciągle, wstępujcie bez - ustanku, i lata waszego życia, wieki trwania waszych narodòw, epoki Kościoła, uważajcie jako szczeble, prowadzące was wgòrę.

Doktorowie Kościoła powiedzieli, że każdy chrześcijanin w ciągu swego życia powinien przejść wszystkie epoki historji

kościelnej, powinien tę historję skupić w sobie. Emerson, zgodny co do tego z doktorami chrześcijańskimi, wzywa nas, abyśmy skupili w sobie historję polityczną naszych narodów i, uzupełniwszy ją, rozpoczęli rozdział nowy.

Na pięćdziesiąt lat przed Emersonem, jeden poeta polski, Krasicki, schwycił był to samo pojęcie przechodzenia ducha pojedyńczego przez mnóstwo form i rozwinął je w powieści historycznej[12]. Powieść ta zawiera historję istności urojonej, człowieka nieumierającego nigdy, który jest czemś nakształt Błąkającego się Żyda[13], tylko więcej zajmującym od niego: bo ten, obarczony wiecznie tem samem przekleństwem i dręczony tą samą zgryzotą sumienia, zawsze jest jednaki, człowiek zaś Krasickiego, mając sposób odmładzania się co lat sto, zmienia dowolnie swoją narodowość, i jest to Chińczykiem, to Kartagińczykiem, to Rzymianinem, to nakoniec Polakiem. Taką koleją przeżył on wiele wieków i wiele narodów, cieszył się i cierpiał z niemi. Przypuśćmy, gdyby ten człowiek był jeszcze na świecie, jakążby ojczyznę obrał sobie, jaki przyjąłby system filozoficzny, jakiejby oddał się idei?

To pytanie my możemy zadać nam samym. Idzie tu o zasadę naszego życia religijnego i moralnego, a zatem o nasze zbawienie, we wszystkich znaczeniach tego wyrazu. Każdy z nas ma prawo rzecz tyczącą się jego zbawienia rozważać, stawiąc się jako człowiek wieczny.

Idzie wam o wasze zbawienie? - powiedzą doktorowie Kościoła urzędowego - alboż nie wiadomo, jak je osiągnąć? módlcie się, rozmyślajcie, spowiadajcie się. Na to człowiek wieczny mógłby odpowiedzieć, że już czternaście wieków, jak pełni to wszystko, a jednak jeszcze nie został zbawiony. Wtedy możeby mu radzono przedsięwziąć rodzaj życia doskonalszy. Jaki tam świątobliwy trapista[14] rzekłby mu: zamknij się w klasztorze, albo też idź na pustynię, pokutuj, oderwij się zupełnie od ziemi, a będziesz w niebie. - I to już robiłem, mój ojcze - odpowiedziałby znowu człowiek wieczny. - Tysiąc trzysta lat temu umarłem na górze Karmelu[15], kanonizowano mnie po śmierci, a mimo to nie mam jeszcze nieba. Całe życie powtarzałem w modlitwie Pańskiej: Przyjdź królestwo Twoje, a widzę, żem nic nie uczynił, aby przyszło. - A, boś się wziął nie do swojego, - powiedzą mu - twoja rzecz działać: działaj, walcz, idź z krzyżem pomiędzy niewiernych. - Robiłem to: byłem ja Francuzem, jednym z tych, co u nóg św. Ludwika pomarli na piaskach afrykańskich[16], a otom znowu na ziemi, która, jak mnie się zdaje, podobniejsza dziś do piekła, aniżeli natenczas była. Cóż teraz pozostaje nam czynić?

Nie wiem, jakąby na to dał odpowiedź Kościół urzędowy człowiekowi wiecznemu. W razie milczenia ze strony Kościoła, nie brak reformatorów świeckich, gotowych służyć radami. Od nich możemy usłyszeć, że ponieważ religja nie dotrzymuje swoich obietnic, to znak, że niezdolna uczynić im zadość; że niemasz już co oglądać się na religję, że człowiek wieczny

w swoim całym żywocie tysiącletnim mylił się ciągle. Zbawić się - powiedzą - nie jest to uciec z placu, ale zwyciężyć. Bohater zbawia się, zbawiając wojsko. Kościół Chrystusowy nie uczył nas szukać zbawienia w ten sposòb, odwołajmy się więc do rozumu ludzkiego. - Jeżeli Bòg nam nie pomaga, wezwijmy w pomoc naszych braci, ludzkość całą; zròbmy rewolucję polityczną. - Robiłem ją - panowie moi - odpowie i tym człowiek nieśmiertelny - robiłem niedawno. Czyż mię nie poznajecie? Ja zasiadałem w Konwencji obok Robespierra i Dantona. W imię tych właśnie idej, o ktòrych mòwicie, my wprowadziliśmy wielkie i piękne reformy; ale to nie zaspokoiło ani ludu, ani filozofòw, bo znowu słyszę o innych projektach reform, o innych systemach. Kiedy stracono nadzieję dostać się do nieba, poczęto obiecywać zmiany społeczne, mające ziemię uczynić niebem. Nim to nastąpi, każą nam czekać bezczynnie; a tymczasem życie moje ubiega, nagli mnie do działania. Co mam robić?

Żeby to pytanie rozwiązać w duchu i rozwiązanie jego zrealizować na ziemi, istotnie trzeba postawić się na miejscu człowieka wiecznego: trzeba uczuć się członkiem swego Kościoła, synem swego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodkòw w rodzinie duchowej i doczesnej: trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotòw, wszystkich cnòt, jakie naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych; trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę i ogień ten utrzymać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historji było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się u nas, jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła. Takim był Syn Człowieczy, takim musi być Człowiek, przeznaczony dzieło jego prowadzić dalej w epoce teraźniejszej. Człowiek ten będzie powinien mieć żarliwość apostołòw, poświęcenie się męczennikòw, prostotę mnichòw, śmiałość rewolucjonistòw 93-go, męstwo niezachwiane i piorunującą odwagę żołnierzy wielkiej armji francuskiej, a genjusz ich wodza. Oto są rysy człowieka ideału naszej epoki; oto czem trzeba być, żeby otworzyć epokę nową, żeby ośmielić się Francuzom i Polakom rzec: Za mną!

Powołanie tych, ktòrzy zechcą iść za nim, jest bardzo trudne, wymaga najcięższej z ofiar, ofiary ducha.

Za Chrystusa, ludziom, garnącym się do niego, ciężko było robić ofiarę ze swoich dòbr ziemskich, ze swoich bogactw. O jednym z nich, bardzo bogobojnym i głęboko wzruszonym słowami Mesjasza, święty Mateusz powiada: odszedł smutny, albowiem miał majętności wiele.

Dzisiaj majętnościami, najdroższemi dla ludzi, najtrudniejszemi do ofiarowania, są ich dobra, ich nabytki umysłowe. Pozyskana sława, utworzony przez się albo przyjęty jaki system, nałogowie ulubiona formuła - to ziemie, to dziedzictwa, to skarby zaklęte człowieka cywilizowanego. Oto całe swoje życie duchowe w to włożył, żeby zrobić sobie głośne imię,

ukuć tę lub ową teorję; on ma tylko to jedno - a tu mu powiadają, że nic z tego! Prędzej odda cały majątek ziemski, zrzecze się wszystkich swoich bogactw materjalnych, niżeliby miał odstąpić najdrobniejszej formuły swego filozoficznego albo socjalnego systemu. „Oszańcowali się - mówi o takich Śniadecki, powtarzając za Humem[17], - oszańcowali się płataniną głogu i ciernia na obronę swojej słabości, a spędzeni z otwartego pola, uciekają jako złoczyńcy do lasu słów niezrozumiałych i ciemnych, szukając w nich ucieczki. Żeby ich stamtąd wyparować, niemasz innego sposobu, jak chyba ogień podłożyć".

Nikt nie będzie podkładał ognia pod te szańce, nie będzie palił książek; ale spodziewamy się, że bibljoteki przestaną być tak uczęszczane, skoro życie publiczne stanie się bardziej uczącem. Oświata narodowa wynika z wielkich wypadków w narodzie i szerzy się sama przez się podaniem żywem. Naród nieinaczej nabywa oświecenia w religji, w polityce, w moralności, jak tylko zapomocą wielkich przykładów. Potrzeba mu do tego wielkich czynów, a zatem wielkich ludzi. Przez cały ciąg wieków średnich mieszczanie i chłopi kształcili się moralnie słuchaniem opowiadań żywotów świętych i dzieł rycerskich, wzruszeniem się przykładami ofiary, męstwa, szlachetności. To mieszczanina i chłopa, pierwej, nim wystąpił na pole bitew zeszłego wieku, uczyniło wewnętrznie rycerzem i bohaterem.

Tylko ten rodzaj oświaty wpływa istotnie na moralność życia domowego. Skarżą się teraz na rozprzężenie rodzin, na bezrząd domowy. Kobieta, powiadają, zostaje zawsze pod kierunkiem księży i odbiera wychowanie przeciwne mężowskiemu: niemasz harmonji w pożyciu, niemasz spólności celu w dążeniu duchowem, niemasz zgody. To złe domowe jest niczem więcej, jak następstwem ogólnego złego; skoro cel dążności narodowej zniknął, życie domowe tem samem musiało pójść na rozdroże.

W wiekach średnich kobieta w swojej sypialni modliła się za tę samą sprawę, za jaką mąż walczył na polu bitwy, i była pewną, że tem pomagała mężowi. Byli więc potrzebni jedno drugiemu; zmierzając do jednego celu, służąc jednej sprawie, czuli się być w spółce duchowej. Dzieci zachowywały żywą pamięć rodziców zmarłych: prosiły matki o wsparcie, jak świętej, uczyły się dziejów ojca, czerpały z nich naukę polityczną i wojskową.

W Polsce tak jeszcze jest dotychczas. Polka wchodzi do spisków patrjotycznych, dzieli z mężem wygnanie na Sybir, niekiedy siada na koń w obronie kraju. Tam życie rodzinne zasila się jeszcze wielkiem życiem narodowem; we wszystkich innych krajach tego już niemasz. Niechaj nikt nie mówi, że to przez przywiązanie do przeszłości, albo przez niechęć zajęcia się rzeczami ważnemi dzisiaj kobieta ucieka się pod opiekę księdzowską. W pierwszych czasach chrześcijaństwa nie zrażała kobiet ważność rzeczy, zajmujących chrześcijan, i nie trzymały się upornie rad kapłanów pogańskich. Wtedy czucie ich

dało im odgadnąć wyższe i mocniejsze życie w religji chrześcijańskiej; teraz toż samo czucie ostrzega, że nie mają niczego spodziewać się po systemach filozoficznych i socjalnych: wolą więc ludzi przeszłości, niż ludzi systemowych, mniej wartych, niż umarli, bo jeszcze żyć nie zaczęli. Prawdę mòwiąc, oni istotnie nie żyją, to ich systemy żyją tylko.

Jakież, proszę, rzeczywiste życie może jawić człowiek, który przeszedł całkiem w pojęcie oderwane?

Ci, co utrzymują, że ludzkości nie potrzeba już cudòw, narodom bohateròw, rodzinom świętych opiekuńczych, niechże u siebie kosztują owocòw swoich doktryn materjalistowskich, formuł prawdziwie bezdusznego świata. Wygnawszy ze swojego domu świętych i bohateròw, ojciec rodziny postrzeże się sam wśròd niej obcym, nie będzie miał co powiedzieć żonie, dzieciom, służącym. Duch kobiety, jak i duch człowieka prostego, przy jakichkolwiekbądź zatrudnieniach powszednich potrzebuje czasem odetchnąć swobodnie wielkiem życiem narodowem. Życie to wydają i utrzymują wielkie czyny. Możnaż myśleć, że kobieta porzuci swòj Złoty ołtarzyk, opuści kazanie, żeby pòjść słuchać narad spekulacyjnych, projektòw przemysłowych, mòw akademickich; albo że lud zrzecze się czci wielkich ludzi dla oddawania chwały pięknym teorjom?

Dosyć, żeby filozof zastanowił się nad tem, co się dzieje w jego rodzinie, a pozna, jak podobne wymagania są daremne. Nie tym to sposobem oderwać kobietę i lud od przeszłości. Jeden tylko jest środek pokonać przeszłość, a to ten: postawić przeciw niej teraźniejszość równie rzeczywistą, a razem daleko potężniejszą i świetniejszą; na miejsce ideału czasòw pierwotnego Kościoła i wiekòw średnich wprowadzić ideał czasòw nowożytnych.

Podnosić ludzi ku Bogu, budzić w nich uczucie wielkich rzeczy, popychać ich do wielkich i wzniosłych czynòw - to jedyny środek pracowania dla szczęścia narodòw i rodzin; to, krótko mòwiąc, sposób gotowania ich, aby potrafiły znaleźć i uznać ten Ideał.

2. Z KORESPONDENCJI.

a/ Do Bohdana Zaleskiego.

Lozanna, 7 stycznia 1840 roku.

A przecież tandem aliquando[18] przesłałeś choć parę piosenek. Muza Ci zapłać! Tem lepiej mi się te pieśni wydały śròd chłodòw i mgły łacińskiej, środkiem których brnę a brnę[19]. Ale i bez tego arcypiękne. Biedbiada, przegrawka wyśmienicie wykoncypowana, i żebym teraz wiersze pisał, tobym ci konceptu zazdrościł. Nieraz ją sobie śpiewam i mam zamiar kiedyś do niej muzykę zrobić. Ma się rozumieć, jak będę miał pieniądze, i literaturę i książki porzucę, na wsi osiądę i będę muzyki komponował. Zamiar dawny, tylko że nikt a nikt w mòj talent muzyczny nie wierzy. Obaczymy, kto ma rację. Mam w tym względzie, jak Słowacki powiada, zapas ironji

na całą publiczność. Ale, ale, Twòj òw wiersz senny, dziwna to, dziwna i arcydziwna rzecz. Bo uważ, że ja kiedyś w sierpniu czy we wrześniu napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy w celu robienia pierwszej części Dziadòw! Owòż rzecz taż sama: chłopiec tuła się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniej, bo śpi, a chòrem nad nim nucą i piołuny siwe, i lebioda, i ślimaki, etc. Inspiracja mnie opuściła i przestałem pisać. Twòj ułamek aż mnie nastraszył, tak jest ładny. Kto wie, czy Ty teraz nas nie okradasz przez sen z wszelkiej poezji? Kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego? I widzisz, dlaczego my nie piszem. Bądźcie zdrowi. Nowego Roku Wam winszuję. Jòzefa ściskam. Nic do mnie nie napisałeś o Waszej rodzinie. Jak tam im dzieje się w kraju?

Adam.

b/ D o j e n e r a ł a S k r z y n e c k i e g o

w B r u k s e l i.

Paryż, wielka środa, 23 marca 1842 r.

Rue d'Amsterdam 1.

Mòj Jenerale!

Ksiądz Aleksander Jełowicki był w tych dniach u mnie i czytał mi listy, któreś pisał do niego i gdzie jest wyraźnie do mnie jemu dane polecenie. W tem poleceniu widzę dowòd Twojej szczególnej ku mnie życzliwości.

Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tem. Nie wspomnę o drobnych, w młodości rzuconych w świat pieśniach /Romantyczność, Oda do młodości/, pòźniejsze dzieła, a mianowicie Księgi pielgrzymstwa i Dziadòw IV część świadczą, żem to, co się dzieje, przeczuwał. Wszyscy, którzy mnię znają, wiedzą, że nigdy o swoich poezjach nie mòwię i siebie nie cytuję, ale w rzeczy tak ważnej muszę na stronę usunąć wszelkie względy taktyki światowej. Wiem, że w podobnych rzeczach umiesz myśleć, znasz ich ważność, więc Ci powiem, że publicznie i wyraźnie Andrzeja tu emigrantom przepowiedziałem. W roku przeszłym kilkadziesiąt Polakòw dawało mi ucztę, czułem się w wielkim podniesieniu ducha i powiedziałem im, że „wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania, zabiegi nigdzie nie doprowadzą, że jeżeli Bòg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas prawem żywem, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami". Nie pamiętam słòw poezji, ale ta była ich treść, zaklinałem, żeby ją pamiętali! Wielu już zapomniało. Zan Stefan /którego widziałeś, Jenerale/, kiedy przyszedł nazajutrz do mnie, powiedział mi ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wòwczas nie przerwano, wielkąbym rzecz oznajmił, ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do tej wysokości. Przerwano mnie wòwczas, jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mòwiłem o księciu Czartoryskim, kiedy wołałem,

że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani. Około owego czasu, w miesiącu grudniu /dnia nie pamiętam/, kiedy oglądałem przygotowania do egzekwji Napoleona, miałem w biały dzień widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym w biedzie, po błocie i mgle, i uczułem, że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki, chciałem go opowiedzieć, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy, dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem nieprędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży i uznałem prawdę widzenia. Nie będę Ci więcej świadectw i dowodów przywodził, wiele jest osobistych i drugim ludziom trudnych do wierzenia. Widzisz, że mię Andrzej nie łudzi historjami o swojej osobie, i że dla mnie obojętną jest rzeczą, czy on sam widzi duchy, czy kto za niego. O to nawet nigdy go nie pytałem. A jeszcze obojętniejsze są różne krążące o nim wieści, coraz inne, jedne drugim przeciwne, a zawsze im ludzie równie wierzą! Widzisz także, że uzdrowienie mojej żony nie było powodem mojej wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowo Andrzeja /który jej nie widział był/ ogłosiłem krewnym, że będzie zdrowa. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zaklęciami; bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełnem pomieszaniu, w kanikułę, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsze zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę. Wracam dziś z rekolekcyj, które odbyłem u księży jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu Przenajświętszego Sakramentu to piszę.

Weźmij ten list za dowód głębokiej i szczerej mojej dla Ciebie życzliwości. Twój sługa

Adam Mickiewicz.

c/ Do Pani Konstancji Wodpol 20/..

/Październik 1851 r./.

List Twój z Kissingen odebrałem w Havre, gdzie bawiłem kilka tygodni dla kąpieli morskich. Zdrów jestem, jak nigdy, i wszyscy u mnie zdrowi. Cieszę się, że masz się lepiej, a ciągle jedno Ci śpiewam i proszę, żebyś o tem ciągle pamiętała, że Twoje zdrowie najwięcej zależy od Ciebie, od Twego wewnętrznego życia. Im poczujesz się wewnątrz krzepszą, żywszą i silniejszą, tem ci będzie lepiej na ciele. Ale to wewnętrzne życie nie zależy na tem, żeby wiele myśli przepędzać przez głowę i plątać się różnemi zamiarami. Trzeba mieć cel zawsze. Tym celem jest dla Ciebie podniesienie się do żywej wiary, że wszystko, co nam się zdarza, jest na nasze dobro, że będzie lepiej na świecie i że my do tego lepszego musimy w naszej cząstce przyczynić się. Wszelki kłopot i bieda na to dane, żeby je zwyciężyć. Uciec na nic się nie przyda, jest

to samo, co, broń złożywszy, emigrować. Zwycięstwo, o którem mówię, nie w tem jest, aby rozdąsać się, odeprzeć kłopot gniewem, albo odsunąć go jako zdanie trudne do rozwiązania. Staraj się o to, żeby wszystką biedę tak rozważyć jak interes i postanowić z góry, w jaki sposób postąpić się ma. W każdem podobnem zdarzeniu dowodem zwycięstwa Twojego będzie, jeśli poczujesz się spokojną w duszy i nawet wesołą. Staraj się, proszę, każdego dnia z rana myśl i uczucie zaraz podnieść nad wszystkie trudności i nie dawaj sercu i duszy pokoju, aż póki nie doznasz ulgi i pociechy wewnętrznej. To jest prawdziwe uzbrojenie i nakarmienie żołnierza. Potem można już działać. Ulgi zaś i pociechy nie doznasz inaczej, jak zagłębiając się w skruchę, ale nie faryzejską, słowną, tylko prawdziwą skruchę żołnierską. Pamiętaj, że kto przegrał, zawsze winien. Jeśli nam nie wiedzie się, powinniśmy dochodzić naprzód, o ile my sami temu przyczyną. A potem dopiero zewnętrzne okoliczności rozważajmy. Ty, kochana Pani, urodziłaś się w czasie i w społeczeństwie, które nie miały innego celu, tylko przepodróżować życie, ile można wygodnie. Ku temu byłaś wychowana. Mając w duszy czucia żywsze i instynkt wyższego, lepszego, porwałaś się i upadłaś, błąkałaś się. Każde dziecko, kiedy próbuje chodzić, naprzód musi padać i plątać się. Więc nie trzeba przeszłością trapić się nadto, ale należy koniecznie wciąż ją rozbierać, aby dojrzeć, gdzie, jaki błąd lub występek wyszedł, z jakiego niedostatku lub złej woli. Podobna rozwaga, godząc nas z Opatrznością rozrządzeniem, uspokaja nas, a razem daje siłę. Wtenczas zapominasz o wielu drobnych troskach, mając na celu jedno to: aby w czemś ku dobru wspólnemu przyczynić się, a jeśli to nam nie jedno, to przynajmniej skorzystać o tyle z życia, aby w czemś lepszem i wyższem zejść ze świata. Bo po tem życiu taką nam dadzą ojczyznę i rodzinę, na jaką zasłużymy. Wcześnie tam róbmy przyjaciół, i stamtąd bierze się siła do działania tu w teraźniejszej ojczyźnie.

Piszę Tobie, jak widzisz, to, co nieraz mówiłem i czego prawdę uznałaś. Zachowaj to u siebie i złóż w myśli. Oby Ci to było pociechą. Twój życzliwy

Adam.

d/ Do Pani Konstancji Wodpol.

Paryż, styczeń 1852.

Byłem w tych dniach chory i dlatego nie odpisałem zaraz. Teraz już jestem prawie zdrów. Wszyscy u mnie też zdrowi.

Pisemko Twoje ostatnie ma swoją wartość, bo tam wiele jest rzeczy własnych, z własnego uczucia płynących. Ile razy dusza porusza się sama, zawsze wyda głos, idący do dusz bliźnich, i ten głos zawsze zachowa swoją siłę i cechę. Ale uczucie Twoje w tem pisemku jest oddane słowami często obcemi, naciągnionemi, zmienionemi, słowem niemieckimi. Styl jest ciężki. Dobry styl czyli po prostu dobra właściwa mowa jest ta, która najbardziej zbliża się do mowy, do rozmowy, a nawet wszystkie zwroty pisma, szczególniej kiedy się rozprawia o

rzeczach poważnych, wyższych, powinny prostotą i szczerotą wchodzić w tok rozmowy, prostodusznej, prostoserdecznej. To, co piszemy o rzeczach Bożych lub ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonoma, dla stangreta /czy, jak u was mòwią, fornala/ nawet. Nie idzie tu o to, aby sposòb mòwienia zniżać, zbłaźniać, skarczemniać. Wszakże pieśni pobożne i wiele pieśni ludowych nie mają nic zestawionego, wszakże katechizm jest prosty, ale razem poważny. Owòż trzeb- brać wzòr z katechizmu i pieśni ludu i dawnych naszych kronikarzy /Stryjkowskiego, Bielskiego/, a mianowicie Skargi. Kto chce pisać, powinien też czytać, mianowicie mòwić, a mimowolnie słuchać. Sposòb i tok i ciąg rozmowy między ludźmi, zajętymi rzeczą chociażby małą, może służyć. Kochana Pani! Nie wiem, jak Ci przeszedł rok dawny i zaczął się nowy. Wiem, czego życzymy sobie nawzajem, a trzeba też z naszej strony starać się, ażeby przychylne życzenia drugich mogły się uiścić przez nas samych.

Dziękuje Tobie za Twoją stałą pamięć. Listy odebrałem.
Twòj życzliwy przyjaciel

Adam Mickiewicz.

1/ W tłumaczeniu polskiem Feliksa Wrotnowskiego.
2/ T. j. teraźniejszość.
3/ Epizod z walk wyznaniowych między kantonami w w XVII.
4/ Tu: starożytna miara pieniężna.
5/ Podręcznikòw prawniczych.
6/ Stefan Garczyński.
7/ Mowa zapewne o Bohémondzie II, rycerzu normandzkim i kròlu Antiochji w w. XIII.
8/ Witruwjusz, autor słynnego traktatu o architekturze /I w. przed Chr./, Wegecjusz - traktatu o sztuce wojskowej /IV w. po Chr./.
9/ Lucjan z Samosaty /w. II po Chr./, autor Rozmòw zmarłych, tłumaczonych przez Krasickiego.
10/ Nominaliści i realiści - w średniowieczu wiedli spòr filozoficzny o to, czy ideje ogòlne są tylko pojęciami /nazwami/, czy też mają byt realny; Gassendi /w. XVII/, filozof - materjalista, przeciwnik nauki Arystotelesa; Eklektycy - tu zwolennicy Cousin'a, filozofa francuskiego I połowy w. XIX; Hegel - filozof niemiecki tegoż czasu.
11/ Współczesny Mickiewiczowi myśliciel, piszący w duchu religijnym.
12/ P. t. Historja na dwie księgi podzielona /1779/. -
13/ Romansu Eugenjusza Sue /1844/.
14/ Zakonnik surowej reguły. -
15/ T. j. zakonnik tamtejszego klasztoru. -
16/ W walce z sułtanem Egiptu o posiadanie Ziemi św. /w. XIII/.
17/ Dawid Hume /w. XVIII/, jeden z twòrcòw empirycznej filozofji angielskiej, ktòrej zwolennikiem był Jan Śniadecki.

18/ Wreszcie kiedyś.

19/ Aluzja do wykładów literatury łacińskiej w Akademji lozańskiej.

20/ Z domu Łubieńskiej, poznanej w r. 1831 w Wielkopolsce.

J U L J U S Z S Ł O W A C K I / 1809 - 1849/.

Z listów do matki[1]/.

a/

Bajrut[2]/, 1837 r. 17 lutego.

Najdroższa moja! Trzy miesiące upłynęło i pół, jak posłałem ci ostatnią wiadomość o sobie z Aleksandrji. Ciągle w podróży, zawsze daleki miast portowych, w kraju, w którym niema regularnej poczty, nie było mi podobna prędzej uspokoić ciebie, moja droga, i teraz mam nadzieję, że list ten zapomocą mojego towarzysza podróży, który się zbliża do Konstantynopola, dojdzie rąk twoich i całą niespokojność zakończy. Ale ja kiedyż o tobie wiedzieć będę? Sześć miesięcy włóczę się, jak warjat, po świecie, widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku. Czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem, miałem całe dnie pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia, i dwie wielkie niespokojności: to jest niepokój o ciebie, i drugą niespokojność, że się ty o mnie troskać musisz. Zaczynając ten list, jestem prawdziwie, jak człowiek powracający z dalekiej podróży, który ściska za ręce, patrzy w twarze i nic mówić nie może, ale czeka, aż chwila spokojniejsza nadejdzie, aby zaczął opowiadanie.

Uważam już podróż moją za skończoną prawie. Zwiedziłem Grecję, Egipt, Syrję, Palestynę i przybyłem do miasta portowego Bajrut, skąd ruszę prosto do Włoch. Czekam tylko, aż piękny czas nadejdzie i podróż morską zupełnie bezpieczną uczyni. Więc przez miesiąc lub dwa zamierzam udać się do klasztoru Bet - chesz - Ban. Tam będę pędził życie samotne, do szwajcarskiego podobne, towarzystwem mojem będą zakonnicy ormiańscy i jeden malarz rzymianin, który do kościoła maluje obrazy. Miejsce, które obrałem na odpoczynek, jest jedno z najładniejszych w Syrji. Spodziewam się, że mi bardzo będzie przyjemnie spędzić trochę czasu w zaciszy na rozmyślaniu, bo chociaż podróż ta bardzo mnie zajęła, nieraz tęskniłem za spoczynkiem i spokojnością domku w Paquis[3]/. Pomimo wielu niewygód i złych przepraw, zdrowie moje służy mi przewybornie, i kiedy mój towarzysz, silniejszy stokroć odemnie, nie mógł uniknąć lekkiego zapalenia oczu na łódce nilowej, ja zupełnie obszedłem się bez lekarstw, jakich nam dostarczał pewny nasz rodak, doktór w Kairze. Dziesięć dni ciągłej słoty wytrzymałem, na koniu, ciągle wędrując ku Jerozolimie.

Z listów do matki.

Ale o tem wszystkiem napiszę ci, moja droga, obszernie w drugim listku, któren cię trochę pòźniej dojdzie; ten zaś niech cię tylko uspokoi o mnie, bo prawdziwie, że niema się czego lękać wschodnich krajòw. Klima najpiękniejsze, wreszcie wszelkie niebezpieczne przeprawy już przebyte, pieniędzy mi wystarcza, mam kilku znajomych w tych stronach, nawet jednego księdza rodaka, któ̀ry mi do klasztoru towarzyszyć będzie.

O! droga moja! żebym to ja za trzy miesiące we Florencji zastał świeży list od ciebie, żebyś ty zdrowa była, tak, jak o to prosiłem Boga, całą noc czuwając przy grobie Chrystusa, i o wiele innych rzeczy prosiłem Boga, ale o nic dla siebie. Moja droga, do któ̀rej ja z ròżnych stron świata ciągle wracałem myślą, chcąc się z tobą podzielić każdym widokiem, każdem wrażeniem, dlaczego ty nie możesz być choć przez kilka chwil ze mną, teraz, w tej chwili... abym mògł płakać, położywszy twarz na rękach twoich..... Spokojności! Byłem nad jeziorem, gdzie niegdyś Chrystus z taką spokojną pokazywał się twarzą, choć bardzo cierpiał w głębi serca.

Bądź zdrowa! Uściskaj ode mnie Sylkę i Fila[4]/, jeżeli już są przy tobie...

Twòj Juljusz.

Ten listek przez Smyrnę, drugi zaraz przez Konstantynopol piszę do ciebie, droga!

Wstaję z rana, towarzysz mòj przychodzi mi powiedzieć, że pisał, aby ten list przez umyślnego kozaka był wyprawiony, mòwiąc, że kiedyśmy oba mogli na koniu jechać przez dwa miesiące, to kozakòw już odtąd, tłuczących się na siodle, żałować nie trzeba. Mam więc jeszcze trochę czasu pogawędzić z wami, i zacząć opowiadanie podróży, któ̀re w drugim liście zakończę.

Dnia 28 października przybyłem łòdką do Kairu. Pyszne miasto, piramidy zdaleka widać było, pełno lasòw palmowych, całe przedmieście w ogrodach.

Na drugi dzień po przybyciu do Kairu odbyłem podróż do piramid. Oba[5]/ byliśmy na małych osiołkach i dziwnie na tem stworzeniu maleńcy wydawaliśmy się przy olbrzymich gmachach granitowych. Piramidy jednak nie tak mnie zadziwiły ogromem. Beduini w białych płaszczach zbiegli się zewsząd, aby nam służyć za przewodnikòw, i biorąc nas za ręce, wciągali przez ciemne, granitem wykładane korytarze aż do małych pokoikòw, we wnętrzu piramidy będących, w któ̀rych stały dwie niegdyś, dziś tylko jedna granitowa trumna. Wyszedłszy z ciemnych piramid, zacząłem się drzeć po kamieniach aż na ich szczyt, wciągany zawsze za ręce od dwòch Arabòw. Byłem na szczycie najwyższej piramidy. Cudowny widok! Szczyt Faulhornu[6]/ kopuła Świętego Piotra, Wezuwjusz, piramidy, było to dla mnie, jak najwyższe gałązki na drzewie, na któ̀rych ja, biedny ptaszek wędrujący, siadałem na chwilę, aby odetchnąć. Widziałem więc piramidy, ale za to straciłem obraz, któ̀ry sobie o nich moja imaginacja tworzyła.

Juljusz Słowacki.

W Kairze uliczki małe, mnòstwo sklepòw. Przed wyjazdem z tego miasta pokazano mi w sklepie biały płaszczyk z wełny, robiony w Tunisie, a zwany burnus. Wybrawszy najcieńszy, jaki tylko był na wschodzie, kupiłem go dla ciebie, droga moja, myśląc, że ci dobrze będzie obwinąć się w niego, jak w lekkie i miękkie prześcieradło, i tak leżeć na twojej maleńkiej kanapce. Mòj towarzysz obiecał mi, że cię ten płaszczyk tunetański dojdzie. Drugi taki płaszcz, ale gruby i pospolity, okrywał mnie jadącego na koniu, a w Jeruzalem nadawał mi postać krzyżaka.

Widziałem targ niewolnikòw i ładną jedną Abisynkę, za ktòrą dawano już 1000 fr.

6 listopada, wziąwszy na miesiąc łòdkę z ośmiu marynarzami, ktòrzy zupełnie byli na nasze rozkazy, jak niewolnicy, puściliśmy się Nilem ku pierwszej katarakcie, szukając spotkać się[7]/ z dwoma Hołyńskimi, ktòrzy, nie doczekawszy się, puścili się przed nami w tę drogę... Śliczna podròż! Rysowałem wiele, słowa bowiem były niedostateczne do wydania wszystkiego, co uderzało w oczy. Mnòstwo żòrawi, lecących po błękicie, mnòstwo innych ptakòw wodnych, chmury gołębi, unoszące się nad wioskami, wioseczki z ziemi bite, najczęściej w lasach palmowych stojące, czasem ogromne skały i sępy wielkości człowieka, siedzące o zachodzie słońca na gòrach, nareszcie przy Siut[8]/ pierwszy krokodyl, leżący na piasku, dla ktòrego porwaliśmy się od stołu, aby mu się zbliska przypatrzyć: wszystko to tworzy teraz w imaginacji sen bardzo piękny.

Spotkaliśmy Hołyńskich w Denderze. Także była to wielka przyjemność obaczyć ich pawilon na łòdce, spotkać ich, pòjść razem do przepysznego kościoła w Denderze, obaczyć ruinę, o jakiej się nawet wyobrażenia nie miało. Kościòł ten zaledwo się ruiną nazwać może, tak jest cały, tak piękny.

Na drugi dzień pożegnaliśmy Hołyńskich, ktòrzy się już po odbytej podròży do Kairu wracali, i pojechaliśmy sami do katarakty.

Opisać wszystkich wam gmachòw niepodobna, wojaż[9]/ jaki lepiej to uczyni, jak list kròtki.

Mnie miło było polować na piaskach, rysować szkice pomnikòw, chatek, dumać i myśleć o tem, że jestem w Egipcie.

Przyjechawszy do katarakty, wzięliśmy na dzień jeden osiołki i ruszyliśmy, objeżdżając Nil, do Nubji, aby widzieć wysepkę Philae. Śliczne miejsce, śliczne ruiny. Imieniny twoje, droga moja, o ktòrych bardzo pamiętałem, przepędziłem na Nilu, zbliżając się do Tebòw. Ruiny tego miasta przechodzą wszystko ogromem. Ale najbardziej mi się podobała statua Memnona i druga statua przy niej stojąca. Widziałem je o wschodzie i o zachodzie słońca; są to olbrzymy granitowe, wysokości domu trzypiętrowego, siedzący cicho na ogromnem polu, twarzami obròceni na wschòd. Na nodze Memnona znajdują się rzymskie napisy. Jeden z tych, przed wiekami zmarłych wojażeròw, napisał na granicie:

„słyszę Memnona", i słowa te, w czasie teraźniejszym napisane, a o tak dalekiej świadczące przeszłości, dziwnie zasmucają biednego człowieka. Osiołka braliśmy, zwiedzając Tebòw ruiny. Za osiołkiem moim biegła piechotą właścicielka jego, bardzo ładna bronzową dziewczynka, która umiała tylko jedno słowo, nibyto włoskie: mangeria, i z litosną minką o takie „mangerie"[10] upominała się. Widziałem Arabòw, którzy konno usiadłszy na łopacie, przepływają Nil, nie boją się krokodylòw.

Oprócz jednej burzy nilowej, podróż tę odprawiłem z wszelkiem bezpieczeństwem. Konsul mòj otrzymał mi firman[11] baszy, który z największem uszanowaniem Araby odczytywali. D. 10 listopada, to jest po trzydziestokilkudniowej podróży na Nilu, wròciliśmy do Kairu, gdzieśmy zastali kilku rodakòw, już dawniej znajomych, oraz Hołyńskich.

Pięć dni przepędziliśmy znowu w tem mieście i potem, wsiadłszy na wielbłąda, kupiwszy sobie namiot, z dwoma służącymi i Beduinami, puściliśmy się przez pustynię z Kairu do Gazy. Nie wystawisz sobie, droga, jak to dziwnie wsiadać na klęczącego wielbłąda, jak się to trzeba trzymać siodła, kiedy wielbłąd się podnosi i trzy razy rzuca człowieka w różne strony, wstając na nogi. Lecz jeszcze nieprzyjemniej jest siedzieć na nim, kiedy klęka, zdaje się, że się dom pod człowiekiem wali. Wielbłądy, idąc drogą, pasą się wonnym tamaryntem[12], i Beduini pędzili nas, jak pasącą się trzodę. Życie takie i podróż taka ma dziwny powab... Czas był najpiękniejszy.

Pierwszą noc spaliśmy w grobowcu świętego tureckiego. Była to mała, biała kapliczka z kopułką, święty nieboszczyk leżał po jednej stronie, my po drugiej. Cienki mur nas przedzielał, w którym były dwa okienka, i przez te mieliśmy ze ś. p. komunikację. Wielbłądy leżały wieńcem koło ognia przed grobowcem, nad tą kapliczką rosło wielkie czarne drzewo, w którem całą noc śpiewał puszczyk. Potem co wieczora rozbijaliśmy nasz podróżny namiot, przez ośm dni bowiem jedną tylko widzieliśmy wioseczkę. Małe różne wydarzenia takiej podróży stają się bardzo znacznemi i urozmaicają ją dziwnie. Czy to kilka gazeli skaczących po stepie, czy ślad hieny, czy spotkanie karawany, czy widok samotnego Beduina, który ze swoim wielbłądem przebywa pustynie i obok naszych ogniòw swój ogień rozkłada, — nic z tych rzeczy nie jest obojętnem. Zachody słońca pyszne, krzaki cierniowe, palące się lekkim płomykiem, jak koronki brabanckie, słowem, przyjemna podróż w pustyni, ażeśmy przybyli do El - Arish, gdzie trzeba było siedzieć pod namiotami dni 12 kwarantanny.

Ale o tem i o dalszej podróży w następującym listku. Teraz jeszcze raz całuję ciebie serdecznie, droga moja, i proszę bardzo ciebie o list do Florencji, bo za trzy miesiące będę tam, a jeszcze lepiej, żebyś mogła drugi list do Livorno napisać, gdzie mi go do kwarantanny przyniosą. Tak, proszę cię, droga, napisz do Livorno poste - restante, i to nie bardzo spaźniając.

Juljusz Słowacki.

b/

Paryż, maja 1845 r.

Najdroższa moja! Chciałbym skąd dostać teraz melancholji, którą wiem, że ty lubisz, a która gdzieś ode mnie i ze mnie zupełnie uciekła. Duch mòj obròcił się cały twarzą naprzòd... w pracy, którą ma z ludźmi, zakochał się, a żadna kochanka nie jest tak piękną, jak to uczucie wnętrzne, które coraz dalej prowadzi, nie do fantastycznych niebios, ani do kościelnych aniołòw, ale do prawdziwej doskonałości przyszłego żywota. Jakże ja ci, droga, wytłumaczę ten wzrost nagły i to odmienione we mnie pojęcie naszego życia na ziemi... jakże ci dam uczuć te powiewy ogniste z niewidzialnego świata, które do mnie przylatują?... Mòdl się, droga moja, stòjąc prosto przed Bogiem, i wierz mi, że są rzeczy, o których myśleć nawet dawniej nie umieliśmy. Gdy ci piszę tak, to lękam się znòw, że mnie weźmiesz za warjata, albo za człowieka, co księdzem myśli zostać... Raz na zawsze odpędź te myśli od siebie... Natury, którą mi dał Bòg, nie wyrzeknę się, z drogi nie zejdę, nie odmienić się chcę, ale rosnąć; moce, które są we mnie, poznałem i tych przed nikim z zupełną niewolą nie ugnę, przed nikim żywym. Jedyną nędzą moją i boleścią jest to, że ludzie, których ja dawniej wielkimi i pięknymi sądziłem, ciągle i coraz bardziej upadają, a nikt nowy nie przyjdzie, coby mi ich stratę zastąpił; codzień prawie czekam, czy się nie otworzą drzwi moje i czy twarz jaka nowej piękności nie błyśnie mi słońcem rozweselenia; bo to niepodobna, aby mi nigdy za życia mego Bòg nie pozwolił ujrzeć prawdziwą piękność na ziemi, serce, rozweselone mocą i dobrocią, szlachetność świętą i niezmienną... Wołajże ze mną razem, droga moja, aby mi takie braterstwo przyszło dopomòc, bo teraz, choć powierzchownie nie sam, to rzeczywiście powiedzieć mogę, że samotny jestem... Serce zaś moje, na prawdziwe uczucia ludzkiej boleści otworzone, pęka się codziennie, nawet patrząc na nieznajomych ludzi nieszczęścia... W tym miesiącu, dziwnym zbiegiem choròb, trzy razy śmierć weszła do domu, w którym mieszkam, i zaczerniła go... Ostatni zaś raz wszedłszy zabrała ładną, czternastoletnią panienkę... Której rodziców okna o pięć krokòw są przed mojemi oknami... oko w oko się patrzą na siebie... Ojciec, siodlarz dość bogaty, i matka, oboje uczciwi nadzwyczaj ludzie, ale, jak zwyczajnie teraz Francuzi, bez żadnej wyższej duchowej wiary, a w poczciwości jednej świętej cel żywota zakładając, wychowali to dziecko z nadzwyczajną troskliwością, nigdy nie wypuszczali na ulicę, nigdy nie otworzyli jej serca żadną egzaltacją... U nas dziewczyna tego wieku / a wyrosła, jak łania, i ładna była/ kochałaby się już idealnie w jakim zdaleka widzianym chłopcu, bo u nas wszystko gra w ludziach, żyje, płomieni się, a czy źle, czy dobrze, zawsze rusza się i wybucha; tu przeciwnie, nigdy jeszcze nie widziałem zakochanej panny; czekają, aż pòjdą zamąż, a i wtenczas jeszcze nie kochają się, ale się bałamucą... Otòż moja sąsiadka, która tydzień temu zdrowa była i kwitnąca, jak ròża... nagle krwią uderzona w głowę, ciałem tem, strasznie wyniosłem w moc, w pięć

dni zabita... poszła na cmentarz... W tymże samym czasie syn popadł się pod los, to jest losem naznaczony na żołnierza, i oto dwa ciche pokoiki, w które ja mimowolnie, jedząc obiad w pierwszym moim pokoju, przez okno patrzeć muszę, puste teraz, wymiecione nieszczęściem... przez dwoje średniego wieku cnotliwych ludzi zamieszkane, czarne okna mają, które chyba już rozjaśni świętość Chrystusa...

Opisuje ci to, abyś ty, droga, tak, jak ja, z wielkiem ubolewaniem i miłością uniosła się sercem, niby gołębica, do Boga... nad nieszczęściem ludzkiem górując, ale nie przez obojętność ani twardość serca... ale przez lot wysoki... Oto duch tej dziewczyny odszedł z ziemi niczego nie nauczony, nigdy nie cierpiał, miłości żadnej, nawet ludzkiej nie poznał, o Bogu słyszał mało; w ostatniej nawet godzinie żadna świętość nie pokazała mu się na ziemi... Miesięcznej mu hostji nie pokazano... gromnice, jak gwiazdy i ognie, nie pokazały się w ciemnem powietrzu ostatecznego oczu zamglenia... lotu mu żadnego nie dano. Gdzież ona jest?... co teraz robi? gdzie się znów widzialnie objawi? o czem pamiętać będzie?... czy wdzięczną jest tym rodzicom, że ją w takie ciało śliczne ubrali byli i, ubrawszy, o ubiorze myśleli, a nie zapytali, czego chce? nie wydobyli z niej ostatecznego dźwięku, który może był cudownej mocy i piękności? Może nawet dlatego odeszła, że gniewała się na nierobotę dusza ta? że chciała czynić, a sposobiono ją do tego, aby, spoczywając, starała się być szczęśliwą? Nad nią więc ani chwili nie ubolewałem, droga moja, owszem, rozweseliłem się w duchu, myśląc, jakie być musiało tej duszy rozweselenie, gdy się wolną i pracującą duszą ujrzała... Ale nad rodzicami głęboko i głęboko cierpiałem... że takiej nauki potrzebowali... że tego odebrania dziecięcia Bóg się winnym względem nich uczuł, a to dlatego, że ich kochał poczciwych... Przez taką pracę, jak widzisz, i przez takie nieszczęścia przechodzą duchy nasze!... Przez okna moje i przez oczy moje patrzę na tę historję duchów, której świat jeszcze nie rozumie... z uczuciem Nieśmiertelności widzę wszystko, jakby się w kryształowych ciałach odbywało, a wszystko jest dobre i piękne, chociaż smutne, dopókiśmy smutku warci.

Tą historją, sądzę, że cię wprowadziłem do domku mojego i dałem ci uczuć powietrze, które w nim panuje... Cichość jakaś święta, pełna uwagi, na świat zwróconej, ale nie bez łez dla świata, ani bez modlitwy za umarłemi, bom i część tej nocy, gdy ta dziewczyna umarła tak blisko leżała, przepędził, modląc się... i czytając głośno ewangelję z tą myślą że dla ducha jej słuchającego czytam... Wystaw sobie tę ciszę, która wtenczas u mnie panowała... i zobacz światło świecy mojej i usłysz głos mój poważny, jak głos którego z dawnych ojców moich, i otwórz i przeczytaj który z najspokojniejszych rozdziałów Ewangelji po polsku, a będziesz miała najwyraźniejszy obraz teraźniejszego ducha mojego.

List twój ostatni pełen smutnych nowin... Wieść o chorobie Pawła[13] była mi powodem wielu uczuć, podobnych tym, które oto wyżej zgon panny we mnie obudził... któż więcej,

jak on, doznał cichego pokoju na ziemi?... Jego mieszkanie w ogromnym i echowym gmachu, ten milczący tłum duchòw, ktòry był w książkach i milijonem szepcących głosòw otaczał go... ta tęcza gwoździkòw, ktòrą on karmił spokojne oczy swoje... Nareszcie najwyższy Anioł milczenia; ta rozumowa rozwaga, ktòra panowała nad uczuciami jego... to wszystko, a tak długo na ziemi trwające, prawie bez żadnej zmiany, teraz... może już zakończone!... Milczenie wielkie rozbite, jak dzwon pęknięty!...

Wybijamy się więc duchem, droga moja, z pod tych cielesnych uciszeń, ktòre odejmują prawdziwą siłę duchowi naszemu... i czynią, że podobny głupcowi, zawsze rozpoczyna na nowo tę pracę swoją, przeplataną mękami, nie będąc nigdy mocniejszy nad to, co go czyni nieszczęśliwym. W ostatnim odlocie ducha naszego poczujmy siłę większą, niż była przed rozpoczęciem pracy, a nie oszuka nas Bòg sprawiedliwy...

Niech za nami zostaną rzeczy ukochane wprawdzie, ale do ktòrych już nie tęskniliśmy tak, jak do jedynych rzeczy, z ktòrych mogła mieć szczęście dusza nasza... przyszłą moc ducha naszego ukochajmy... Te sny, ktòre, mòwisz, że schodzą do ciebie i mocniej się czuć dają... dowodzą mi, że odzyskujesz związek z prawdziwym światem duchòw, ktòrego my jesteśmy członkami, a czasem tylko narzędziami nic nie wiedzącemi... Takiem narzędziem byłem długo ja sam, narzędziem wichròw i tęcz niewidzialnych, teraz dopiero rządzony przez Najwyższą Sakramentalną siłę Chrystusa... Czy ty zrozumiesz to wszystko?... Sądzę, że, rozczuliwszy się tem, co piszę o umarłych i umierających, zrozumiesz... Jaśniej tłumaczyć się nie mogę, to tylko wiedz, że nie imaginacją rządzon jestem, ale rzetelną siłą, tak wielką, iż zaledwo to pojąć mogą zmysły moje... Proszę cię, wiarę miej, bo na tem wszystka moc nasza leży, a wierz mi, a tyś uwierzyć w to powinna, boś mnię w łonie swojem niegdyś czuła, wierz więc, że się czuję w łonie Nieśmiertelnej natury Słowa... a nic ci nie piszę z zimnej myśli i z utworzenia rozumowego, ale wszystko z prawdy wnętrznej... Ściskam ciebie i całuję, zdròw jestem i niewiem, czy kto jest w głębi duszy szczęśliwszym odemnie.

Jul.

1/ „Listy Juljusza Słowackiego. Z autografòw poety wydał po raz pierwszy Leopold Méyet". Tom II /Lwòw 1899/.

2/ Miasto portowe w Azji Mniejszej. -

3/ Przedmieście Genewy, gdzie mieszkał Słowacki w okresie pisania Kordjana.

4/ T. j. Hersylję i Teofila, członkòw rodziny. -

5/ T. j. autor z towarzyszem podròży, Zenonem Brzozowskim.

6/ W gòrach szwajcarskich. -

7/ T. j. spotkanie się.

8/ Miasto na lewym brzegu Nilu.

9/ T. j. książkowy opis podróży. -

10/ T. j. coś do jedzenia. -

11. Rozkaz, list żelazny dla podróżnego na Wschodzie. -

12/ Dziko rosnąca w tamtych stronach roślina /powidlnik/.

13/ Jarkowskiego, bibljotekarza Liceum Krzemienieckiego.

Z Y G M U N T K R A S I N S K I /1812 - 1859/.

Z LISTÓW DO ADAMA POTOCKIEGO[1]/.

a/

1838, 17 sierpnia, Opinogòra.

Drogi Adasiu! W naradach, w ludzkości, jak w człowieku pojedyńczym, wiek dzieciństwa i pierwszej młodości jest wyobraźni wiekiem - ona wtedy gòruje i wszystkie sprawy Ducha przyobleka zmysłowości barwami. Symbole - jest to idea, w kształt dotkliwy[2]/ ubrana. Dążność symbolizowania wszystkiego słabieje w miarę postępu ludzkości. Coraz bardziej staramy się odrywać kryjące go zasłony, ale w pierwszych wiekach historji to, co dzisiaj wydaje się czytającemu prawie dziecinnem i bajecznem, było naturalną bardzo wynikłością stanu rzeczy i umysłu ludzkiego. W pamięci narodowej zachowywało się pasmo rozlicznych bardzo zdarzeń pod postacią jednego bohatera, pod imieniem jednego człowieka. Wszystko, co minęło, a wycisnęło silne wrażenie, z następstwem dni jednych po drugich coraz bardziej tracąc na znamionach swoich ludzkich, coraz błędniej obwijając się w mgły wspomnienia i uroki dawności, stawało się bogiem tym lub owym, mitem lub powieścią, pełną fantazji. Tak samo i w duszy człowieka, nieraz pamięć dziwnie cudownemi farbami maluje chwile, w których teraźniejszość nie tak boską była. Czemże cały politeizm, jeśli nie szeregiem zdarzeń odwiecznych, na ziemi zaszłych, a do nieba przez umysł ludzki wzniesionych? Zresztą uważaj, iż ciągle do tego dąży Duch ludzkości, by w sobie samym odkryć coś Boskiego, a to odkrywszy, nową z tego gwiazdę lepi i zatyka na niebieskich stropach. Teraz my starzy, my prozatory, my, dźwigający na naszych barkach sześciu tysięcy lat dzieje, nazwiemy takie odkrycie, taką siłę nową, imieniem zasady, prawdy, cnoty, piękności etc. etc. ale pierwiastkowi[3]/ ludzie, wszystko żywiej czując, z naturą wewnętrzną Ducha mniej, a z zewnętrzną ciała lepiej obznajomionej, takie uczucia, myśli, siły materjalnemi ubierali kształty; na wzòr gwiazd, rozsypanych po niebie, bòstwa rozsypywali po przestrzeni; z każdego stulecia, zawierającego w sobie wiele zdarzeń, jedną wielką figurę boską lub bohatyrską wykuwali, bo właśnie to jest rzeczą pierwiastkowej poezji, by wszystkiemu Indywidualność nadawać i, jeśli tak mogę wyrzec, c z ł o -

w i e c z y ć Boga i ròd ludzki, pojmować wszystko pod obrazem p o j e d y ń c z e j i s t o t y. My przeciwnie po doświadczeniach wielu postępujem - my indywidualność człowieka poświęcamy Bogu i ludzkości. M y D u c h j e d e n, wielki, ogòlny, wszystko zawierający, a zatem żadnym kształtem niemogący być ograniczony, wyznajem za najwyższą Istotę, za początek i koniec wszystkiego. Jemu na ofiarę bijem kształty świata i nasze własne. Dlatego nam, czasem zupełnie w odwrotnym kierunku postępującym, nie do uwierzenia mogą się wydać pomysły, wiary i sposoby działania starożytności. Tyle na obronę Micheleta[4]/. Zresztą przyznam tobie, że nieraz uczeni, a szczególnie filologi, po nici dochodząc kłębka, dziwnie się gmatwają i na przestarzałych słowach budują ogromne piramidy, które lada wietrzyk rozchwiewać potrafi. Co jest doskonale opisane w Michelecie, to walka dwòch stronnictw, ktòra historję rzymską bardziej stanowi, niż zewnętrzne podboje, bo jest treścią serca rzymskiego, charakteru rzymskiego ukrytą sprężyną. Dalej z nieporòwnaną biegłością autor wykazuje, jak się na Rzym obròciły własne jego namiętności, jak Kapitol napełnił się cudzemi bogi i ludźmi, jak wreszcie Azja i Grecja moralnie podbiły tego, ktòry ich materjalnie był zawojował. Historja Rzymu jest historją świata całego. Z niej wnioski na wszystkie czasy ciągnąć można. W historji katolicyzmu mnòstwo jest rzymskich, starożytnych sił - taka sama walka dwòch stronnictw, takie samo zwycięstwo Jednowładztwa, takie samo zepsucie nareszcie. Ale zdaje się, że coś nieśmiertelnego Opatrzność wlała w te wzgòrzòw siedem[5]/. Jak tylko padają czyjeś pałace lub świątynie, na nich zaraz drugie ròwnie potężne, cień rzucające na ziemię całą się podnoszą. Niema końca Rzymowi - pòjdź po gruzach jego; ujrzysz Kapitol niepodobny do siebie, zwalany błotem, zniżony nie wiem o piętr wiele, obnażony ze złotego dachu, z marmurowych wschodòw - ale zato na drugim końcu miasta Ś-go Piotra kościòł stoi! Czytaj więc i odczytuj dzieje tej ogromnej materjalnej i duchowej potęgi, Rzymem zwanej; potem, gdy je zrozumiesz, reszta dziejòw łatwo ci pòjdzie. Świat nasz dzisiejszy cały wynikł z chrześcijaństwa, osiadłego na gruzach Rzymu. Rzym Grecję pochłonął - Duch chrześcijaństwa Rzym zagarnął; przydaj do tego plemiona pòłnocne, ktòre przed Krzyżem padły na kolana, a będziesz miał nas samych, dzieci filozofji greckiej, religji Chrystusa i kodeksu rzymskiego. Przeczytaj jeszcze, proszę ciebie, Montesquieu: „Grandeur et décadence des Romains", wyborne, kròtkie dziełko. Przeczytaj także Tocqueville: „Sur l'Amerique"[6]/. Nikt od Montesquieu i Tacyta takim stylem zwięzłym i wcinającym się w samą iściznę rzeczy nie pisał.

Teraz o czem innem. Dzięki ci składam szczerze za twoje dobre i wrzące serce. Nie pisałem do ciebie o moim przyjeździe, bo to było wòwczas jeszcze bardzo niepewnem. Teraz pewnem jest, że na zimę z ojcem do Włoch pojadę, ale czy przez Wiedeń przejeżdżać będę, to nie wiem, a choćbym w październie tam wpadł na tydzień, to i tak ciebie nie zastanę. Napisz słòwko do murgrabiego domu[7]/ na wszelki przypadek, by wydał

mi paczkę, którąm zostawił pod opieką twoją, jeśli będę przejeżdżał w nieobecności twojej, a co mi będzie potrzeba, z niej wybrawszy, znów resztę zostawię.

Doskonale pojmuję twoje marzenie przy muzyce „Normy"8/. O, mój Boże! ileż ja takich miałem i one może były jedynem szczęściem mojem na ziemi; ale nie folguj mi zanadto, bo zapadniesz we wstręt i niesmak do rzeczywistego świata, a gdy raz taki wstręt powezmiesz, wszelkiego działania władze umorzoną w tobie zostanie. Na tem siła i zacność człowieka zależy, by nie mniej umiał myśleć, jak wykonywać. Rozkoszy zadość może się stać w marzeniu; cnocie poczciwości, obowiązkowi - tylko w pracy i działaniu. Nie powiem, iż to łatwo przychodzi, owszem, utrzymuję, iż nic trudniejszego, ale też i nic wznioślejszego niemasz. Znać, iż nie samo marzenie, iż nie sama myśl jest trybem i przeznaczeniem świata, kiedy Bóg swoje myśli ubrał w rzeczywistość, kiedy stworzył je dotkliwie. Otóż im bardziej człowiek zbliża się do Boga, tem szerzej posiada władzę przerabiania myśli swoich w rzeczywistość, wcielania ich w widomy skutek. Ta harmonja między pomysłem a czynem wielkie dusze i charaktery stanowi - bo uważaj, że myśl, choćby najwznioślejsza, dopóki krąży w tobie, jest tylko egoizmem. Dopiero kiedy się udzielisz drugim lub z niej coś cnotliwego, dobroczynnego lub pięknego utworzysz dla drugich, staje się miłością, udziałem, wspólnością, prawdziwym ruchem i życiem. Marzenie zaś zwykle połączone bywa z lenistwem, podobnem do owej nieruchomości, którąby człowieka ogarnęła, gdyby ujrzał nagle coś nadzwyczaj pięknego lub usłyszał anielską muzykę - wszak prawda, lękałbyć się ją przerwać? Otóż kto ducha przyzwyczai ciągle do takich dźwięków, kto ciągle lęka się, by się nie rozwiały, ten z oporem będzie szedł, kiedy przyjdzie mu iść, ten nieraz poświęci zewnętrzne dobro drugich tej wewnętrznej, własnej rozkoszy.

Nieba rzadko się dotykaj. Wtedy ono będzie siłą dla ciebie; ale jeśli zechcesz każdą chwilę przerobić na niebo, wcześniej lub później spalisz się na popiół, tak, jak Semele, ujrzawszy Jowisza9/. Oto jest mit starożytny, pełen znaczenia. To, co mówię, ze szczerego przekonania. Doznałem tego na sobie samym - czara marzeń otruła mnie boską słodyczą swoją. Bądź szczęśliwszy odemnie. Umiarkowanie pij z niej - a ona zbawi ciebie, nie zabije. A ile razy się jej dotkniesz, niech pośród wywołanych cieni i moja postać stanie przed tobą, postać człowieka, którąby chciał cię obronić od wszelkiego zepsucia i zbytku, który przedewszystkiem pragnie zacności twojej, potem rozumu, wreszcie szczęścia dla ciebie. Szczęściem na końcu położył, bo na niem nie zależy godność człowieka. Ta zaś może obejść się bez szczęścia w danym razie, a szczęście, jeśli bez niej się obchodzi, to zowie się podłością; przenoszę więc cnotę i rozum nad szczęście. Lecz myślę, że kto posiadł pierwsze dwa dary, mniej dba o trzecie. Zdołał on je w sobie samym wyrobić. Jednakowoż niech los sypie na ciebie wszystko, co szczęśliwe, niech cię twój Anioł -

stròż broni od pobocznych nawet przykrości. Myśl ciągle, marz czasem, kiedy już bardzo ci smutno, ale nie wpadaj nigdy w owe niepomiarkowane żarty i rubaszności, które są tylko zwiastunkami przyszłych „spleenòw"[10], a szkodzą powadze, o ktòrej zachowanie nawet w codziennem życiu człowiek zawsze dbać powinien. Nie uwierzysz, od wielu złych ludzi bronić się można, ile niebezpieczeństw uniknąć samą tylko powagą. Powaga - jest to nieprzełamana zbroja moralna, a nieszczęściem, świat często bywa polem walki.

Zygmunt Krasiński.

b/

8 septembra, Opinogòra, 1838.

Drogi Adasiu! Proszę cię, zaklinam cię, nie męcz się o to, że uzewnętrznić myśli swoich nie możesz. Tem lepiej; miasto w słowa, one przejdą w czyny. Kiedyś stał na brzegu parowu i patrzał w gòrę śnieżną, kiedy widok cię natchnął, kiedyś porwał za papier i ołòwek, nie byłeś jeszcze poetą, ale nim byłeś, zaprawdę ci mòwię, byłeś nim w całej rozciągłości tego słowa, kiedyś kartkę wyrwał z albumu i, jak kłębek śniegu, puścił w przestrzenie, śnieg do śniegu rzucając, jak niegdyś òw pierwszy Abdank złoto do złota[11]. Rozważ sam, co się stało w tobie; pojąłeś duchem ideał piękności wyżej nad wszystkie ziemskie wyrazy. Zdjęła cię wzniosła pogarda, poświęciłeś spadłe z ust twoich słowa - myśli twojej duszy żyjącej. Tem samem przyznałeś sobie samemu, głębiom umysłu własnego coś wyższego, coś nieskończonego. Lubię cię i kocham w tej chwili, boś w tej chwili wolny był wszelkiej miłości własnej i przeto prawdziwie wzniosły, poetyczny byłeś. Czyn twòj był poezją! nie żałuj więc kilku śmiertelnych, znikomych okresòw. Dziękuję Bogu, że ci pozwolił czuć piękność, rozlaną w stworzeniu. Czy sądzisz, że choć jeden poeta wolny był od uczucia, ktòre tobą powodowało? Czy myślisz, że w sercu największego poety niema zakątka strutego goryczą, pochodzącą z przeświadczenia, że nigdy pieśń jego żadna nie doròwnała jego natchnieniu? Spojrzyj na nich wszystkich - na licu i w dziejach każdego odkryjesz ten brak ròwnowagi między ich myślą, a ich dziełami, między tem, co Bòg w nich zatknął, a tem, co oni wyrobili z tego, między Ideą a jej wcieleniem. Z tej przyczyny robak wieczny zalega im serce. Życie ich całe bywa dysonansem, żądaniem bez miary, ktòremu nigdy nie staje się zadość, - miłością niewidomej kochanki, o ktòrej ukazanie modlą się napròżno. Stąd wcześnie starzeją, stąd niedługo żyją, a dni ich pełne troski i cierpień. Stąd jeszcze bywa, że nieraz słabieją w stanowczych chwilach, że zapadają w letarg bezczynności, kiedy działać trzeba. Groźni w pieśniach, wśròd niebezpieczeństw rzeczywistości pokornymi bywają, Umieć zarazem śpiewać i działać, umieć strunę lutni przemienić na łuku cięciwę, rzadko im się udało. Tyrteusz, Camoens, Milton, a za naszych czasòw Byron i Kòrner wydołali temu[12]. Wśròd tylu innych, oni jedni tylko!

Z listów do Adama Potockiego.

O, mòj drogi! Wierz mi, większa jest poezja w wypełnieniu jednego obowiązku, niż w napisaniu dziesięciu poematòw. Cnotliwym być - jest to całą duszę swoją przemienić na poemat. Napisać poemat - jest to tylko część Ducha własnego ubrać znikomie w ładną szatę piękności i cnoty. Ale dojść tysiącem walk i boleści do zwycięstwa nad sobą, ale duszę własną tak wyszlachetnić, żeby ciągle i wszędzie podobną była do pieśni żywej, brzmiącej, akordowej, i czuć, że we własnych piersiach nosimy harmonję, niezależną od dzikich wrzaskòw zewnętrznego świata, czuć, że my sami siebie napisali i na wdzięczne podzielili spadki i wzniosłemi ubrali kształtami - oto rym dopiero anielski, oto poezja, którą może ziemia odepchnie nieraz, ale która w niebie spamiętaną będzie! Takiej ci życzę. Nastrajaj się do niej i gotuj, a tamta, zewnętrzna, sama z siebie przyjdzie. Nie staraj się jej sprowadzać i zmuszać w danej chwili, w której czujesz najwyższe natchnienie namiętności. Ona rzadko wtedy zstępuje. Ona potrzebuje pewnego spokoju ducha, a wśròd tego spokoju wspomnienia burzy - pisać się nigdy nie da w uniesieniu. Do pisania trzeba dwòch rzeczy - wpływu, wywartego przez uniesienia, i sztuki. Sztuka zaś wymaga pewnej ochłody, pewnej spokojności. Kiedy grzmot na ostatnich kończynach widnokręgu, uchodząc, jeszcze się odzywa, wtedy pisz - ale nie kiedy piorun prostopadle uderza cię w serce! Piękność, natchnienie potęgi i rozkosze Ducha najwyższe są niebieskim objawem. Pisanie, wyrobienie, układ, rym są mechanizmem ziemskim - a wiesz, że ziemia jest tylko cieniem, jest tylko wspomnieniem niebios!

Gdy ten list odbierzesz, zapewne już będziesz zpowrotem. Mam nadzieję, że zdrowie twojej Babki się polepszy, a troski twojej Matki się ukoją tem samem. Bądź łaskaw, złòż jej moje najszczersze, najtkliwsze uszanowania. Nieraz przypominam sobie pacierz, dany mi przez nią u drogi mojej początku. Bog widzi, że mnie nic ochronił od wielu smutkòw, ale niech Bòg jej z niego zapłaci. Słaby jestem i na oczy, i na duszy. Nieraz, jeżdżąc[13] przez te ogromne pola, równe stepom, przyjdziesz mi na pamięć, twoje uniesienie za stepami mi się przypomina, i zdaleka zasyłam ci w milczeniu życzeń tysiące nakształt błogosławieństwa. Niechaj ci lepiej będzie, niż mnie jest. Wstępujesz w życie - możesz, jeśli zechcesz i Bòg ci pomoże, dostąpić najwyższego szczebla ludzkiej godności. Możesz być cnotliwym, wiele dobrá rozdać bliźnim, masz żartki rozum, ostry dowcip, wrzące czucie - pracą możesz te dary niebios wywyższyć i podnieść do genjalności. Tylko przyzwyczajaj się do pogardzania rozkoszą i zbytkami, a zawsze bądź gotòw do wspaniałości - pamiętaj na to, że ziemskie dobro jest złudzeniem, dopòki przez niego szczęścia drugich nie zapewnimy. Dopiero ono wtedy wraca do nas. Pòki zaś w ręku naszem, pòty jest słowem bez znaczenia i próżnością próżności. Lecz na to, by go użyć święcie i sprawiedliwie, trzeba wielkiego rozumu - bo hojność i szczodrobliwość bez rozgarnienia, bez doskonałego pojęcia, w co bić należy i komu i czemu pomagać, jest tylko błyskotką, podobną do sztucznych ogni, co wśròd nocy

Zygmunt Krasiński.

Z listów do Adama Potockiego.

udają słońce, aż pękną - i nie wiedzieć, kędy się podziały. Zachowaj całą czystość młodocianego zapału, a unikniesz osłabienia, które nieraz następuje po nim. Wyobraźnia twoja niech ci służy za światło do rozjaśnienia przedmiotów, a niechaj się nigdy w płomień piekieł nie przemieni. I wierz dotego, że masz przyjaciela. Niech cię Bòg strzeże i prowadzi.

Z. K.

1/ Adam Potocki, pòźniejszy szwagier poety; w okresie tej korespondencji młodzieniec 17-letni; wedł. wyd. z r. 1922. -

2/ T. j. dotykalny. -

3/ T; j. pierwotni.

4/ T. j. na obronę poglądòw Micheleta, znakomitego òwczesnego historyka francuskiego, ktòrego dzieł lekturę zalecał Krasiński swemu adresatowi. -

5/ Na ktòrych stoi Rzym.

6/ „Wielkość i upadek Rzymian" Montesquieu, sławnego pisarza francuskiego XVIII w., autora głośnego dzieła o „Duchu praw". - Tocqueville, publicysta i polityk francuski, współczesny Krasińskiemu, autor dzieła „Demokracja w Ameryce". -

7/T. j. dozorcy pałacowego. -

8/Popularnej wòwczas opery Belliniego.

9/ Ktòra spłonęła od niebieskiego ognia, gdy w pełnym jego blasku - zadość czyniąc jej prośbie - ukazał jej się Jowisz. -

10/ - tyle, co stanòw apatji, nastrojòw nudy.

11/ Gdy cesarz Henryk V, chcąc olśnić swem bogactwem i może uwieść posła od Bolesława Krzywoustego, rycerza herbu Abdank, kazał przed nim otworzyć złota skrzynię, ten miał zdjąć z palca drogocenny pierścień i wrzucić go do skrzyni ze słowami: „Niech złoto idzie do złota, my Polacy wolimy żelazo".

12/ Nazwiska poetòw, ktòrzy zasłynęli ròwnież jako działacze, a niektòrzy z nich służbę dla idei przypieczętowali śmiercią: pisarz grecki Tyrteusz miał zginąć, z pieśnią na ustach prowadząc rodakòw do walki, Byron umarł, gdy niòsł pomoc wyzwalającym się Grekom, a poeta niemiecki Körner poległ w wojnach napoleońskich.

13/ T. j. gdy jeżdżę...

B R O N I S Ł A W F E R D Y N A N D

T R E N T O W S K I

/1808 - 1869/.

Z DZIEŁA POD TYTUŁEM „CHOWANNA, CZYLI SYSTEM PEDAGOGIKI NARODOWEJ" /1842/.

W y c h o w a n i e w s z y s t k o ś c i w i s t o c i e m ł o d z i e ń c a , p i e r w s z e f i l o z o f i c z n e p r a w i d ł o .

Na sławnej gòrze Etnie w Sycylji, gdzie się przed czasy gnieździć miały olbrzymy, znajduje się dziki kasztan nadzwyczajnej wielkości. Drzewo to ma mieć pień przeszło sto sześćdziesiąt stòp gruby, a jego konary, okryte rzęsistem liściem i kwieciem, przedstawiają, wedle opisòw i powieści, las cały. Lud mòwi, że kasztan ten od czasòw potopu ciągle, choć powoli, rośnie. W istocie twego wychowańca znajdziesz większe nierównie drzewo całej boskości, całej natury i całego człowieczeństwa. Ty jesteś dobroczynnem słońcem względem niego; pod promieńmi twego świątłego i ciepłego wzroku ma drzewo to rozgałęzić się wielką dąbrową, zazielenić akermańskim stepem i ubielić kwiatu oceanem. - Wedle powyższego prawidła, masz wszystkie zarody ciała, duszy i jaźni[1] twego wychowańca rozwijać: masz każdej jego zdolności i każdemu usposobieniu pomocniczą podać rękę; każde uczucie w nim ogniem świętym rozpalić; masz cały zasiew nieba i błogich nadziei, w nim leżący, jako pilny ogrodnik, deszczową wodą pilności twej polewać i pielęgnować; masz ogròd wszystkości w jego rdzeniu żyjącej rozgrodzić; parkiem rozległym kwiecia i owocu najpiękniejszego pod słońcem uczynić. Ale niedość na tem. Dziatki twe masz także wychować do w s z y s t k i e g o! - W prawidle tem zawarta jest empiryczna[2] pedagogika - ze wszystkiemi twierdzeniami i przeczeniami, z całem niewyczerpanem bogactwem! Rzecz jednak przychodzi tu do swej umiejętnej słonecznej pełni i staje się bezwzględną, szczytną. Jaka potęga w tych kilku wyrazach: r o z w i j a j w s z y s t k o ś ć b o s k o ś c i , n a t u r y i c z ł o w i e c z e ń s t w a w t w y m w y c h o w a ń c u! Jest to pierwsze filozoficzne Chowanny naszej prawidło. Jasne jest, jak dzień, krótkie, jak boskie czystej i tajemnej miłości spojrzenie, pełne złota słonecznego, jak kopalnie Indostanu w świątła koronie na głowie Feba! - -

I cóżby godziło się nareszcie w człowieku bez rozwikłania zostawić? Cóż jest tak maluczkie, tak niewiele znaczące, tak nikczemne, coby mogło zalec w nas odłogiem? Czyli podobna znaleźć w najpiękniejszym wianku całego boskiego jawu, ręką ojca Boga i matki natury uplecionego, w ostatnim i najdoskonalszem arcydziele wszechmocności, coś takiego, coby

Bronisław Ferdynand Trentowski.
Z dzieła p. t. „Chowanna, czyli System Pedagogiki Narodowej.

nie było już w sobie samem doskonałością, coby naszego trudu nie nagrodziło hojnie za swe przebudzenie i przeistoczenie w dzielność, za swe rozkwitnięcie rzeczywistości narcyzem? Czyliż wiemy, ku czemu młode bòstwo ziemi wszystkie swe siły pòźniej obròci? Wieszcz nasz najznakomitszy pieje: „Jedna tylko iskra jest w człowieku; raz tylko w młodocianym zapala się wieku. Czasem ją tylko oddech Minerwy roznieci. Wtenczas nad ziemskie plemiona powstaje mędrzec i gwiazda Platona w długie wieki wieków świeci. Iskrę tę jeśli duma rozżarzy w pochodnie, wtenczas zagrzmi bohater, pnie się do szkarłatu przez wielkie cnoty i przez większe zbrodnie, i z pastuszego kija robi berło światu, albo skinieniem oka stare trony wali. Czasem tę iskrę okò niebianki zapali; wtenczas trawi się w sobie, świeci sama sobie, jako lampa w rzymskim grobie"2/. Jedna iskierka zapali się pòźniej w twym wychowańcu, a wszystkie inne będą żywiołem wielkiego jej płomienia. Ty jednak dziś nie wiesz, ktòra to iskierka; nie zdołasz jej zatem ani naprzòd w pożar zamienić, ani raz na zawsze nogą zadeptać. To nie w twojej, ale w Boga mocy. Poddmuchuj tedy wszystkie iskierki tchnieniem twem zaròwno. Już nie jeden urodził się kmieciem i miał pedagogiem swym kmiecia. Genjusz własny przecież wyniòsł go nad stan i wychowanie, i został sławnym wodzem, poetą, filozofem. Niejeden także, mając najlepsze wychowanie, zmarniał, skoro iskierka jego nigdy ku niebu silnym nie buchła płomieniem. - A n i j e d n o s t r o n n i e, a n i w i e l o s t r o n n i e, a l e w s z e c h s t r o n n i e masz wychowywać młodego człowieka. Resztę zostaw jemu samemu i Bogu! - -

Każdy czas bez wyjątku jest niebezpieczny i grozi nam burzą; jest Wezuwjuszem, z ktòrego bucha dym kłębami. Kto ma oczy historyka i filozofa, ten się o tem głęboko przekonał. Biada tronowi, na ktòrym siedzi omacnica4/. Każde dalsze ludzkości rozwikłanie jest mniejszą lub większą rewolucją. Nie usypiaj swobodnie, ale idź z czasem i bądź gotòw na wszystko. - Przyszłość pokryta jest mgły ścianą kilkaset mil grubą, ktòrej ani przejrzeć, ani światłem swem rozpędzić niepodobna. Dlatego bądźmy zawsze na czatach. O, gdyby tylko rok jeden, tylko pòł roku wolno nam było widzieć naprzòd! Zostalibyśmy bez uczenia się filozofji najwyższymi mędrcami, bogami samymi i nie popełnialibyśmy codziennie tyle niesłychanych błędòw, z ktòrych nigdy wprawdzie naprzòd, ale zawsze pòźniej, gdy już się stało i wszystkie okoliczności wiadome, nawet każdy żak szkolny się śmieje: Tu niknie wszelka rozumu i matematycznego kalkułu potęga; tu niema żadnej pewnej asekuracji przeciw nocnemu i niespodziewanemu pożarowi. Co stanie się kiedyś z naszego wychowańca? Niewiadomo. Jaki los we drzwi jego zakołata? Niewiadomo. Rozwijaj tedy wszystkość jego bosko- człowieczej natury, żeby mògł wszystkiem na świecie zostać i zdolnym być do wszystkiego, czyli wychowuj go wszechstronnie! Rozwikłanie wszystkości młodej człowieczej istoty i wszechstronne jej wychowanie potrzeba przecież należycie zrozumieć. Wychowuj człowieka do wszystkiego na świecie, t y l k o n i e d o z ł e g o. Złe bowiem nie należy

do wszystkości, bo jest właśnie jej ograniczeniem, a więc mordercą. Im więcej złego w człowieku, tem bardziej ograniczona jest jego wszystkość, t. j. jego istota, jego bòstwo. Budź przeto dobre usposobienia wszystkie w twym wychowańcu, lecz mijaj zdaleka jego skłonność do złego. Skłonność ta niechaj śpi ciągle, niech śród uśpienia straci swe siły i obumrze! - Jean Paul[5]/ tłumaczy się w tym punkcie następnym sposobem: „Wiecież wy naprzòd, jak bogi lub proroki, czyli ten mały chłopczyna, co oto ròże rozskubuje i ścina głowy makòwkom, nie opuści zczasem swej korsycznej[6]/ ustroni i nie zagrzmi w zaburzonej części świata jako straszliwy Bòg wojny, igrając tak z nawałnicą i gromem, jak dziś z piłką; czyli on wtedy druzgotać narody lub też w nich siać i plenić będzie? - - Czyli ten genjusz samodzielny i prawodawca przyszły świata pod wodzą anioła lub szatana dziś stoi, nie jest to zaprawdę rzeczą mniejszej wagi, niż pytanie, czyli lepiej dać go pod berło jakiego uczonego profesora uniwersytetu lub też pod proporzec kròla prostaka".

1/ - osobowości, indywidualności.

2/ Doświadczalna. -

3/ Dziadòw cz. IV.

4/ Ćma, także zjawa, widmo, straszydło. -

5/ Jean Paul /Richter/, pisarz niemiecki okresu romantycznego. -

6/ T. j. na Korsyce, niby Napoleon.

A U G U S T C I E S Z K O W S K I /1814 - 1894/.

Z DZIEŁA P. T. „OJCZE NASZ" /TOM I, 1848/.

R o z d ź w i ę k c h w i l i o b e c n e j z n a m i e n i e m ś w i a t o w e g o P r z e s i l e n i a. - O j c z e n a s z j a k o T e s t a m e n t C h r y s t u s o w y.

Święty Boże! còż się dzieje w świecie? Jakże źroczo, jakże obrzydliwie razem! Zewsząd prawda się wykluwa, a kłamstwo przemaga wszędy. - Stroi się jakby na gody, przy pogrzebowem łkaniu głodzonych lub mordowanych narodòw. - Morze Rozkoszy - i ocean Cierpienia; a przy rozkoszy nuda, - rozpacz przy cierpieniu! - Powołani obsiedli rozpustne życia biesiady - a niepowołanym przekazali zgrzytanie zębòw na ziemi - a w ziemi wspòlne grobowisko, - bo mędrcy tego świata wyrzekli, że dla nich u stołu żywota nie stało już nakrycia. - W sprawach publicznych prywata - w prywatnych zakała. -

- Próżność się święci, a cnota próżnuje. - Świeckie ramię zwsześciało - duchowne zgrzybiało. - Bożego słowa każdy używa - albo nadużywa, - ale nikt w niem nie żyje, ni ono nie żyje w nikim. - Braterstwo ludzi i ludów się głosi - a Kainowe zbrodnie przeszły od ludzi do ludów! Tu postęp występkiem - ówdzie występek postępem! tu życie silne a nikczemne, ówdzie konanie nikczemne a silne. - A to życie pozorne, bo już zarażone śmiercią; - a tamto śmierć pozorna, bo już zapłodniona życiem!

Oto przed nami nieprzypuszczane cuda przemysłu, - oto niedomyślane skarby nauki, - oto rosnące wciąż ślady olbrzymiej a gorączkowej pracy; - oto zbytki, o jakich nigdy Sybarytom się nie śniło, - oto siły, jakich nawet wyobraźnia bajecznym Tytanom przypisać nie śmiała! - A przy tem wszystkiem Lud i Ludy łakną - pragną - i jęczą wzdychaniem niewymownem! - Na cóż się to wszystko zdało? Do czegóż to prowadzi? - Cóż opatrzyła nauka uczonych, - cóż zarobiła praca robotników, - co zakupiło złoto bogaczy, - co wywalczyło bohaterstwo narodów, - cóż obmyły nareszcie łzy tylu pokoleń? - Święty Boże! cóż się dzieje w świecie?

Dzieje się po raz drugi to, co raz dopiero odbyło się w historji, - ale co już więcej się nie powtórzy, póki ludzkość ludzkością: rodu ludzkiego wtóre Przesilenie. Świat stary umiera, - a nowy się rodzi; świat trzeci nastaje!

Byćżeż to może? - Nasz świat pełen otuchy - w żywotne soki bogaty - w zasoby odwieczne uzbrojony - w drogi swoje zadufany, - ów świat tak silny, że sił swoich chełpliwie nadużywać zdolen, - tak uczony, że już ani wierzy, ani nawet wątpi, - tak uczciwy z rachuby, - o ile uczciwość popłaca, - tak pewien siebie, że aż obojętny, - miałżeby już ustępować przed nowym światem w tej właśnie chwili, kiedy się sam zabiera tak wygodnie u siebie się rozgościć?

Pomnijcie na ostatek dni starego Rzymu, na jego wiekową potęgę i dzielność, - na legjony jego nieprzezwyciężone, - na praw jego zwarte sklepienie, - na wszystko złoto przez niego zdobyte, na wszystko zboże, spływające corocznie ze śpichlerzów świata całego, by karmić jego obywateli, tych panów świata, - na jego drogi i wodociągi, - na jego trudy i igrzyska, - na Fortunę Rzymską wreszcie, której żadna ani przedtem ani potem nie sprostała, - i powiedzcie sami: - kiedy takie słońce zaszło, jakieżby zajść nie mogło?... Pomnijcie też na Baltazarowe biesiady i na przerywające je przestrogi! Pomnijcie nareszcie na wyraźne przestrogi Zbawiciela, - na dni Noego i „na dni Lotowe". Wszakci i wtenczas ludzie „jedli, pili, żenili się i zamąż wydawali... kupowali i sprzedawali, sadzili i budowali"... i ufali w siebie „aż do dnia onego, w którym Noe wszedł do Korabia"... albo Loth wyszedł z Sodomy[1]. - Pomnijcie więc i czuwajcie!

Miałżeżby świat nasz zasłużyć na los Rzymu, albo na los Gomory? Miałżeżby znowu potop jaki, - potop krwi albo ciemnoty osromocić naszą ziemię.

Z dzieła p. t. „Ojcze nasz".

O, nie! - Potopu już nie będzie „na skażenie ziemi"[2]. Mogą być klęski - mogą być powodzie - jeśli je sami rozpuścicie; a wtedy, jako ślepe uragany, porwać mogą ludzi złej i dobrej woli - lecz ani ludów ani ludzkości nie dosięgną one. A zapobiec im - od was samych zależy. - Bo spojrzyjcie - wszakże wykształca się już różnobarwna tęcza ludzkości, ów znak ostatniego i wiecznego przymierza, - znak Spokoju i Pocieszenia! - Patrzcie - a domyślcie się dróg i środków Pańskich!...

Wszakże już nie Słabi, jak dawniej - ale Przemożni wołają o Pokój: - Wszakże już nie gołębice, ale sępy niosą gałązkę oliwną; - a wszakże już nie sępy, ale gołębice zaprawiają się do walki! - Cóż to znaczy? - Oto że ludzie, którzy snać za własnym tylko uganiają się zyskiem - pracują dla Ludów; oto że Ludy, które snać za własną tylko miłością rzucają się w katusze - pracują dla Ludzkości!...

Widzimy... i płaczemy nad niemi; - bo oto tamci gubią się bezmierną chciwością, a oto ci gubią się bezmiernem poświęceniem! - A chociaż ani chciwość jednych, ani poświęcenie drugich nie mają spełznąć daremnie, to jednak żal nam słodkich cierpień tych - i gorzkich rozkoszy tamtych!...

I żal nam onych, którzy żadnej rozkoszy ducha dotąd nie zaznawszy - przecież cierpienia wiekuistego domyślać się już zaczynają.

O! wybaw, wybaw nas, Panie! wybaw Ludzi i Ludy - wybaw Lud i Ludzkość!

Zbawienie Ludzi i Ludów - Ludu i Ludzkości - dziś od nich samych i od nich tylko zawisło. - Ustał czas Łaski - nastał czas Zasługi. - Dokonało się Miłosierdzie, powstaje Zadośćuczynienie. - Minęła chwila daremnych darów, - nadeszła chwila obliczenia się. - Wszak przekazanych talentów było dosyć, - policzmy, co przyniosły. - Biada zakopującym - chwała zarabiającym.

Póki ludzkość była dziecięciem, póty wychowywała się pod pieczą orędowników lub różdżką ochmistrzów, - dziś dostępując pełnoletności i sił swoich długo doświadczywszy, niechże ich wolno użyje, - niech żyje o własnym życiu, niech sama sprawi sobie Ziemię Obiecaną.

O, biedni my i słabi, mimo wszechbogactw i sił naszych! O, nieradni my i niedzielni, mimo doświadczeń i wszelkiej wprawy naszej! - Mamyż więc sami jąć się dzieła, któremu dotąd nie sprostały wieki, mimo natchnionych Boga posłańców? Gdzież mądrość - gdzież hart ducha po temu? - Tylko zamęt w umysłach - czczość w sercach - niedołęstwo w charakterach! - Zdołamyż biedne sieroty odbyć ten straszny przepływ ze starego świata ku nowemu o własnych wiosłach i żaglach - bez gwiazdy - bez magnesu - bez sternika?

Sternikiem waszym Chrystus, - magnesem bratnia miłość jego, - przewodnią gwiazdą święta modlitwa, którą wam przeka-

zał. - W tej to modlitwie zawarł On wszystko, czego wam nadal potrzeba, - w niej wskazał wam wszystko, do czego dotąd mieliście dążyć, do czego się sposobić, a co dziś właśnie przy spełnieniu czasów, pojąć i osiągnąć macie. - Wszakże on przyrzekł, odchodząc do Ojca, iż nie zostawi was sierotami, a czuwając nad wami, do dziś dnia niebieskiem okiem swojem, obmyślił wam od początku, a zostawił w pamięci waszej zapis przyszłego Dziedzictwa na czas pełnoletności waszej.

Ta puścizna Chrystusowa, - ten wieczny Testament jego, - ten pomnik zostawiony, aby wskazywał wam drogę do bezpiecznej Przystani, - jest ostatnim wyrazem szeregu Objawień Bożych dla Rodu ludzkiego, jest dopełnieniem i spełnieniem wszelkich poprzednich objawień; - jest Objawieniem Objawienia!

...

D w i e e p o k i z n a d o t ą d H i s t o r j a. - C h r y s t u s i c h P r z e s i l e n i e m. - Z n a c z e n i e t r z e c h o s t a t n i c h w i e k ó w. - Z a d a t k i P r z y s z ł o ś c i.

Zapatrując się na całkowite pasmo upłynionych Dziejów, spostrzegamy, że Ludzkość w postępie historji swojej dwie dopiero stanowcze przebiegła Epoki. - Liczne są wprawdzie przemiany i stanowiska, które w szeregu wieków dotąd przebyła, lecz wszystkie te przemiany i stanowiska do dwóch głównych Epok sprowadzić się i dwoma wręcz przeciwnemi kierunkami oznaczyć się dadzą. - Dwóch tych epok punktem granicznym i zwrotnym jest: - CHRYSTUS. - On jest ogniskiem dotychczasowych dziejów, równikiem ich dotąd odkrytych Stref. - Wszystko, co przed Nim, do Niego się ściąga, - wszystko co po Nim, z Niego wychodzi... On więc jest przesileniem Historji.

Jakoż śród mnóstwa zaszłych do dziś dnia w potoku dziejów przemian i roztrząśnień, jedno tylko przemienienie Świata za stanowcze, - za całkowite, - za absolutne poczytać można: a tem jest nadejście Chrześcijaństwa. O tem jednem przemienieniu mógł wieszcz pogański zaśpiewać:

„Magnus ab intergo saeclorum nascitur ordo"[3].

I w samej istocie wszystko nowem się stało. - Bo i Myśl, i Natura, i Duch ludzkości zupełnej uległy rewolucji; wstrząsł się Ród ludzki w zasadach swoich i nowe zupełnie rozpoczął życie. - Z nową nauką i nowe ludy wyszły na widownię dziejów; - idealnie i realnie przemienił się świat /praeterit figura mundi/[4]; - czas i przestrzeń przeobraziły się; - historycznie i geograficznie, obyczajowo i religijnie - nowy porządek wieków, nowy stan rzeczy się począł.

Uczuła też Ludzkość doskonale, że przez Chrustusowe Narodzenie nastąpiło jej samej Odrodzenie, - wskutek czego

zmianą Chronologji swojej nowe to narodzenie świata, nowy ten porządek wieków naznaczyła.

A nowa ta rachuba czasu trwa już blisko wieków dwadzieścia, i żadna chwila, aż do naszych niemal czasów, nie pokusiła się o jej przerwanie. - Ależ i ta świeża pokusa spełzła na niczem. - I słusznie, - bo czasy jeszcze nie były spełnione.

O niem jednem mógł Nauczyciel chrześcijański zawołać: „Stare przeszło! Spojrzyjcie, oto wszystko nowem się stało"[5].

A tak, gdy nam przychodzi wskazać pewien rok lub pewną chwilę w zamroczy upłynionych wieków, - mierzymy odległość tej chwili od onego ogniska dziejów, - i znakiem przed lub po Chrystusie oznaczamy jej stanowisko w czasie.

Zwykłe dziejopisarstwo uznaje wprawdzie stanowczy odskok dwóch tych Epok świata, - owych dwóch światów, których rozdział stanowi Chrystus; bo któżby takiej oczywistości nie dojrzał? Lecz popełnia przy tem błąd wielki, przypuszczając nadto Epokę trzecią, jakoby już od kilku wieków rozpoczętą, którą dziejami nowożytnemi nazywa. Jakkolwiek przeważne są wypadki i postępy Ludzkości, w XV i XVI wieku ery chrześcijańskiej nastąpione, - to przecież żadną miarą porównać się nie dadzą do Postępu i Odstępu, sprawionego nastaniem Chrześcijaństwa. - Nie stanowiąc zaś tak olbrzymiego przesilenia we wszystkich żywiołach Ludzkości, jak to, które drugą Erę Świata wszczęło, nie mogą też rościć prawa do otwarcia trzeciej jego Ery. Owszem, owe trzy ostatnie stulecia, tak zwaną epoką nowożytną składające, są dopiero stawaniem się odpowiedniego przesilenia, - gotowaniem się do niego, - a więc dopiero ujściem średnich wieków i przechodem w ostatnie wieki, ale jeszcze nie tychże rozpoczęciem. - Podrzędny ów okres w porównaniu do wielkich Er świata jest właśnie istnem dopełnieniem średnich wieków, - najwyższym ich owocem i dojrzeniem ich własnych żywiołów. - Poprzednie tej Ery okresy były dopiero wiekami wzrostu i zakwitu; ostatni zaś okres był czasem owocowania tego świata. - Lecz im bardziej dojrzewały owoce, tem też bardziej obrywać się i opadać zaczynały. Stąd przy obfitości tego okresu, jego charakter zaprzeczny, niszczący, rewolucyjny.

Jakoż, trzy te stulecia objawiają nam trzy reformy, które są trzema rewolucjami: Religijną, Naukową i Polityczną. Aliści reformy i rewolucje nie są jeszcze założeniem nowej budowy, są dopiero obaleniem lub przeistoczeniem starej.

Poniekąd wprawdzie były one restitutiones in integrum[6], poniekąd znowu uwolnieniem przygłuszonych zarodów, poniekąd nareszcie zebraniem materjałów do nowej budowy; pod temi więc względami działanie ich było twierdzące, - ale przedewszystkiem i nadewszystko, znaczenie ich było zaprzeczne. One zniosły to, co się już rozpadać zaczynało, i stanowczy ogłosiły wyrok temu, co się już samo przesądziło.

A ostatnia z owych trzech rewolucyj, zwana pospolicie francuską, acz równem prawem Europejską i Światową zwaćby się mogła, albowiem jej wpływ i skutki aż do krain przeciwnożnych doszły, - /podobna w tem do owych kosmiczno - magnetycznych burz, które, acz tylko u bieguna objawiają się w kształcie krwawej zorzy i od tegoż bieguna przybierają nazwisko, przecież po całym globie roztaczają jednoczesne wstrząśnienie, - wprawiając w szaleństwo igły dotąd normalne, odejmując im nieraz ich siłę, a magnetyzując natomiast obojętne dotąd kruszce/; - owa tedy społeczna burza była stanowczem i jednoczesnem wstrząśnieniem wszelkich posad dotychczasowego Świata. Zaiste, rewolucja ta, widząc dzielność swoją i czując się na siłach, mogła się łacno omylić na sobie i na przeznaczeniu swojem, - mogła się za purpurową jutrzenkę dnia nowego poczytać, acz w istocie była dopiero krwawym starego słońca zachodem. Ta rewolucja stanowczo Średnie wieki rozwiązała, ale Nowych wieków jeszcze nie zawiązała. Dlatego też, skoro pokusiła się o zmianę Chronologji, skoro zaczęła od siebie liczyć nową Erę świata, stara Era niebawem zadała jej kłamstwo - i dotychczasowy kalendarz przywróciła. A sama rewolucja przez ostatniego Wyobraziciela swego zrzekła się zaszczytu otworzenia nowej Ery świata, bo ani obalenie, ani wstrząśnienie, ani nawet stopienie za nową budowę poczytać się nie może. I jak pierwszy Cezar stał się granicznym słupem dla pierwszej Ery świata, tak też drugi Cezar dla drugiej. Nad świeżym grobem obydwóch zejść dopiero mogło nowe dla ludzkości słońce.

Bezwątpienia, przy owem obaleniu przysporzyła Rewolucja niemało materjałów do nowego Dzieła i odkryła też nie mało zakopanych skarbów pod zwaliskami runącego Średnich wieków gmachu. Dzięki jej za to! Ludzkość skarbów owych i materjałów użyć nadal potrafi, ale rozgościć się stanowczo w sprawionych przez nią rozwaliskach, jakkolwiek dzielny budowniczy usiłował uporządkować takowe, było jej niepodobna. Wymaga wprawdzie Ludzkość nowego Przybytku, - rewolucja zaś ciągłe ubytki, ciągłe spustoszenia, ciągłe walki, jeśli nie wewnętrzne, to zewnętrzne, niosła jej w ofierze. Nie dziw tedy, jeśli ją zmordowała, ani też nie dziw, jeśli po niej chwilki spoczynku zapragnęła. Otóż w tej chwilce spoczynku, ale czujnego, - oddychamy i wzdychamy obecnie. - Zdartego dachu zaiste nie żałuje Ludzkość, bo już był zemszały, ale też pod tymczasowym szałasem długo wytrzymać nie zdoła. Do dziś dnia Ród ludzki rachuje się z siłami swojemi, - przysparza ich sobie - i wraz z planem nowego świata, bilans starego ustanawia.

Ów tedy okres, który tyle olbrzymich środków odkrył i przysporzył, aby doprowadzić Ludzkość do właściwego jej celu, aby ją usposobić do nowego stanu, ów okres, który przed kilku wiekami z prochem, drukiem i magnesową igłą na świat wystąpił, - a dziś z parą, żelaznemi kolejami i elektromagnetyzmem dokonywa biegu swego, jest wprawdzie przejściem ze Średnich Wieków w Nowe Wieki, przygotowaniem dróg Pańskich

i wstępem do tego Nowego Stanu, - ale jeszcze nie jego Nastaniem. I dlatego to epoka, w której właśnie żyjemy, jest tak krytyczną a nieograniczoną. Ona kusi się o organizację, ale jej jeszcze nie domaga, - ona stroi się ciągle, ale nie trzyma stroju.

Atoli przysporzone te środki nie spełzną daremnie. Sama ich obecność jest rękojmią dostąpienia celu. Wszakże niedarmo krzyżują się ludzie i myśli, - uczucia i potrzeby po nieznanych dotąd Rodowi ludzkiemu kolejach; wszakże niedarmo wiążą się z sobą ludy moralnemi i materjalnemi węzły; wszakże niedarmo Czas i Przestrzeń widomie nikną; wszakże niedarmo wzmaga się umysłowe i przemysłowe narodów obcowanie. Wszakże oczywiście solidaryzuje się Ludzkość - wszak dojrzewa i owłada siłami, których dotąd nie domyślała się. Maluczko więc, - a znów spojrzyjcie, - a stare przejdzie i wszystko nowem się stanie, - i Nowy Wieków otworzy się szereg.

S t a r o ż y t n o ś ć i C h r z e ś c i j a ń s t w o j a k o p r z e s ł a n k i p r z y s z ł y c h w i e k ó w. - Z a d a n i e III E p o k i, w y s n u t e z e s t o s u n k ó w d w ó c h p i e r w s z y c h. - A d a m. - C h r y s t u s. - P a r a k l e t.

Jeśli tak jest - o czem niebawem ze wszech względów się przekonamy, to żywot Ludzkości do dziś dnia na dwa stanowcze Oddziały rozpada się i do dziś dnia dwie tylko główne Epoki liczy: Epokę Starożytną i Średnie Wieki. Prawdziwa zaś Epoka Nowożytna, ów trzeci stanowczy przedział jej całego żywota, jest dopiero jej Przyszłości zadaniem i może być dopiero dotychczasowych założeń wypadkiem.

Jakżeż się mają do siebie te dwie stanowcze Ery dotąd przebytych dziejów: Era Przedchrześcijańska i Era Chrześcijańska? Jakiż wzajemny stosunek tych dwóch światów, które mimo oczywistej odrębności ich stanów, są przecież istnemi Boga Postanowieniami /diathekaj/? A następnie, jakiż z ich stosunku wypada wniosek dla Przyszłości Rodu ludzkiego? Czyli, jakież być może Nowych wieków przeznaczenie?

Dwie te Epoki, w istotnych piętnach swoich ujrzane, są sobie wręcz przeciwne, a jednak dialektycznie sobie odpowiednie, - czyli mają się do siebie jak pozycja do negacji, - jak thesis do antithesis, - jak Byt do Myśli, jak Świat do Zaświata.

Co za wniosek stąd wypada dla Epoki Trzeciej, to wnet ujrzymy, skoro tylko bliżej przesłanki poznamy.

Jako bezpośrednia pozycja, Świat Starożytny czyli Przedchrześcijański, w całości swojej objęty, był pierwszym stanem czyli momentem świata, był stanem przyrodzonych stosunków, przeradzających się i wyradzających z siebie wedle naturalnego trybu. Był to świat Bytu, - znajdujący się w stanie rodzimym, bezpośrednio danym, a rozwijający się nadal wedle

praw ròwniez danych i zastanych, - słowem był to okres życia Rodu ludzkiego w Stanie Natury.

Stan Natury, we właściwem znaczeniu tego nadużywanego wyrażenia, jest właśnie owym stanem, w którym wszelki Duch zrazu się znajduje, w którym bezwiednie dopiero tkwią jego potęgi, lecz którego przeznaczeniem jest z samego Ducha własną pracą się wykluć, własnym postępem wyròść, własnym trudem się wydobyć i samego siebie zdobyć, aby nakoniec własnym czynem, sobą /osobą/ zostać, odpowiednich sobie celòw dostąpić i właściwego sobie używać Żywota.

Stan natury przeto, - nie òw urojony /hipotetyczny/, o którym filozofowie przeszłego wieku marzyli, wymyśliwszy go sobie dla potrzeby i na podstawie swoich jednostronnych teoryj, ale òw stan rzeczywisty pierwotnego życia człowieczeństwa, òw stan bezpośredni, bierny i zależny, w przyrodzonych stosunkach zawarty, zabytkami i podaniami wszech Ludòw poświadczony, panował ciągle nad Rodem ludzkim, pomimo jego postępowego uduchowniania się, przez wszystkie szczeble starożytnego świata. Różnoć są wprawdzie postacie tego panowania, daleka jest zaiste praktyczna energja Rzymian lub plastyczna fantazja Grekòw od ślepo - substancjalnego czucia wschodnich ludòw, a przecież są to powinowate z sobą stany, nacechowane jeszcze mniej więcej głębokiem pogrążeniem Ducha w żywiołach Natury, w sferze zmysłu i bezpośredniego Czucia, a przeciwnie do stanu społeczeństwa w Epoce Chrześcijańskiej najmniejszego już nie mające powinowactwa.

Panowanie to przyrodzonych żywiołòw trwało ciągle przez całą Epokę Natury, ale też powoli mijało, począwszy od pierwszej chwili poczucia się człowieka na świecie, aż do chwili stanowczego oderwania się jego od świata. To stanowcze zaś oderwanie zrządziło dopiero Chrześcijaństwo. Ono przyniosło właśnie absolutną negację i abnegację danego Świata, a tem samem dotychczasowy bieg dziejòw stanowczo przerwało, przyrodzone siły świata roztrzaskało, postać jego przeobraziło, - i świat drugi, świat Myśli, naprzeciw pierwszemu wystawiło; - który to świat nowy miał trwać znowu i walczyć ciągle z pierwotnym światem Bytu, dopòkiby nareszcie trzeci świat Czynu, ich wzajemnego Zjednoczenia nie przyniòsł, i wzajemnych domagalności obudwu nie dopełnił.

Otòż pierwszy ziemski a rodzimy człowiek, od którego liczyć się zaczyna bezpośrednie poczucie się Ducha ludzkiego w świecie, nazywa się w Tradycji: ADAM, - òw zaś drugi niebieski a odrodzony człowiek, od którego liczy się pośrednie oderwanie człowieka od świata, nazywa się w Historji: CHRYSTUS[7]. Między temi dwoma punktami, między ziemiorodnym a nieborodnym człowiekiem, rozbudza się dopiero duch ludzki ze Snu Natury, duchową udzielność swoją powoli ustala - i nieskończoną istotę swoją odkrywa, aż nareszcie, odkrywszy takową stanowczo przez drugiego Adama, wstępuje zupełnie w samego siebie, a tem samem występuje z zewnętrznego świata, - zbawia się przez śmierć i cierpienie, rozdziera świat i samego

siebie, i walczy tak z sobą, jak ze światem przez całą Erę świata, aby się znowu następnie, po całym żywocie trudu i rozdarcia, ukoić, aby się tak z sobą samym, jako też ze światem na nowo, ale już świadomie i czynnie skojarzyć, aby nareszcie trzeci sobie właściwy Żywot Ducha rozpocząć, a to przez trzeciego Adama, - zwanego w Objawieniu: PARAKLETEM[8]/.

W tych to trzech kierunkach Pogrążenia, Oderwania i Skojarzenia, w tych to trzech stanowiskach Adama, Chrystusa i Parakleta, w trzech nareszcie bożych imionach Ojca, Syna i Ducha Świętego, zawiera się cała historja Ludzkości.

1/ Mat. XXIV. - Luc. XVII. - /p. a./. -

2/ Gen. IX, II. - Isai LIV, 9. - /p. a./.

3/ Virgil: Eclog. IV /p. a./. „Z całości wieków nowy ład się rodzi". -

4/ „Przemija postać świata".

5/ II. Corinth. V. 17. /p. a./.

6/ Przywróceniem stanu pierwotnego.

7/ Nader głębokie i brzemienne stosunków tych pojęcie u Pawła św. w rozdziale XV pierwszego listu do Korynt-tjan /p. a./. -

8/ Pocieszyciel, Orędownik, Duch Św., według ewangelji św. Jana obiecany przez Chrystusa.

J O Z E F I G N A C Y K R A S Z E W S K I

/ 1812 - 1887/.

O POWOŁANIU LITERACKIEM[1]/.

W jednej z tych chwil znużenia i wątpliwości, które przychodzą nie wiedzieć skąd i dlaczego, i wszelką siłę odbierają człowiekowi, bo mu wszelką odejmują wiarę, siedziałem u wygasłego komina w jakiemś zdrętwieniu moralnem, rzuciwszy czytaną książkę i myślą biegnąc w przeszłość.

Wróciłem pamięcią do lat moich młodych, zazdroszcząc sobie tej chęci gorącej, tego zapału niezmożonego, z jakim u zarania żywota rzuciłem całą przyszłość w zapasy umysłowe, w niewdzięczną pracę głowy i pióra. Z dzisiejszego stanowiska ta odwaga wydała mi się niemal niepojętą śmiesznością; nie umiałem sobie wytłumaczyć, jak się to stało. Wszystkie wpływy, jakim uległem, dziecinne wrażenie, kierunek późniejszy, nie mogły mi dostatecznie rozwiązać zagadki - niepojętej. A jednak życie to papierowe, suche, ciężkie, przeplatane rzadkiemi chwilami pociechy, a często żółcią pojone, było istotnie ofiarą wówczas, gdy obok niego inne, spokojne ciche, ustronne, postawić zależało od woli. Cóż parło i zmuszało, żeby się rzucić tą drogą, od której odstręczali wszyscy?

Nie próżność pewnie i chętka stania się głośnym, bo iluż upokorzeniami okupić było potrzeba jedno ciekawie nieżyczliwe wejrzenie, jedną szydersko-łaskawą wzmiankę? A co kłopotów na tej drodze, a ile na niej postrachu i boleści.

Wy, coście, jak ja, tego chleba pracy skosztowali w pocie czoła i w pocie serca, powiedźcie mi i wytłumaczcie, co was do obrania niewdzięcznego zawodu skłoniło, co wam szeptało w kolebce o koniecznem męczeństwie i koniecznem przeznaczeniu, co pchnęło w drogę boju i poświęcenia?

Może mi lepiej mnie samego wytłumaczycie, możeście podsłuchali wyraźniej do was od kolebki mówiący głos tajemniczy: tą, a nie inną pójdziecie drogą!...

Dumą jest, powiecie mi, wierzyć w posłannictwo swoje. O nie, pokorą, panowie. Jakkolwiek maluczkie ono, zatarte, drobne, pozbawia przecie woli i samoistności, jak skoro jest posłannictwem nieodwołanem; myśmy z niem wyrobnicy na niwie wielkiego pana, zmuszeni pańszczyznę odrobić!...

Dopieka nam skwar południa, potem oblewa się czoło, mdleją ręce, myśl zamiera znużona, zataczają się nogi, ale dnia dopracować potrzeba na pańskim zagonie, choć jutro nikt nie powie nawet, którą kopę, jaką bróżdę polałeś łzą i potem swoim. Nieznani pracownicy, przyniósłszy siłę naszą w ofierze, pójdziemy spocząć, nie wiedząc sami, cośmy zrobili...

My jedni tutaj zostaniem bezpłatni...

Z równym genjuszem, z talentami równemi, losy nasze niejednakowe. Ten odśpiewał pieśń swoją wśród ciszy, i przesłuchały jej tłumy, ów wyjęczał duszę wśród gwaru, i niczyjego ucha nie doszły słowa jego; tamtemu sąsiad podchwycił tajemnicę i rzucił ją za swoją, poparłszy głosem donośnym, innego zdusili sąsiedzi... Na stu robotników w tej winnicy, jeden może pogrobowe weźmie wieńce, a dziewięćdziesięciu dziewięciu zamrą odepchnięci lub wyśmiani...

Cóż więc nas pędzi tą drogą i pełnym pyłu a błota gościńcem? Czemu nie wabi nas cicha chata, stojąca na ustroniu, szumiący las, domowa strzecha i byt inny? Czemu oplwani i wyszydzeni ciśniemy się mimo wszystko, mimo wszystkich, do niedosyć widnego celu? Nie jestli to zagadką?...

Dlaczego, ledwieśmy się z tego snu rozbudzili, poza którym ciemności i nieznane światy, już czujemy, co nas czeka? W dzieciństwie bawim się już krzyżem przyszłości i uśmiechamy do cierniów, co skroń oplotą...

Pamiętam, było nas wielu... rówieśników, równie młodych i równie na jedne wystawionych wpływy, jednego słuchających głosu. Czemu on nie przemówił do piersi tamtych, a uwiązł w naszej tylko? Dlaczego budził w nas jakby wspomnienie jakiegoś nakazu, jakby gdzieś już usłyszane wprzódy myśli? Czemu na widok zbutwiałej książki drgało w nas serce dziecięce, jak na widok motyla i kwiatu, a biała karta jątrzyła chętką rzucenia niedojrzałej myśli, i świat widomy o jakimś nieznanym mówił świecie?

Nie wierzę w przeznaczenie, a jednak... rozumiem posłannictwa i patrzę i pojmuję, jak nas kilku z liczby większej, co się zrazu rzuciła drogą otwartą, wytrwaliśmy sami do ostatka. Trzymało nas coś innego niż próżność, niż upór lub nałóg, bobyśmy dawno upadli...

Teraz, spojrzawszy za siebie, obliczywszy straty, pojąwszy ofiary i chwyciwszy za serce, musimy poddać się myśli, że coś nas do pracy zwołało i pańszczyznę tę odbyć zmusiło. Cóżeśmy wyrobili sobie w końcu? Ciekawości trochę, nieprzyjaźni wiele, sąd błahy i niesprawiedliwy najczęściej, imię wątpliwe, zapomnienie niezawodne. A zato chwila dawnego życia jak nam gorzko spłynęła, to Bóg chyba jeden policzy...

Tyle ofiar, a skutek niewidoczny... Kazano nam skopać grzędę, oblelismy ją znużeniem naszem, a co na niej przyszłość zasieje i kto z niej plon zbierze... nie wiemy.

I stęknąć nam utrapionym nie wolno, bo śmiać się będą wypaśli brzuchacze z boleści naszej i powiedzą nam: macie sławę wy pięciomilową, wy drudzy piętnasto -, wy inni trzydziesto. Na ulicy pokazują was palcami, litografują wasze fizjognomje, czegóż możecie więcej pożądać? A że was szarpią po książkach, i depczą was nadchodzący po piętach, to słuszna, boście i wy dla poprzedników nie byli lepsi, a niejednego ukąsili...

Dzieje się tedy tak, że dawszy nam trzy grosze owe, wypychają już nas za drzwi, jako dostatecznie i nad zasługi opłaconych, zapomniawszy, że my im daliśmy życie...

Zresztą, czegoż to wymagać więcej możemy, i co nam świat dać może? Nie jemu to praca nasza, ale posłannictwu większemu odpowiedziała. Ktoś inny nam kazał, pchnął i żywot nasz wyznaczył na tej ścieżce.

Tak jest. A jednak przyszło zwątpienie i usiadło u wygasłego komina, i patrzy na mnie oczyma zbladłemi, i grozi mi ręką drżącą, i poziewa, i trzęsie się od chłodu, i trupią swą twarzą mi urąga, i pyta mnie, com zrobił, i depcze kartki podarte kościstemi nogami, których pożyczyło od śmierci?

- Coś zrobił? powiada... nic! nic! nic! a życie zmarniało, a strułeś je sobie, a grzechy twoje zaszczepiłeś drugim, a słowo złe jadem poszło i trucizną, choć dobre wiatry rozwiały? Połowa tych kartek, nad któremi bezsenne trawiłeś nocy, już pochwycone burzą, zginęły w otchłani, drugą połową wiatr po gościńcach miota, reszta pòjdzie za niemi.

I słowo twoje nie było twojem słowem, nie. Mòwiłeś, jak dziecię, za panią matką pacierz, co ci szeptał duch wieku, co cię okrążało i latało w powietrzu, nie wynalazłeś nic, nie stworzyłeś nic, nie zbudowałeś nic, ani przyłożyłeś się do niczego, nie masz zasługi żadnej...

A życie stracone, a począć go drugi raz nie można. Tak, życie stracone... przegrana stawka;.. to pewna... szczęśliwi gracze pochwycili ją między siebie; a jednak, gdyby drugi raz życie rozpoczynać przyszło, możebym powtòrnie ten sam błąd popełnił...

Niepojęta! niepojęta czy słabość ludzka, czy wola boża!

Ktòż wie zresztą, czyśmy byli powołani, czy głos z gòry był echem odbitem i przesłyszał się słabemu uchu i dziecinnemu sercu. Widzimy obok siebie tych, co idą, dźwigając ciężary dobrowolne, nie rozumiejąc, dokąd ich pędzi pielgrzymka... padających wśròd drogi, bezsilnych, powracających, milczących, zrażonych, ktòrzy pòł życia tylko przynieśli w bezużytecznej ofierze... i o sobie wątpimy...

Jedni powychodzili upojeni natchnieniem, a powracają złamani wątpliwością, inni od pierwszego ciosu cofnęli się z przekleństwem nazad, ci przez dumę zamilkli, bo kròlować chcieli, tamci popychają cudzą taczkę, bo się na swoją nie zebrali. Jakże nie wątpić? jakże nie powiedzieć tym, co z rana wstając, weseło garną się do roboty: czekajcie słońca i wyglądajcie głosu.

Boć nie każdemu przeznaczono iść tą drogą i tak boleć i tak zginąć. Nie my większą mamy zasługę, ale ci, co spełnili pokornie posłannictwo swoje, czy ono zależało na tarzaniu się w złocie, czy na dźwiganiu pokruszonej bryły kamienia.

Słuchajcie więc głosu wewnętrznego, nie głosu próżności,

i nie sądźcie, że pióro, umaczane w atramencie, kreślące próżne słowa, uczyniło was wielkimi lub od prostego wyrobnika lepszymi...

Jeśli na dnie serca niema u was prawdy, którą potrzebujecie wyrzec i dla której byście umrzeć gotowi, otwarte wam drogi czynu, bogatsze od drogi myśli, łatwiejsze od nich, a do jednego wiodące celu.

W maluczkiej chatce pokorna niewiasta, wychowująca dzieci w bojaźni bożej, w cnocie i poczciwości, azali nie więcej warta od nadętego pisarza, który cudze głupstwa swojemi słowy powtórzył? A ten wieśniak, co wam daje chleb powszedni, sam go prawie nie mając, azali nie wyprzedzi owego mecenasa, który okruszyny swojego stołu daje pochlebcom literatom, zato, że go jaśniewielmożnym bratem swoim nazywają?...

Czyn, nie słowo, stanowi wartość człowieka, lecz bywa słowo czynem i bywa czczem słowem, a ci, co pięknemi słowy całe życie się zabawiają, są jak dzieci, których do pracy napędzić nie można.

Wiek nasz cały przeszedł w słowa, i przesadzono ich wartość. Zasypani jesteśmy papierami i próżnemi wyrazami, a zapomnieliśmy, że w innem życiu, przy ogólnym obrachunku z dnia roboty, nie spytają nas, jak to ktoś dobrze powiedział, cośmy umieli, ale cośmy uczynili.

Wiek nasz z tego względu jest na drodze fałszu. Wszystko, co prowadzi do dobrego, dobrem jest, i słowo także; ale słodkie słowo, do niczego nie wiodące, na coż się przydało?

W młodem sercu i głowie pełno uczuć i myśli, zarodków idei i uczynków. Bóg tam je włożył nie na to, żebyśmy, grzechocząc niemi, bawili się, jak dzieci, dźwiękiem, który wydają, ale żebyśmy z nich wysnuli życie nasze przyszłe. Tymczasem przeciwnie się dzieje. Powołani i niepowołani z zabawki czynią sobie życie, i śpiewają za chleb powszedni pieśni karczemne dla ubawienia tłumu.

O wielkiem powołaniu i kapłaństwie pisarzy, któż dziś nie wie? Myśl ta znalazła się w ustach wszystkich właśnie w chwili, gdy jest najmniej kapłanów i powołanych, gdy wszyscy sądzą się być namaszczeni do nauczania, lub szczerzej mówiąc, do zabawiania.

Stąd już dziś Niemcy przemieniły się w stos papieru i bibuły, i codzień wzrastająca liczba ksiąg zaleje literaturę doprowadzeniem jej do ostateczności i przerostu chorobliwego.

Całe życie poświęciwszy temu powołaniu, dziwno zapewne, że wodzę w niem niebezpieczeństwo, i grzechów mając wyżej głowy, na oczy je drugim wymiatam. Ale prawda przedewszystkiem, a chodzi mi głównie nie o powstrzymanie od pisania, bo w literaturze dziś i języku cały możliwy żywot nasz; ale o wprowadzenie myśli zbawiennej, że słowo niczem jest, jeśli nie jest czynem i jeśli mu czyn nie towarzyszy, niczem,

jeśli się nie zgadza z życiem, niczem, jeśli oderwane od niego i nie mające z niem związku. Jeżeli nauczyciel kraju i narodu nie wyświęci się wprzòdy ukształceniem własnem i czynem do powołania swojego, na còż się zda to słowo, któremu żywot jego poświadczać nie będzie? - -

Porównaj żywoty a ocenisz najpewniej wartość pisarzy. W dworaku z powołania najmniej będzie siły, w rozpustniku najwięcej czczego dowcipu, którym, jak dzieci kawałkiem papieru, można rozmaite sztuki pokazywać, kapucyna i łòdkę, nożyce i krzyż, ale w rzeczy to świstek gałgana tylko. Ten to nieszczęsny dowcip najwięcej ludzi obałamuca. Bòg udziela go często swoim dziatkom i czeladce, ale częściej szatan namaszcza nim sługi wierne. Broń obosieczna, różnobarwne znamię; całą jego wartością, że siecze i rznie w napadzie, by mu klaśnięto...

Dowcip więcej może światu złego zrobił, niż natchnienia dobrego. Ludzie boją się go jak straszydła wròble, i często palą mu ofiary przekonania nawet, byle nie paść pod ostrze jego...

Naturaliści postrzegają, zdaje mi się, że zwierzęta, które łzòw nie mają, śmiać się umieją. Człowiek, jak jednej z najstraszniejszych klęsk, obawia się szyderstwa, choć szydzić tak łatwo.

Na myśl się nigdy nie zdobędzie głupiec. Znam dowcipnych bardzo ludzi, a jednak zresztą najzupełniej głupich. Nie jest to więc tak niechybnem znamieniem rozumu i wyższości, jakby się zdawać mogło.

Nic smutniejszego zresztą nad człowieka, który, jak kuglarz z kubkiem i gałkami, chodzi całe życie z dowcipem pod pachą i sztuki pokazuje.

Nad to nie widzę już większego upodlenia, pròcz sprzedajności umysłowej tych ludzi, co bez żadnego przekonania są na usługi wszystkich. Sceptycyzm i indyferentyzm czyni im ròwnem, cokolwiek przed sobą mają, dowodzić będą za i przeciw, dla korzyści, dla przyjaźni, dla fantazji.

Dzięki Bogu jeszcze tak przedajnych pisarzy nie mamy, ale iluż zato bez silnego przekonania i jasno oznaczonego celu, ilu, co literaturę mają za igraszkę, szermierstwo, zabawę, popis lub sposòb wytłumaczenia niedołęstwa swojego.

Oto w zadymionej izbie lichej kawiarni, po której się parę zręcznych dziewcząt uśmiechnionych uwija wśròd wrzawy i rozmòw, pisku lada jakiej muzyki, i stukotu kul bilardowych, i brzęku szklanic bawara, blada twarz młodego człowieka, zjedzonego zawczesną rozpustą... Z oczòw nie ogień poezji, ale blask upojenia mu patrzy, usta uśmiechają się głupawo, ręka dźwiga kij bilardowy, przyszedł tu zrana, wyjdzie, gdy zamkną kawiarnię, pocałunkiem nieczystym kończąc dzień, poczęty ziewaniem. Chciałem się litować nad upadkiem człowieka, wstrzymano mnie: to wielki poeta!

Cóż go do tego stanu przywiodło? czy rozpacz i brak wiary?... Nie, rozpusta i próżnowanie...

A jednak spójrz na to czoło, tak ślicznie ręką bożą wytoczone, zmieściłaby się w niem myśl... Był w piersi ogień... była iskra w tym człowieku, zalał ją, nieszczęśliwy, i zgasił... i dymią pogorzeliska.

Chcecie, bym skłonił głowę przed poetą?

Nie! nie! stokroć nie! Poeci po pijanemu nie włóczą się po brukach miejskich, nie tarzają po rynsztokach, nie spoczywają po spelunkach. To ludzie kontemplacji, miłośnicy natury, asceci, pustelnicy, marzyciele, mistycy, a gdzie w życiu takiej istoty godzina poezji?

Piękne słowo, słowo gorzkie, z oburzeniem wyrzeczone przeciw drugim, nie stanowi poezji, choć brzmi na pozór jej dźwiękiem... Wino i bawar mogły być dobrem źródłem poezji dla pogan, ale nie dla nas. Nam świętego upojenia, nam innego napoju potrzeba... Dosyć tej żółci i octu, które kosztujemy codziennie, dosyć boleści naszej, która nas upoić powinna...

Innemu Bóg dał szaloną fantazję i ruchliwą wyobraźnię. Nie pyta, na co jej użyje, nie zakreślił sobie drogi i celu, pochwycił formy, wiekowi ulubione, i błaznuje przed tłumem... prawi koszałki opałki... Jednakże, jakby mimowolnie cześć oddawał prawdzie, kilka wielkich fraz i słów włożył do kieszeni, i kiedy niekiedy posypuje niemi pisma swoje... Braterstwo! postęp! miłość kraju! i tak dalej. Za paszportem tych frazesów przejeżdżają i absurdy, i ebscena[2], i lichota, i próżnota.

W dodatku pisarz ten z niezachwianą powagą prawi o posłannictwie swojem, i karci tych, co mu winnej czci nie oddają... Dziś z brata drze pasy i szyje z nich powieść pod pozorem, że brata poprawić potrzeba, jutro z kobiecej słabości zrobi dramat, tajemnice winy cudzej a niepoczciwości swojej wlokąc na deski i pokazując je za pieniądze światu...

Żaden kuglarz na Elizejskich polach w Paryżu tyle nie prawi o sobie, co on. Posłuchajcie go: Gdzie tylko był, działy się cuda dokoła, on dawał nauki wszystkim, on rej wiódł, gdzie zawitał; zawracał głowy niewiastom, wskrzeszał umarłych, nawracał niewiernych, umie wszystkie języki, odkrył tajemnicę stworzenia, i z Panem Bogiem gadał poufale w jego gabinecie...

Ludzie się śmieją i czytają, on się z nich śmieje i pisze. O! nie upokarzającaż to komedja! nie wstydże mu wyprawiać te sztuki łamane dla obałamucenia i zabawki tłumu...

Nie nazywajcie mi go pisarzem, nie mianujcie poetą. Spójrzcie na godnych imienia tego ludzi wybranych, i wstyd was za profanację tego imienia ogarnie...

Ale otóż i ogień wygasł na kominie, i z dumań czarniejszy

jeszcze smutek, większe jeszcze zwątpienie na duszy... Widzę tych, których znam do głębi, uznanych przez współczesnych, postrzegam obok poczciwych, w ciszy nie mogących dobyć głosu... i nie pojmuję woli Bożej, dającej rozgłos niegodnym, siłę szalonym, a spychającej wierną czeladź swoją.

Ale to bluźnierstwo! nie! nie! Wola Boża wiedzie wszystko ku dobremu celowi... Ci kuglarze muszą jakąś myśl cudzą roznosić po świecie i zasiewać powoli, a cichego pracownika, bolejącego zapoznaniem i szyderstwem, właśnie boleść usposabia, pobudza i kształci... Jeszcze rok, dwa, i ci histrjonowie[3]/ rozsypią się w proch, a pieśń poety wypłynie majestatycznie, i w zebraniu ducha słuchać jej będą. Nie pierwszy to raz w historji literatury sąd współczesny mylny, wieńce zdobywają najczęściej ci, którzy pochlebiają namiętnościom czasowym, błędom i upodobaniom epoki; mnóstwo utworów utrzymuje się nie wartością swoją istotną, tylko związkiem jakimś z zaprzątnieniami chwilowemi. Sąd następców jest dlatego sprawiedliwszy, że już nań nie wpływa nic ubocznego, nic mimowolnie farbującego wyroki nasze; nie patrzy on chwili, w której słowo wyrzeczone zostało, ale je ceni na szali prawdy bezwzględnej.

Wiele może w koszach okruchów, pozostałych po nakarmieniu stuleciów, zostanie niesłusznie odrzuconych kartek i zabytych[4]/ słów wielkich, wiele imion zgaśnie, choćby świecić powinny, ale cóż imiona, co sława człowieka! Wypowiedzieli prawdę, szczęśliwi, jeśli zapieczętowali ją krwią i życiem swojem, to dosyć, nagroda ich nie z tego świata.

1/ Z książki „Gawędy o literaturze i sztuce" /1857/; w skróceniu.

2/ Nieprzyzwoitości.

3/ Komedjanci.

4/ - zapomnianych.

J Ó Z E F S U P I N S K I /1804 - 1893/.

O PRACY[1]/.

Pomijając kaleki, żebraków rozprożnowanych i ludzi zepsutych, nawykłych z młodu, skutkiem złego wychowania, do wygód, które jakby czarodziejskim wpływem ścielą się same pod ich stopy; - ludzi, na których tem większa ciąży wina, im silniejszemi są ich środki zużyteczniania się dla siebie i dla narodu; pomijając, mówię, małą ilość tych niezdrowych narostów, każdy człowiek krząta się około siebie, swoich i swojego; każdy wypełnia pewne w towarzystwie[2]/obowiązki, czy zajęcie jego odnosi się do osób trzecich; czy do rzeczy, które mu w wielkim dziale społecznym na własność przypadły; czy wreszcie do tych, które dopiero starannością jego powstać mają.

O pracy.

Praca jest przeznaczeniem człowieka bez względu na jego stanowisko i zasoby, jakie posiada. Człowiek w stanie pierwotnym, jak zwierzę przechowujące wiecznie ten stan pierwotny, tylko troskliwością , staraniem, trudem utrzymać mógł życie napół zwierzęce; - kto w urobionej społeczności, w towarzystwie już obfitującem w środki zaspokojenia potrzeb jego, a nawet jego wykwintnych przyjemności, używa ich, nie przyłożywszy do nich sił własnych; kto przeto bez troskliwości, starania i trudu spotrzebowuje w towarzystwie, czegoby nie miał poza niem; - ten niewątpliwie żyje cudzą troskliwością, cudzem staraniem, cudzym trudem, bez względu, czy te starania i te trudy odbywają się dziś, pod okiem jego, czy są nabytkiem po zgasłych pokoleniach. Kto żyje wygodnie i przyjemnie bez żadnego zajęcia, jeżeli bez zajęcia przyjemnie żyć można, tego nazywamy próżniakiem, człowiekiem próżnym jak dzwon, wyrazem pogardliwym, który stosujemy bezwzględnie do panów możnych, czerpiących w zasobach przodków, i do żebraków spodlonych, czerpiących w kieszeni przechodniów.

Praca jest środkiem, a nie celem; i nigdy nie stanie się celem, mimo rozumowania ludzi uczuciowych, chcących podnieść godność człowieka, odsuwając go od stanu przyrodzonego. Idę do ogrodu, by zerwać kilka gruszek. Przypadek zdarzył, że wiatr strącił ich kilkanaście na trawnik, otaczający drzewo. Podejmuję z nich kilka, wybierając co najlepsze, i przez myśl mi nawet nie przejdzie wdrapywać się na drzewo po zrywanie innych dlatego jedynie, aby podjąć pracę, której uniknąć mogłem szczęśliwym trafem. Zapytuję pseudomoralistów i pseudopsychologów, czy który z nich postąpiłby tu inaczej? Skutek pracy, a nie praca, zaspokaja nasze potrzeby, uprzyjemnia nasze życie, kształci umysł, podnosi godność naszą. Praca jest trudem, mozołem, któremu człowiek poddaje się przez konieczność lub przez rozum; a który zrzuca z siebie, ile razy konieczność, rozum, sumienie i sąd publiczny nie zmuszają go do dźwigania wspólnego ciężaru.

Niedojrzałość dziecięcia i zepsucie człowieka dojrzałego budzą w nich wstręt do pracy; - niedojrzałość ludu i zepsucie narodów dojrzałych utrzymują w nich zamiłowanie próżniactwa; - niedojrzałe dziecię i człowiek zepsuty żyją troskliwością lub łaską innych; lud niedojrzały i zepsuty naród nie znajdą troskliwych i dobroczyńców. Lud taki schodzi do stanu niemal pierwotnego, lub wydobyć się z niego nie umie: - stany wyższe zmuszają go do pracy dla siebie, a pogardzając ludem, pogardzają pracą.

Praca była zaszczytnym obowiązkiem, gdy wielcy wielkiego Rzymu obrońcy kierowali sami pługiem i sochą; - stała się upodleniem, gdy trzody niewolników zaczęły karmić próżniaczących panów; - zamożność, zdobyta pracą, wiodła do cnót i poświęceń; mienie, nabyte trudem obcym, sprowadziło zepsucie i upadek. Ostatnie pojęcia Rzymu przeszły w schedzie na późniejsze ludy; one zrodziły wiele cierpień; ich odległem a nieprzewidzianem następstwem są w części ostatnie dziejów naszych okresy. Człowiek wolny w Rzymie wstydził się pracy,

bo ona stała się rzeczą niewolników; człowiek wolny w Antillach wstydzi się jej dotąd, bo ona jest udziałem murzynów; - ona musiała stać się udziałem samego ludu, gdzie ludzie wolni wstydzili się jej za przykładem Greków i Rzymian.

Praca, powtórzmy, sama w sobie nie ma ponęty; - ona przechodzi w odrazę, gdy jej towarzyszy przemoc i ciemiężonie; praca uciemiężona, przymusowa, przeistacza się w cierpienia, niewolę. Lud pracowity w Meksyku i Peru, bo dzieła i życie jego dowodziły tego, unikał pracy, stał się leniwym, zaniedbał wszystko, gdy Hiszpanie do pracy przymuszać go zaczęli; - nieprzełamany wstręt do pracy pojawił się w Anglo-Saksonach po zaborze ich kraju przez Normanów; - ustawy Francji, Niemiec, Polski, uchwalone przez szlachtę dla przymuszania ludu wiejskiego do pracowitości, stawały się coraz ostrzejszemi w miarę, jak ich ostrość ludy te coraz leniwszemi czyniła. Do nas ten stosunek przeszedł najpóźniej, i u nas ustał najpóźniej, lub trwa dotąd, a trwa nie z naszej winy; dlatego też Niemcy, nie chcąc pamiętać tego, co było wszędzie, kładą na karb natury słowiańskiej skutki i wpływy dziejów starożytnych, a nawet własne przykłady.

Z tej samej jeszcze przyczyny, że praca jako środek nie ma powabu, przejście do pracowitości do nałogów przeciwnych jest łatwem i szybkiem; - powrót do niej, powrót do porządku, zapobiegliwości i zamiłowania środków, wiodących do lepszego bytu, poważania i oświaty, jest wszędzie trudnym i powolnym; trudnym w ludziach pojedyńczych, stokroć trudniejszym w narodzie całym, bo byt dobry, poważanie i oświata nie mogą smakować tym, którzy ich nie zakosztowali. Że mimo to lud, zniechęcony przemocą, może przecież stać się pracowitym ludem, tego udowadniać nie potrzeba, bo tego dowodem jest połowa dzisiejszej Europy; - że lud nawet dziki jest zdolnym przeistoczyć naturę swoją dość szybko, to widzimy w krótkiem trwaniu państwa Paragwaju; - wreszcie, że żadne wpływy, żadne przykłady, i żadne urządzenia nie obudzą pracowitości, gdzie trwa uciemiężenie, o tem nas przekonywa opłakany ciągle stan Irlandji.

Jak praca jest tylko środkiem, tak pracowitość tylko skutkiem być może; skutkiem naprzód niezachwianej i nieograniczonej własności mienia i pracy; dalej skutkiem moralności i oświaty. I naodwrót, skutkiem ich braku jest brak uczucia potrzeb; potrzeby ludzkie wiążą się i zahaczają jedne o drugie; one narastają w miarę, jak coraz większą jest ilość tych, któreśmy sobie już przyswoili. Co wczoraj było zbytecznem lub obojętnem, staje się nam dziś niezbędnem; dlatego pierwsze potrzeby powstają zwolna i z trudnością, ostatnie lecą niekiedy za szybko i za łatwo. Zaczem, obudzenie w ludzie potrzeby jednej, powszechnej, najwięcej w jego usposobienie i jego stan dojrzałości trafiającej, ale potrzeby rzetelnej a moralnej, obudza w nim szereg potrzeb i cnót innych. Gwoździe i siekiery, dostarczone przez Holendrów półdzikim mieszkańcom dziś pracowitych kolonji, były pierwszem rozbudzeniem ich śpiącego jeszcze ducha; były początkiem dziś

rozgałęzionych żądań u ludzi, którzy może nie byliby nigdy o nich pomyśleli. - -

Życie powszechne to ruch powszechny; a ruch powszechny to powszechna praca, to wielka, potężna, nieustająca przyrodzona praca.

W towarzystwie ludzkiem praca, ciężąca na jednostkach, a od której zawisło istnienie tych jednostek, nie jest wynalazkiem ludzkim, ani ciężarem, narzuconym przez towarzystwo pojedyńczym członkom; - ona nie jest następstwem stanu społecznego, ale owszem stan społeczny między ludźmi jest następstwem i dziełem pracy ludzkiej, tak jak stan wspólności, jak wzajemna zależność, jak skojarzenie w jedną całość części, składających świat powszechny, są następstwem wielkiej, powszechnej, przyrodzonej pracy. Nieustający ruch ziemi jako bryły, ruch otaczającego ją powietrza, ruch wód na jej powierzchni są życiem lub warunkiem życia, są pracą przyrodzoną całości zbiorowej. Drzewo, krzew, trawka, zasilające swój organizm ssaniem z powietrza i ziemi, z wilgoci, gazów i kruszców, pracują, by utrzymać swoje życie po kres przeznaczony im prawem przyrodzonem. Ich praca jest często wielkiem wytężeniem, jest naprężoną walką przeciw miejscowym przeszkodom i trudnościom, pod przewagą których niekiedy długo boleją, którym często ulec muszą przedwcześnie. Któż nie wie, jakie wysilenia czynią niekiedy rośliny, by korzenie swoje przecisnąć pomiędzy skały, które też łupią i rozsadzają. Któż nie przyzna, że zwierz dziki, szukając pożywienia, szczególnie w nieprzyjaznych roku porach, przebywa trudy, mozoły; wykonywa pracę przyrodzoną, bo przelaną w organizm jego prawem przyrodzonem, bez której istniećby nie mógł, a której człowiek społeczny jużby nie podołał, przez którą przecież przejść musiał człowiek pierwotny. Człowiek pierwotny poddał się był zapewne prawu temu, nie myśląc o niem i nie narzekając na nie; - człowiek społeczny nazywa pracę ciężarem, boleje, że musi pracować, złorzeczy towarzystwu, które z obowiązku tego zwolnić go nie może, bo on jest albo człowiekiem zepsutym, albo członkiem, niepojmującym organizmu stowarzyszenia, do którego należy i któremu wyłącznie winien, że praca jego przestała być pracą ludzi pierwotnych i zwierząt, żyjących wiecznie w stanie pierwotnym. Jakże wielką przysługę uczyniliby towarzystwu ci, których wyłącznem zatrudnieniem i powołaniem jest czuwać nad stroną moralną ludu, gdyby mu wyjaśniali te wielkie a proste prawdy, na których przecież opierają się wszelkie towarzyskie cnoty i stosunki. Lecz czyż ludzie ci pojmują je sami?

Praca przyrodzona jest środkiem istnienia wszechrzeczy w stanie przyrodzonym, pierwotnym; - stan przyrodzony, pierwotny, istnieje darmo w całości i w częściach; zaczem, tem, co istnieje darmo, jest nietylko materja, ale jeszcze jej własności, jej ruchy, jej przyrodzona praca. Ruch wody, odbywający się bez naszego udziału z ziemi ku obłokom, osuszający pola i drogi nasze, ruch wody z obłoków ku ziemi,

polawający nasze zasiewy; jej ruch z miejsc wyższych na niższe, któremu poddaje się młyńskie koło; - rozwijanie się drzewa, trawy i zboża; - mnożenie się i dojrzewanie zwierząt, są pracą przyrodzoną, której żadna sztuka nie zastąpi, która się odbywa cudowną organizmu potęgą, której nikt nie kupuje, bo jej nikt nie ma na sprzedaż.

W przyrodzie, gdzie nic nie spoczywa, niema przedmiotu, miejsca i chwili, w którychby dostrzec można pracy przyrodzonej ustanie, zawieszenie, - ona się odbywa tam nawet, gdzie już nie doszło życie organiczne. Właściwości żelaza, jego spójność i gibkość, równie jak jego rozkład, są jeszcze pracy przyrodzonej wynikłością; - wynikłościami pracy przyrodzonej są przeto wszystkie ciał właściwości. Palność drzewa i torfu, parowanie cieczy wystawionej na działanie cieplika; odłączanie się wyskoku od mączki i wody; ciężenie siekiery, osadzonej na długim trzonie; obracanie się kół wozowych podług praw i tarcia dźwigni, są to rozliczne właściwości ciał, powstające skutkiem nieprzerwanego działania przyrody całej, a stające się nawzajem działaniem, przedłużeniem przyrodzonego działania, skoro ruch uboczny, skierowany przez człowieka, obudzi w nich tę ich wrodzoną właściwość, tę działalność.

Prawdy te, może najogólniejsze ze wszystkich, dostrzegli ludzie najwcześniej na drodze empiryzmu; - nauki ujęły je w karby, wytłumaczyły, a posuwając coraz dalej ich zrozumienie, czynią człowieka coraz potężniejszym władcą przyrody całej. Kij w ręku pierwszych ludzi, chcących poruszyć ziemię, był zapewne jedynem ich pracy ułatwieniem; pług, ciągniony końmi lub parą, zastąpił dziś ich dawne motyki. Właściwe użycie i skierowanie właściwości drzewa, żelaza, konia, wody, ognia są użyciem i skierowaniem pracy przyrodzonej ku własnym człowieka celom i potrzebom.

Rzetelny postęp człowieczeństwa jest ciągłe posuwanie się ludzi na tej drodze, jest coraz jaśniejsze widzenie świata, w którym żyją; coraz rozleglejsze i coraz głębsze poznawanie praw, właściwości i sił jego; a czego bezpośrednim następstwem jest wyręczanie pracy ludzkiej przyrodzoną pracą; jest zaprzęgnienie przyrody do robót ludzkich, jej skierowanie do ludzkich celów, - przyrody, istniejącej darmo w materji, działającej darmo przez siły i właściwości ciał pojedyńczych, pracującej darmo zawsze, wszędzie i ciągle. Najmuję robotnika, któremu polecam przetoczyć pewną ilość dużych kamieni z jednego miejsca na drugie. On schyla się, próbuje i widzi, że ręce jego są za słabe; - by wykonać, co mu poleciłem, bierze drąg i nim podważa jeden kamień po drugim. Przejdzież było przez myśl robotnikowi temu zażądać odemnie zapłaty za to, że w świecie bożym siła do ciężaru jest w stosunku prostym ich odległości od podpory?

Im człowiek więcej odsuwa się od czasów, w których kij był jego jedynem narzędziem, tem więcej staje się człowiekiem, stworzonym na obraz i podobieństwo boże; człowiekiem,

którego przyrodzoną potęgą jest myśl, pojęcie, rozum; - on, zaprzęgając przyrodę do robòt swoich, zostawia jej, co jest jej; sam wydziela się ciągle z jej łona, wznosząc się coraz wyżej ponad poziom, gdzie wszystko inne istnieje bez własnej myśli, wiedzy i woli. Wzmaganie się oświaty, nowe spostrzeżenia, odkrycia, wynalazki to rosnące człowieka panowanie w reszcie przyrody; to środki zastąpienia się przyrodą istniejącą darmo; to oszczędzenie pracy ludzkiej, czasu i nakładu; - to umniejszenie środkòw do otrzymania tych samych skutkòw, lub spotęgowanie skutkòw przy tych samych środkach; to rozpościeranie się świata ludzkiego w świecie powszechnym, a przenoszenie w świat ludzki darmości świata powszechnego; to wreszcie zmniejszenie mozołòw przy dawnym bycie, lub podniesienie bytu, myśli i godności przy dawnych wysileniach i mozołach. - -

Użyteczność przyrodzona nie ma wartości; zaczem, użyteczność, powstająca łącznie udziałem pracy ludzkiej i pracy przyrodzonej, czyli z połączenia sił ludzkich i sił istniejących darmo, tem mniejszą mieć będzie wartość, im większym był udział przyrodzonej pracy; im w tej złożonej potędze większa była część tego, co jest bezpośrednim Boga dziełom. Czyli, określając inaczej to samo założenie: praca człowieka, jego usługa, użyteczność, wypracowana przez niego, tem mniejszą będą mieć wartość i cenę, im człowiek, podejmujący tę pracę, tę usługę, tę użyteczność społeczną, większe znajdzie ułatwienia w ich dokonaniu. I naodwròt: to, co człowiek zrobi, nabędzie tem większej wartości i ceny, im on na większe natrafi trudności; a właściwie, im mniej znajdzie w przyrodzie ułatwień, pomocy, wyręczenia. Skutkiem dwòch powyższych, w odwrotnych kierunkach działających wpływòw, jedne wyroby, lubo wielce użyteczne, schodzą do cen graniczących z darmością; inne, małej użyteczności, sięgają cen olbrzymich.

Gdyby zboże, którem Podole karmi w latach trudniejszych zachodnie i pòłnocne części krajòw naszych, przenoszonem być musiało na barkach lub w garściach, cena jego spadłaby niesłychanie na Podolu, a na zachodzie doszłaby wysokości bajecznej. Cena zboża tego zmniejszałaby się w miarę, jak jego dostawa, jak ta robota, przechodziłaby z barkòw na wòzki ręczne, dźwigające cztery piąte ciężaru, a z tych na wozy, ciągnione przez konie. Przypuszczając, że niema przyczyn, wpływających w kierunku odwrotnym na cenę zboża w ogólności, cena ta zmniejszy się jeszcze na zachodzie, gdy z nadejściem zimy wòz, tonący w błocie, zastąpiony będzie saniami, lub w miejsce drogi prywatnej i krętej stanie gościniec bity i wyprostowany; - ona się zmniejszy więcej jeszcze, gdy gościniec bity zastąpią żelazna kolej lub kanały spławne. Niema dojrzałego człowieka, chłopa, piekarza, przekupki, którzyby o szczegòłach tych nie wiedzieli; lecz jakże małą jest ilość osòb, którebyby chciały zadać sobie pracę szukania pierwszych przyczyn tego pojawu. Ekonomja polityczna nie tłumaczy ich także, bo w jej wykład nie wchodzi darmość świata powszechnego. Przeniesienie w garściach zboża z Podola do ziem zachodnich lub pòłnocnych byłoby wyłącznie pracą

ludzką, mogącą dojść ceny bajecznej; jego dowòz kanałem lub żelazną koleją jest połączeniem sił ludzkich i sił przyrodzonych; jest skutkiem pracy złożonej, w ktòrej praca przyrodzona, fizyczne ciał właściwości są już ogromnie przemagającą częścią, a częścią istniejącą darmo we wszechświecie, służącą darmo wszechrzeczy, zastępującą ludzkie mozoły, ile razy człowiek, zbogacony wiedzą rzetelną, do robòt swoich przyrodę zaprząc umie.

Jakże cudownem, a nieprzełamanem jest praw przyrodzonych działanie! Człowiek przywłaszczyć sobie nie może tego, co Bòg przeznaczył dla wszystkich; - to, co jest darmo w przewiezieniu zboża na zachòd, obraca się na korzyść tych, ktòrzy je na zachodzie spożywają, otrzymując je często po cenie o połowę niżej od tej, jakąby dać musieli za miejscowe, gdyby nie nadeszło obce i nie zniżyło ceny miejscowego. Gdy zaś wzmaganie się zasobu społecznego, zatem postęp nauk i narost pracy oszczędzonej, pojawiającej się zrazu w wozach i koniach, dalej w kanałach i kolejach, podają coraz nowe działalności środki, wiodą do coraz nowych odkryć, wynalazkòw i przedsięwzięć; a każdy nowy środek skuteczniejszy od poprzedniego, jest nowem wyręczeniem pracy ludzkiej przyrodzoną pracą: - przeto dzieła ludzkie i dary przyrody, przystępne niegdyś tylko wybranym, rozpościerać się muszą nieustannie, schodzić coraz niżej, stawać się coraz powszedniejszemi, a tem samem wznosić ku gòrze upośledzone niegdyś społeczne pokłady, i urzeczywistniać stopniowo na ziemi wpływem prawd bożych ròwność zapowiedzianą w obliczu Boga.

Rzecz dziwna: im kto jest zagorzalszym niwelatorem, tem zapamiętalej odpycha i poniża naukę, wiodącą absolutnie do celòw, ktòrych on sam szuka, ktòre chce narzucić słowem, a ktòre na tej drodze przyjąć się nie chcą i przyjąć się nie mogą. Nauka gospodarstwa społecznego to nauka wiodąca do swobòd, do wolności, do oświaty, do cywilizacji, ròwności i narodowej potęgi: - bez niej możecie świat zburzyć, ale nowego postawić nie zdołacie! Gospodarstwo społeczne, i tylko ono, wykrywa tajemne żròdła postępu; ono tylko wytłumaczyć wam zdoła, dlaczego czeladź rzemieślnicza żyje dziś lepiej, niż żyli kròle za czasòw Homera, i wie więcej, niż wiedzieli starożytni panowie; ono wam powie, że istnienie darmo świata powszechnego szerzy się wśròd ludzkiego świata; że użyteczność przyrodzona, dar Boga, bogactwo, przechodzi na własność wszystkich; - użyteczność wypracowana, wartość społeczna, zmniejsza się z dniem każdym; - świat ludzki wrasta w świat przyrodzony; świat przyrodzony przechodzi pod panowanie ludzkiego świata.

Czytamy rozprawy, słyszymy głosy, dopominające się o pracę dla ludu; o pracę dla pracy, tak, jak pewni uczeni chcą, by sztuka istniała dla sztuki. Biorąc środek za cel, rozwijają oni na tej drodze teorje, wspierające niekiedy ich osobiste wpływy i widoki. Praca, zajęcie, trud są zapewne niezbędną częścią organizmu naszego w świecie, istniejącym pracą powszechną wszystkich w skład jego wchodzących istot; - one są

pròcz tego, i przez to właśnie, warunkiem naszej moralności i naszych cnòt towarzyskich. Lecz to zajęcie, ta praca, wznoszą się ku coraz wyższym sferom, a to w miarę jak człowiek zrzucić może z siebie trudy niższe, zatem to, co go trzymało na poziomie świata fizycznego. Byłożby nieszczęściem, zapytuje Garnier3/, gdyby chleb ròsł gotowy na polach, nie wymagających ludzkiej uprawy? Przelanie na siły przyrodzone wszystkiego, co jest trudem mechanicznym, zatem otrzymanie darmo tego, co przez nie dokonanem być może, było usiłowaniem pierwszych ludzi i jest dążnością świata wykształconego.

Świat powszechny, przejmując ciągle pod wpływem ludzkiej przewagi kształt sztuczny, postać ludzką w kierunku ludzkiej użyteczności, nie przestaje przez to istnieć darmo. To, co w nim ułożyło się po myśli i woli człowieka, staje się miej scowem kraju bogactwem, dogodnością, korzyścią, a nie zasobem społecznym, zbierającym ludzką wiedzę i czysto ludzką pracę. Zasòb ludzki nie służy darmo nikomu, bo nie powstał darmo; bogactwo przyrodzone, przyrodzona praca, będą wiecznie służyć darmo, bo one nie wejdą w zakres zasobu społecznego. Ich rosnąca usługa w świecie ludzkim wiedzie nas ku ideałowi doskonałości, ktòrej nigdy nie osiągniemy, ku ktòrej przecież zbliżamy się ciągle, bo wiedza ludzka szerzy się ciągle w przestrzeniach bez granic i posuwa nas ku doskonałości bez granic.

1/ Z dzieła „Szkoła polska gospodarstwa społecznego" /1861/ ; przedruk z wydania III Pism. -

2/ - społeczeństwie.

3/ Ekonomista francuski wieku oświecenia.

K A R O L S Z A J N O C H A /1818 - 1868/.

ZE SZKICÓW HISTORYCZNYCH.

J a k R u ś p o l s z c z a ł a.

Opowiemy tu jeden z ciekawych przykładòw ustalania się obrządku, narzecza i obyczajòw polskich na Rusi w wieku XVI.

Wtedy do najzamożniejszych okolic czerwonoruskich, czyli òwczesnego województwa ruskiego, liczyła się starodawna ziemia chełmska nad Bugiem. Kiedy jeszcze wschodnio - południowe strony Rusi Czerwonej bezludną od Tataròw leżały pustką, a tylko zachodnio - pòłnocne pogranicze ku Polsce coraz gęstszą ludnością i bujniejszą zakwitało uprawą: wòwczas nasza nadbużańska kraina chełmska należała do najpiękniejszych okolic w tem pograniczu, słynęła szeroko tłumem swojej ludności, bezprzykładną gdzie niegdzie żyznością gleby, najskrzętniejszem

może na całą Polskę gospodarstwem rolniczem.

Dowodem tego między innemi sejmikowa uchwała szlachty chełmskiej w r. 1477, regulująca z wielką dokładnością stosunki i obowiązki poddańcze w całej ziemi - najdawniejszy tego rodzaju pomnik ustawodawczy w całej Koronie, lubo prawie zupełnie przepominany dotychczas.

Owoż ta przednia z ówczesnych krain czerwonoruskich poniosła w pierwszych latach XVI wieku ciężki uszczerbek w starodawnej wierze i obyczajach miejscowych. Wielka część mieszkańców przeszła na obrządek łaciński, kościół ruski doznał znacznego uszczuplenia nietylko w liczbie swoich wyznawców, ale i w dotychczasowych dostatkach ziemskich.

Dnia 20 października r. 1533 wyszło rozporządzenie królewskie, mocą którego trzy dawne wsie ruskiego władyctwa, czyli biskupstwa w Chełmie, odjęte zostały władyce chełmskiemu Iwaśkowi, a nadane łacińskim biskupom chełmskim. „Na prośby niektórych doradców poddanych naszych", czytamy w pomienionym dekrecie króla Zygmunta, „tudzież mając na względzie, iż prawie wszyscy poddani w powiecie chełmskim, mianowicie znaczniejsi ze stanu rycerskiego, nawrócili się już za łaską Bożą z obrządku greckiego, czyli ruskiego, do jedności z kościołem rzymskim... postanowiliśmy z nadmienionej przyczyny, jako też dla wielu innych powodów, odjąć przerzeczonemu władyctwu wsie Czesin i Strzyżowice z folwarkiem Skurdejowcem, i one rzeczywiście odejmujemy temuż władyctwu, nadając je kościołowi i biskupstwu chełmskiemu" - rozumie się obrządku łacińskiego.

Dowiedziawszy się tak, co się stało w ziemi chełmskiej około r. 1533, dowiedzmy się jeszcze, jak się to stało? Usłyszawszy o znamienitym akcie spolszczenia pewnej części Rusi w tym czasie, obaczmy teraz w jednym z bliżej znanych szczegółów tego aktu, jakim sposobem polszczała Ruś?

Przywiedzione tu postanowienie królewskie z dnia 20 października r. 1533 prawi, iż około tego czasu wielu ze szlachty przyjęło obrządek rzymski, a szczęśliwym przypadkiem dochował się zapisek pamiętnikowy o jednej z tych nowonawróconych rodzin szlacheckich, kreślący ręką najbliższego krewnego ciekawą historję jej nawrócenia, a tem samem jedną z kart historji spolszczenia Rusi. Podaje ten zapisek następującą wiadomość o spolszczonej wówczas rodzinie ruskiej.

Był w ziemi chełmskiej starodawny dom szlachecki klejnotu Korczak, czysto miejscowej krwi, mimo przyjęte od wieku szlachectwo polskie całą duszą ruskiej wierze, ruskiemu obyczajowi, ruskim koligacjom oddany. Od dziedzicznej wsi Wereszczyn w okolicy Hrubieszowa, nazywano potomków tego domu Wereszczyńskimi, a w pierwszych latach wieku XVI siedział na Wereszczynie niegodny następca przodków, pan Fedory Wereszczyński, krew z krwi i kości z kości najżarliwszych starowierców ruszczyzny.

Zgodnie z takiem usposobieniem pojął on także małżonkę,

łącząc się z domem panów Sosnowskich z Sosnowic klejnotu Nałęcz. Był to bowiem dom nietylko podobnież ruki z pochodzenia i obyczaju, ale w nierównie większym jeszcze u pobożnej Rusi zaszczycie, niż sami panowie Wereszczyńscy. Dodawał mu tego blasku rodzony brat pani Fedorowej z Wereszczyna, Iwan Sosnowski, naczelnik całego kościoła ruskiego ziemi chełmskiej i stron przyległych, ów właśnie biskup grecki Iwaśko, za którego rządów władyctwo chełmskie pozbawione zostało trzech wsi intratnych. A że kniaź władyka - jak go powszechnie u Rusi zwano - często w gościnie przesiadywał u swojej siostry i wielu innemi znakami okazywał przychylność jej domowi, niemały przeto zaszczyt spływał stąd na oboje małżonków Wereszczyńskich.

Ale jak żadna chwała światowa nie obejdzie się bez pewnej skazy upokorzenia, tak i znamienitość domu wereszczyńskiego w oczach starowiernej ludności chełmskiej poniosła niemały uszczerbek w ostatnich czasach. Drugi bowiem rodzony brat pani Fedorowej z Wereszczyna, niegdyś Hrehory, a teraz Grzegorz Sosnowski, przeszedł już w późniejszym wieku na obrządek łaciński, stał się przykładnym kapłanem tego wyznania, a nawet, jak to u nowonawróconych bywa, gorliwym rozkrzewiaczem wiary rzymskiej na Rusi.

Sama rodzina nie wiedziała dokładnie, co było przyczyną tak ważnej zmiany w życiu Grzegorza. Jedynie tyle w owym zapisku familijnym podano, iż rodzice jego usilnie odradzali mu przejścia na wiarę rzymską, że jednak Hrehory uparł się w swojem postanowieniu i że mu odtąd fortunnie wiodło się w świecie. Skoro bowiem dojrzały już młodzieniec obeznał się z pismem łacińskiem, wziął go pod swoją opiekę łaciński biskup chełmski Jakób Buczacki, także nowonawrócony wyznawca rzymski, dopomógł mu do osiągnienia kapłaństwa, nadał kapłanowi najpierw kanonję przy łacińskiej katedrze chełmskiej, a następnie prelaturę oficjalną tegoż kościoła[1]. Nie brakło przytem łaski i faworów ze strony sąsiadów polskich, z pomiędzy których zaprzyjaźnili się z księdzem Grzegorzem zwłaszcza panowie Gniewoszowie z powiatu radomskiego i w znak swoich względów życzliwych dali mu nieubogą plebanję w dziedzicznej wsi Oleksowie nad Wisłą, z wolnością wyręczenia się zastępcą niższego rzędu.

Rezydował więc ksiądz oficjał[2] Sosnowski przy swoim kościele i biskupie, t. j. nie w samym Chełmie, gdzie kapituła łacińska nie mogła dogodnego mieć pomieszkania, lecz w nowszem, ale już bardzo zamożnem i głównie przez Polaków zamieszkanem miasteczku Krasnymstawie. Ceniony tam od swoich kolegów i współwierców łacińskich, nie stracił ksiądz oficjał dalszej życzliwości rodziny, zjeżdżał niekiedy do kniazia władyki w Chełmie, a osobliwie siostrę w Wereszczynie nawiedzać lubił. Mieszkając nawet o wiele bliżej Wereszczyna, niż kniaź władyka[3] w swojej znacznie odleglejszej stolicy chełmskiej, mógł brat łaciński daleko częściej od greckiego nawiedzać siostrę i z jakąś osobliwszą troskliwością zaglądał raz po raz w progi jej domu.

Pan Fedory Wereszczyński z przywiązania do żony nie sprzeciwiał się otwarcie tym odwiedzinom, ale w głębi duszy przejmowały go one zawsze niesmakiem. Owszem każda nowa obecność księdza oficjała w Wereszczynie podrażniała jego dawną niechęć ku wyznawcom nauki rzymskiej, czyniła go coraz twardszym Rusinem.

Z tej przyczyny zerwał on nawet wszelkie związki z sąsiednią szlachtą polską, wzgardził wszelkiemi urzędami ziemskiemi i, jedynie zarządem gospodarstwa zajęty, otoczył się ponurą samotnością w swym Wereszczynie. Nareszcie, nie przypuszczając dla chrześcijan rzymskich, t. j. dla wszystkich w ogólności Polaków, innego na tamtym świecie losu nad piekło, nie nazywał żadnego Polaka inaczej jak „piekielnikiem" - „biesowym Lachem".

Zato lgnął pan Fedory tem przychylniej ku ruskiemu szwagrowi z Chełma. Kniaź władyka brał coraz przeważniejszy udział we wszystkich sprawach rodziny wereszczyńskiej. On też przewodniczyć miał losom przyszłego jej potomka, którego niebo jakoś długo odmawiało państwu Fedorym. Skoro jednak wysłuchane zostaną modły rodziców i przyjdzie na świat upragniony dziedzic Wereszczynowi, przyrzekł kniaź władyka ochrzcić go własną ręką w starodawny obrządek ruski, dać mu w dojrzałych latach staranne wychowanie przy swoim boku, zająć się całkowicie jego fortuną i przyszłością.

Nie uszło to uwagi księdza oficjała z Krasnego stawu i w najwyższym stopniu sprzeciwiało się jego zamiarom. On sam bowiem umyślił ochrzcić chrztem łacińskim spodziewaną dziecinę i wychować ją na pociechę kościołowi rzymskiemu, byle niebo jak najprędzej pobłogosławiło nią siostrze.

Ponieważ ojciec dziecięcia nigdyby na to dobrowolnie był nie zezwolił, przeto musiał ksiądz oficjał ukrywać się starannie ze swoim planem, ale nie zdołał utaić go całkowicie. Postrzegło się na nim baczne oko kniazia władyki i, śledząc odtąd jak najpilniej zabiegów brata, wyglądało z podwójną niecierpliwością pożądanej nowiny o synu w Wereszczynie.

Jeszcze tam o żadnym potomku nie wiedziano, a już osobliwszym zbiegiem okoliczności dwaj najbliżsi i najżyczliwsi mu krewni, dwaj różni wiarą bracia rodzeni, dwaj przeciwnych obrządków apostołowie, jak najgorętszem współzawodnictwem walczyli o przyszłość, o wiarę tego potomka.

Wtem urodził się w istocie syn w Wereszczyźnie. Uszczęśliwiony ojciec wyprawił czemprędzej wiadomość o tem do Chełma. Za dni kilka miał zjechać stamtąd przyszły opiekun i dobrodziej dziecięcia i greckim chrztem siostrzeńca rozpocząć dzieło opieki. Jakoż prędzej, niż się można było spodziewać, ozwał się turkot zajeżdżającej przed dwór wereszczyński kolasy i wysiadł z niej w istocie wuj dziecięcia, ale nie kniaź władyka z Chełma, tylko ksiądz oficjał z Krasnego stawu. Bliższa z tego miejsca droga do Wereszczyna pozwoliła mu ubiec

władykę w domu państwa Fedorych i spełnić tam bardzo ważny w następstwach swoich czyn, o którym najstosowniej będzie dowiedzieć się z ust samejże rodziny wereszczyńskiej. Opowiada więc nasz zapisek pamiętnikowy - opowiada syn o wypadkach przy narodzeniu własnego ojca - z ujmującą szczerotą zygmuntowskiej polszczyzny, co następuje.

„Skoro ksiądz oficjał dowiedział się, że siostra jego syna powiła, nim się JM. ksiądz władyka wybrał z domu, ksiądz oficjał, przyjechawszy wskok rzekomo względem nawiedzenia w połogu siostry swej, a upatrzywszy czas, niemowlątko wziął potajemnie z kolebki z tymi, z którymi się już był na to nagotował, wnet ochrzcił go i dał mu imię Andrzej".

„Sprawiwszy tę zbawienną robotę, ujechał co najrychlej, uchodząc mierziączki[4] od rodziców tego do dzieciątka, a najwiecej też uchodząc mierziączki jego miłości kniazia władyki chełmskiego, brata swego rodzonego, który też już był wyjechał na to, jakoby był dzieciątko ono ochrzcił przez się na wierę grecką".

„Ksiądz władyka gdy przyjechał, a o ochrzczonem się już dziecięciu dowiedział, uczynił wielki hałas w domu. Jakoż i rodzice byli bardzo przeciwni tej uczynności księdza oficjałowej, ale iż widzieli, iż co już było stało, rozstać się nie miało, dali pokój. Zaczem już ono dziecię w mniejszej wadze było u rodziców swych, a najwięcej u księdza władyki chełmskiego, i zgoła nie chciał o niem już nic wiedzieć. Naostatek i rodzice wiódł na to, jakoby w niem bynajmniej nie korzystali[5]. Jakoż ojca przywiódł do tego, że się w niem bynajmniej nie kochał, lamentując często a gęsto na oficjała, że to dziecię prawie biesowym Lachem uczynił".

„Wszakoż matka miła naostatek już o to nic nie dbała, ale wszystko to Panu Bogu miłemu polecała, przyczytając[6] to z wolej więcej być miłego Pana Boga i z przejrzenia jego świętego. Przetoż zawżdy o tem obmyślała, jakoby powinności macierzyńskiej dosyć uczyniła, już piastowała, już kołysała, już żywiła. A gdy mu było już ośm lat, o diaka mu się starała, jakoby go hramoty ruskiej nauczył. Jakoż władyka chełmski na żądanie siostry swej wziął go był przedsię do siebie, u którego się uczył hramoty dwie lecie".

„Ksiądz oficjał bał się dziwnie o to, by go zaś jako ksiądz władyka nie zbłaźnił na grecką wiarę. Począł u siebie rozbierać, że i chrzest miał mu co mało pomóc, gdzieby na wierze jako szwankował, ponieważ, prawi, iż w ludziach dorosłych chrzest bez wiary a wiara bez chrztu nie mają żadnej wagi ani mocy w sobie, przeto zasadził intencją swoję na tem, jakoby go od księdza władyki wyważyć mógł. Jakoż tego dokazał. Albowiem skoro jedno przyjechał do księdza władyki, wezwawszy do siebie Andrzeja na osobne miejsce, namowami wdzięcznemi wnet go ucackał, że za księdzem oficjałem nazajutrz piechotą z kursorem z Chełma do Krasnegostawu przybieżał".

„Od tegoż czasu już nietylko u ojca swego, ale i u księdza władyki bardzo spadł z talerza, że już ani ojciec, ani ksiądz

władyka nie przypuszczali go więcej na oczy swoje. Ale ksiądz oficjał, jako mu był przyczyną do niechęci rodziców i przyjaciół inszych jego, że był wypadł nietylko z łaski, ale i z myśli ich: tak zasię starał się o tem pilnie, jakoby mu poczciwe wychowanie dał, któreby mu czasu swego było pogardą sowitą takich szkód, odniesionych przez rodziców swych nieprzyjaźń".

„Do tego, aby snadnie przyjść mógł, dał mu w Krasnymstawie preceptora według myśli swej. Jedno, że był tępego dowcipu, bardzo się o to ksiądz oficjał frasował. Co on, bacząc intencję wuja swego, tępego dowcipu swego nieudatność pilnością nagradzał, naturę niepotężną ustawicznością kierując. Zaczem przedsię przyszedł, że i ingenium[7] swe wypolerował i wuja swego ku większej miłości przeciw sobie wzbudził".

„Tak, iż ksiądz oficjał, pobaczywszy niemały w naukach profekt[8], pragnął tego po nim, jakoby został kapłanem. A to w ten sposób czynił, aby mu spuściwszy prowenta[9] wszystkie swoje i sam wstąpić mógł do klasztoru sieciechowskiego. Przeto, gdy mu już było 19 lat, pilnie go namawiał, jakoby wziął pierwsze święcenie".

Nie urywa się wprawdzie na tem nasz zapisek pamiętnikowy, opowiadający jeszcze przez kilka stronic dalsze losy rodziny - lecz urywa się pasmo tak szczęśliwie dotąd ziszczających się zamysłów księdza oficjała Grzegorza. Siostrzeniec Andrzej nie czuł powołania do stanu duchownego i tylko z posłuszeństwa stosował się do życzeń wuja. Skoro też ksiądz Grzegorz w tym właśnie czasie zeszedł ze świata, pośpieszył 19-letni kleryk zdjąć sukienkę duchowną i osiadł tymczasowie na gospodarstwie w plebanji oleksowskiej. Pozostawili mu ją z przyjaźni panowie Gniewoszowie z za Wisły, a dzięki uprzejmości innych przyjaciół polskich, otworzyły się Andrzejowi w niespodziewanie krótkim czasie wcale odmienne widoki w świecie.

Wpobliżu Oleksowa leżała wioska Jaroszyn, własność staropolskiego domu państwa Jarowskich herbu Rawicz, rodziców kilkorga nadobnych dziatek. Temiż właśnie czasy wróciła do domu z wychowania w klasztorze lubelskim 13 - letnia córeczka Anna, którą pobożna rodzina jak najprędszem zamężciem ochronić chciała od pokus świata. Polscy przyjaciele Andrzeja doradzali mu upaść do nóg rodzicom o rękę panny Anny i piękny za nią posag; a gdy młodzian z ochotą zezwolił na to, bogobojne jego wychowanie zjednało mu pomyślne w Jaroszynie przyjęcie. Jeszcze tego samego roku stanął niespełna dwudziestoletni nowożeniec z trzynastoletnią oblubienicą u stóp ołtarza.

Był to rok sławnej bitwy pod Obertynem. Niespokojny hospodar wołoski Petryło opanował przed kilku miesiącami Pokucie i ściślej, niż którykolwiek z poprzednich hospodarów, pobratany z pogaństwem ottomańskiem, wzbudzał obawę coraz niebezpieczniejszych zamachów. Wszystka szlachta ziem ruskich na hasło sławnego Jana z Tarnowa stanęła do odporu. Komu tyl-

ko o dobre imię chodziło, zwłaszcza zaś, kto młodem władał ramieniem, przywdziewał parcerz ku obronie kraju, ruszał w kilka, kilkanaście koni ku obozowi polskiemu.

Natenczas i w młodym Wereszczyńskim ocknęła się iskra ambicji. Odstrychnąwszy się swojem polskiem wychowaniem i ożenieniem od całej reszty rodziny, wystąpiwszy tem z dawnej pokątności prowincjonalnej na widownię szerszych stosunków obywatelskich, należało jakąś znamienitą zasługą rozpocząć zawód. Wyprawa przeciw Wołoszynowi dogodną ku temu nastręczała okazję. Lubo więc Andrzej nigdy później marsowych nie okazał skłonności, przyszło zaraz po ożenieniu z orężem w ręku dać się poznać ojczyźnie.

Ani trzynastoletnia żona, ani rodzice żony nie mieli nic przeciw temu. Pośpieszono owszem z wyliczeniem posagu, aby rychlej i świetniej do obozu wyprawić zięcia. Wystąpił też Andrzej z niezwyczajną na swój miemy stanik okazałością, bo z pocztem dwunastu wybornie uzbrojonego żołnierza i odpowiednią liczbą ciurów i wozów. Jakby mała chorągiew senatorska, ciągnął hufiec dwunastu Andrzejowych rycerzy, on sam trzynasty na czele, z uciechą i podziwieniem ludzi, ku obozowi hetmana pod Obertynem.

Już w kilka miesięcy po weselu stał Andrzej na polu walki, a tuż po wejściu do okopów wypadła bitwa stanowcza. Na szczęście dla Polski i Andrzeja kierował nią wielki Tarnowski, więc była to wielka wygrana, jedyna w swoim rodzaju wygrana obertyńska, chwała pamiętnego dnia 22 sierpnia 1531. Polska zasłynęła szeroko nowem zwycięstwem i pozbyła na długie lata niebezpieczeństw wołoskich; Andrzejowi i większej części rycerstwa koronnego; dzięki mądrym rozporządzeniom wodza, ani włos z głowy nie spadł.

Bardzo szczupłą stratę poległych wynagrodziło sobie wojsko polskie bogatą nawiązką w skarbach rozbitego obozu wołoskiego, w ustąpionych rycerstwu przez hetmana upominkach króla Zygmunta, w mnogich darach i łaskach królewskich samemuż wojsku.

Dostało się tych plonów zwycięstwa i młodemu Wereszczyńskiemu. Wrócił z niedługiej wojny bogatszy, niż był wyjechał. Nietylko wszystkie wydatki na wyprawę odzyskane zostały, ale przybył jeszcze spory zapasik pieniędzy i kosztowności, zdobytych do zagospodarowania się w nowym domu. Zawitał w nim dostatek, uśmiechała się mu życzliwość i cześć u ludzi; jednego tylko brakowało szczęśliwemu Lachowi z Wereszczyna - błogosławieństwa ojca i matki. Zaledwie Andrzej teraz uścielił sobie gniazdo rodzinne, zatęskniło mu serce do tej pociechy i przed wszelkiemi innemi staraniami o dalszy dorobek w świecie postanowił nawiedzić z żoną dawno niewidziane progi ojczyste.

Aby jawnie okazać, iż nic innego, jak tylko prośba o błogosławieństwo zamiarem jest odwiedzin, wybrał się Andrzej do Wereszczyna bardzo strojno, dworno i bogato. Cały dwór

wereszczyński zdumiewał się na przybicie tak wspaniale wjeżdżających we wrota gości. Rodzicom pochlebiała zamożność syna i nie było też powodu odmawiać mu życzliwego przyjęcia. Z widocznem więc zadowoleniem obojej strony nastąpiło powitanie polskich dzieci z ruskimi rodzicami. Stary ojciec ofuknął się jeszcze raz i drugi z dawnym wstrętem przeciw „Lachom biesowym", lecz dobroć matki i pokorna uprzejmość synowej łagodziły szorstkość jego uprzedzeń, a kilka dni dalszej gościny przekonały ostatecznie o pożytku obecności synowskiej w domu rodzinnym.

Gniewne uchylenie się pana Fedorego z Wereszczyna od zwykłych stosunków z sąsiadami przyniosło niemałą szkodę sprawom domowym. Poszły w zapomnienie dawne związki przyjaźni, a nie przybywało nowych przyjaciół. Zaczęli owszem nastawać przeciwnicy, z którymi niebawem przyszło do niezgody, do swarów o granicę, do procesów o większą część posiadłości. Nawyknięcie do samowolności w ścianach domowych odejmowało ochotę i uzdolnienie do niezbędnych zabiegów po trybunałach, a wraz z niedostatkiem przyjaciół ku poradzie i wsparciu dojmował także niedostatek środków do ponoszenia coraz uciążliwszych kosztów sądowych. W chwili przybycia syna znalazł się pan Fedory zagrożony ruiną całego mienia.

Spostrzegł to w krótce Andrzej i wciągnął ojca nieznacznie w rozmowę o interesach. Łatwo było z niej poznać, iż tylko nieporadność starego domatora w tak ciężkie zawikłanie przywiodła sprawy. Ośmielił się tedy Andrzej wskazać nietrudny sposób naprawienia wielu szkód przeszłych i przyszłych, a gdy zaprojektowana rada synowska okazała się ojcu zbyt uciążliwą do wykonania jej osobiście, podjął się Andrzej spełnić ją w ojca imieniu i natychmiast jak najszczęśliwiej jedną i drugą sprawę załatwił. To nietylko przedłużyło odwiedziny synowskie, lecz owszem wywołało życzenie w ojcu, aby obrotny młodzian podobnież resztę interesów ukończył. Syn z radością przyjął wolę ojcowską i oto, zamiast pożegnania się z rodzicami, nastąpiła niebawem instalacja Andrzeja w zarząd całego ojczystego majątku.

Pod sterem młodego gospodarza wszystko zmieniło się w Wereszczynie. Wzięły koniec zatargi procesowe, uskromili się przeciwnicy niespokojniejsi, nastały znowu przyjazne stosunki z sąsiadami. Najpierwej otworzono wrota członkom rodziny, a że teraz rodzinę wereszczyńską składali zarówno ruscy krewni Andrzeja, jak i polscy krewni jego małżonki, więc zaczęły gościć w Wereszczynie domy polskie i ruskie, oswajali się z sobą Lachowie i Rusini. Z każdym dniem łagodniał pan Fedory dla swoich niegdyś „biesowych Lachów", zagęszczały się ich odwiedziny w domu Andrzeja. Nakoniec za dalszem oswojeniem się starca z obyczajami lackiemi stał się Wereszczyn domem zupełnie polskim, w którym oboje rodzice Andrzejowi długo jeszcze w zgodzie i miłości z Lachami żyli. Powszechnie od Lachów i Rusinów lubiony, Andrzej posiadł zczasem znamienite urzędy ziemskie, był najprzód komornikiem, a następnie podsędkiem chełmskim, a jeden z jego synów, imie-

niem Jòzef, został nawet duchownym senatorem w Koronie. Tento biskup kijowski Wereszczyński, założyciel nowego Wereszczyna na Ukrainie, jeden z najpoważniejszych pisarzòw swojego czasu, skreślił òw pamiętniczek o spolszczeniu swojego rodu i załączył go przy kazaniu na pogrzebie ojcowskim.

Jednocześnie z takiem przeistoczeniem rodziny Wereszczyńskich w r. 1532 spolszczało też wiele innych rodzin ruskich w tych stronach. „Wszyscy poddani nasi w powiecie chełmskim - mòwi kròl Zygmunt I r. 1532 w owym dekrecie uszczuplenia biskupstwa greckiego w Chełmie - mianowicie znaczniejsi z stanu rycerskiego, nawròcili się już za łaską Bożą od wiary greckiej, czyli ruskiej, do jedności z kościołem rzymskim". A ponieważ z tej przyczyny ubyło wyznawcòw kościołowi ruskiemu, powiększyła się zaś liczba wyznawcòw kościoła łacińskiego, przeto jak owym nowonawròconym łacinnikom, tak i samemu kròlowi Zygmuntowi słuszną zdało się rzeczą ująć część dochodòw mniej teraz potrzebnemu kościołowi ruskiemu a zbogacić nią potrzebniejsze obecnie świątynie polskie. Ojcowie wyposażyli założone niegdyś dla siebie cerkwie ruskie, synowie mniemali się upoważnionymi do zmiany rozporządzeń ojcowskich według potrzeb dzisiejszych i sami kròlowi Zygmuntowi doradzili òw akt uszczuplenia władyctwa w Chełmie.

Był to akt bolesny dla cerkwi ruskiej, ale dla kogoż i z czyjegoż powodu przyszedł on ostatecznie do skutku? Nie samaż Ruś dobrowolnem przyjmowaniem łaciny i tak gorliwem następnie szerzeniem jej we własnych rodzinach zubożyła w ten sposòb starodawną świątynię chełmską? Osobliwszem zrządzeniem losu władyka, któremu akt pomieniony odjął znaczną część posiadłości, a kapłan obrządku łacińskiego, któ̀ry najwięcej do tego uszczerbku się przyczynił - byli to bracia rodzeni. Rusin Rusina, brat brata z ziemi wyzuwa: bo tu nie o pokrewieństwo, nie o polską lub ruską narodowość walczących idzie, ale o przekonanie, o wiarę, do któ̀rych żadna przemoc światowa nie zdołałaby obudzić w nas zapału, żaden ucisk Polakòw byłby nie zniewolił Rusinòw, gdyby one swojem własnem światłem nie otworzyły sobie ich serc.

Przejście wielu rodzin ruskich na obrządek łaciński było znakomitym aktem spolszczenia Rusi - ale widzimyż w całem zdarzeniu jakikolwiek ślad ucisku ze strony polskiej? Wniesiony przez Polakòw obrządek sam sobie oświeceńsze umysły jedna, a wobec ustaw i swobòd polskich ròwny był w XVI wieku Rusin Lachowi. Właśnie w porze i w pobliżu opowiedzianych tu zdarzeń otrzymała Ruś chełmska stanowczy tego dowòd.

Jak siedziba władykòw greckich Chełm uchodziła za głòwne miasto ruskie w powiecie chełmskim, tak głòwnem miastem polskiem była siedziba łacińskich biskupòw chełmskich Krasnystaw, założony przez kròla polskiego Kazimierza Wielkiego, zamieszkany przeważnie od Polakòw, słynny wòwczas z zamożności w całej Koronie. Owoż kiedy pod sam pobyt Andrzeja w Krasnymstawie u łacińskiego wuja Grzegorza wybuchły tam rozterki między

liczniejszem mieszczaństwem polskiem a mniej liczną ludnością ruską, przyszło do wykluczenia Rusinów od głównych urzędów miejskich. Wtedy mieszczanie ruscy udali się z prośbą do króla, aby im przyznano równość obywatelską z mieszczaństwem polskiem, a król Zygmunt I, wbrew przeważnej liczbie Polaków zadość czyniąc Rusinom, przysądził im zupełne prawo do piastowania urzędów.

„Powziąwszy wiadomość", opiewa między innemi dotyczący dekret królewski z r. 1523, „iż w pomienionem mieście naszem Krasnymstawie znajduje się wiele mieszkańców przerzeczonego[10]/ obrzędu ruskiego, odznaczających się dostatkami, przemysłem, obyczajnością i cnotami wszelkiemi, którzy też wiernością, zachowaniem i uszanowaniem dla nas okazali się godnymi względów naszych i ciężary cywilne za równo z innymi mieszkańcami pomienionego miasta ponoszą; oznajmujemy, iż mieszkańcy krasnostawscy obrządku ruskiego do urzędów cywilnych, t. j. do radziectwa i ławnikowstwa, przedstawianymi i obieranymi być mogą".

Oprócz moralnej przewagi obrządku i niewymownej dla wszystkich sąsiednich ludów ponęty swobód polskich, dopomagała dziełu spolszczenia Rusi chyba owa serdeczna, hojna, skora do wszelkich usług braterskość, jaką Polacy w XVI wieku jednali sobie wziętość powszechną. Niosąc z sobą swobody polityczne, wnosili oni także wszędzie ludzkość pożycia, gotowość do pomocy, towarzyskość, wesołość i, pociągając niemi zwłaszcza młodzieńczą połowę ludności nowych prowincyj swoich, ujęli tem podobnież rodzinę wereszczyńską. Polska rodzina Gniewoszów obdarzyła Andrzeja intratą plebanji oleksowskiej, w polskim domu państwa Jarowskich znalazł on z łatwością żonę i posag, polscy krewniacy żony wyforytowali go na urzędy, dopełnili jego karjery obywatelskiej.

„Niemałą uciechą zjęci byli rodzice Andrzejowi" - mówi w dalszym ciągu ów urywek pamiętnikowy - „ciesząc się z tego, że pięknie a ozdobnie przez nakładu rodziców swoich staniczek swój wiódł, jakoteż z szczęśliwych postępków syna, że się Lachowi we wszystkiem fortunnie powodziło". Zaiste fortunnie dzięki ludzkości Lachów - czemużby i cały dom wereszczyński z resztą sąsiadów ruskich nie miał był pobratać się z Lachami - spolszczyć przy Lachach?

Takim to wzajemnym pociągiem, wzajemną życzliwością polszczała Ruś. Jak bratnie korzenie jednego drzewa, zdążały ku sobie, splatały się ze sobą żywioł ruski z żywiołem lackim, aby spólnemi siłami wydać z siebie jedno drzewo olbrzymie, jeden naród potężny. Jak drzewo następnie młodemi konary wystrzela wgórę, tak i naród tysiącem pomniejszych rodzin rozrasta się i wieńczy; a pomiędzy rodowemi gałęźmi Polski w złotych jej wiekach nie pierwszemiż cnotą, zasługami i chwałą były właśnie rodziny, które z ruskiego korzenia, na ruskim gruncie, owszem z naszej poszczególnej gleby chełmskiej urosły? Toć to najsławniejsze imiona i domy polskie w wiekach XVI i XVII, owi Zamojscy, Żółkiewscy, Sobiescy, to wszystko domy

ruskie, odrośle chełmskie, ze starego Zamościa w ziemi chełmskiej, ze starej Żółkwi w chełmskiem, z chemskiej Woli Sobieskiej.

Widząc tak najpiękniejsze kwiaty polszczyzny z ruskich wykwitające sokòw, widząc pòźniej, jak dwoma jedynemi domami krajowemi, ktòrym dano było ozdobić domy ruskie, - nasi chełmscy Sobiescy i pobliscy Chełmowi Wiśniowieccy, moglibyśmy przejść teraz do przedstawienia rzeczy w świetle odwrotnem, odsłonić drugą stronę pięknego zawsze obrazu tej odwiecznej spòlności bratniej i zacząć, jak tu kończymy: p o l s z c z a ł a R u ś - r u s z c z a ł a P o l s k a.

1/ T. j. wyższy urząd duchowny, z przywiązanemi doń samodzielnemi, stałemi funkcjami, w przeciwieństwie do urzędu zastępczego lub tytularnego.

2/ T. j. pomocnik biskupa, wykonywający sądowniczą jego władzę. -

3/ Tytuł, objaśniony wcześniej w tekście przez samego autora.

4/ Obrzydzenia, niechęci.

5/ „Korzyść w czem" znaczyło dawniej tyle, co: ważyć co sobie, interesować się czem; „nie korzystać w czem" - mało o co stać. -

6/ - przypisując.

7/ Ingenium - zdolności, „dowcip". -

8/ Postęp. -

9/ Dochody.

10/ - pierwej wspomnianego.

A N T O N I M A Ł E C K I / 1821 - 1913/.

Z DZIEŁA „JULIUSZ SŁOWACKI" /1867/.

L e c h i c i i W e n e d z i w t r a g e d j i S ł o w a c k i e g o.[1]/.

Główny pomysł Juliusza co do związku narodu naszego i zgadza i nie zgadza się z tradycją, przekazaną o tem przez kronikarzy.

Zgadza się z nią w głòwnej rzeczy - rozmija w szczegòłach. Poeta nasz, idąc w szczegòłowem rozprowadzeniu odnośnych okoliczności wbrew ich podaniom i po większej części wbrew też rezultatom ostatnich historykòw, stworzył jednakże świat, ktòry w sobie o g ò l n ą historyczną prawdę zamyka i nietylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia

ostatecznie odpowiada obiegowym wtedy powszechnie o genezie naszej pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie był czemś odrębnem w słowiaństwie: temu i historja nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, może odmiennych czysto słowiańskich stosunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposòb mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcej, aniżeli w sobie mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i òwdzie słowiaństwa. Historyczna krytyka nie dawała wtedy pewnej konkluzji, k i e d y i j a k te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian, osiadłych ponad Gopłem i Wisłą. Lelewel, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotòw był prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski[2] wywodził Polan od Dakòw, czyli Trakòw, zatem z południa. Maciejowski[3] od Swewòw, więc z zachodu. Szajnocha od Skandynawòw, zatem z pòłnocy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzili wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatem ze wschodu... Te rożnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś z zewnątrz wszczepienie latorośli nieco odrębnej w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasòw: na to się prawie wszyscy pisali, jakby na fakt dowiedziony, a tradycja odwieczna o przyjściu Lecha w te strony także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historja tradycyjna pojmuje to przybycie nowych żywiołòw na ziemię naszą w formie n a p ł y w u. Przypuszcza napływ idei wyższej, organizacji odrębnej, może też wreszcie nawet i rasy obcej, lecz w taki sposòb, że bez wielkiego oporu potrafiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobòw, i choć nad niemi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczej sama się do nich przystosowała i rozpłynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją miała w sposòb gwałtowny wyprzeć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę stosunków przemianę jako p o d b ò j, jako krwawe zetknięcie się dwòch przeciwnych sobie pierwiastkòw, co większa, jako bòj dwòch całkiem rożnych plemion, o śmierć prowadzony lub życie w dosłownem słowa tego znaczeniu. Przedstawia przyjście Lechitòw jako zagładę zupełną dawniejszej tych okolic ludności - na korzyść przybyłej rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historji i pokonanego plemienia za główny przedmiot tragedji. Żywioł lechicki, zwycięski, dopiero poczynający tu życie-odgrywa w niej rolę drugorzędną. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli „W e n e d ò w" nadgoplańskich, które po długiem i rozgłośnem niegdyś istnieniu w rozległych kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jest to zatem <u>per excellentiam</u>[4] tragedja idei, tragedja narodu i społeczeństwa całego - nie osòb pojedyńczych.

Sztuka się poczyna samym początkiem najazdu. Widzimy tu

wprawdzie odrazu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, pierwsze już starcie.

„Cóż myślisz, starcze, o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem tej krainy:
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj temi ludy".

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do pokonanego Derwida, już się poczyna akt pierwszy.

W poprzedzającym akt ten P r o l o g u, którego czas przypada właśnie na chwilę owej bitwy stanowczej, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś poza sceną, daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że Wenedzi skazani są na zagładę, że ciąży nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny której upaść i zginąć muszą.

„Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona - i na wieki
Widzę umarłą..."
- „Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty - o, biada nam, biada!"

Słowa te wypowiadają Roza Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką, - i harfiarze, którym jako kapłanom narodowym odchylona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta, jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie to zbliżającego się końca ciąży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w tej ostatniej walce z najezdnikami...

Poeta nie tłumaczy ani powodów, ani bliższych okoliczności owego przekleństwa, rzuconego na cały szczep Wenedów. Możnaby go tu prawie posądzić o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tem bardziej zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dramacie mogłoby się zdawać narazie uzasadnionem, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnej nad nimi wyższości. Przeciwnie, jest to rasa jakaś i fizycznie karłowata i duchowo napiętnowana jakiemiś oznakami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, coby znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwie popełniająca nawet obrzydliwości. Wszakże sam Lech, patrząc na rosłe ciała, na dumne postawy swoich jeńców, zakutych w pęta, mówi do żony:

„Gwinono, patrzaj, jaki to lud rosły!...
Ja komar - i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w ręku jak cytrynę!...

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

„Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie!"

Zdawałoby się, z tych chełpliwych słów wnosząc, że za tę drobność zewnętrzną ciała natura wynagrodziła Lechitów nietylko tęgością nadzwyczajną sił fizycznych, ale może i mocą duchową, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniej nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju - tę im przyznaje, ale pròcz tego - niczego więcej.

„O, jak rycerze ci są łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.
A choć szychową nić zobaczą, nie chcą
Wyciągnąć z kłębka - jedni przez lenistwo,
Drudzy, widzący w tem może pożytek
Albo zabawę: i tak oszukani
Fałszu krzewinie rosnąć pozwalają!"

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekkomyślność, jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swòj o całym rodzie Lechitòw wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebnem, że to „lud g ł u p i, z rąk rycerskich, ale z głòw niemyślących" złożony, który, jeżeli ona go w opiekę swoją nie weźmie - przy lada burzy rozpaść się musi.

Na to samo wychodzi, co w swòj znowu sposòb i przy innej okoliczności o tej rasie wypowiada pocieszny i głupowaty Ślaz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedòw za Lechitę ogłosił.

„Còż to? Czy mi z oczu
Patrz gburostwo, pijaństwo, obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechòw, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogòrkòw, do herbòw?
Zwyczaj przysięgać in „verba magistri" -
Owczarstwo - czy to wszystko mam na twarzy?
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą -
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skòra".

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tem miejscu rzucić nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się pòźniej okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły, satyrycznie usposobione polskim szlachcicom, rozumiejąc przez wyraz ten nie sam tylko zwykły ogòł mniej światłej masy wyższego społeczeństwa naszego...

L e c h sam to prototyp powyższych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża - słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem, pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru, bez ròżnicy, wszystkim, lada komu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwie pocieszných niekonsekwencyj /naprzykład przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy, danej Lilli Wenedzie co do uwolnienia jej ojca, albo też o narażenie się na gniew krzykliwej

a tyranizującej go małżonki/. Słowem, jest to prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do poematu wyraził, „praszczur Sobieskiego" - przy silnej ręce, a moljerowskiej w domu słabości. „Kontusz mu włożyć i buty czerwone, gdy wróci z piorunowej walki, siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. Kontusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje - bez jutra!"

Otóż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winićby o to trzeba, gdyby zagłada ich plemienia na korzyść ich najeźdźców miała rzeczywiście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słuszność jest po stronie tych, co bronią swojej ojczyzny. Przewagą liczebną także przewyższają Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego ich charakteru zmuszają w dramacie często nietylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatem bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już krajów chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, „ż e t o b y ł d o b r y l u d, c h o ć n i e c h r z e ś c i j a ń s k i". Dlaczegoż tedy Opatrzność czy wreszcie szczęście samo łaskawszem byćby miało dla Lecha i jego wojewodów, którzy równie, jak Wenedzi, nie są jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla tej ludności, spokojnie mieszkającej u siebie? Jeżeli z tego powodu, że to pokolenie obarczone przekleństwem: to kto je niem obarczył? za jakie wykroczenia? przed czyim trybunałem?

Na te wszystkie pytania niema w dziele odpowiedzi gotowej; ale całe przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedji staje za wymowne rozwiązanie całej tu poruszonej zagadki. Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowej sile żywotnej, tak niezbędnej do istnienia ciałom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło ich przekonanie, że potrafią się oprzeć nawet wrogowi, który, w stal zakuty od stóp do głowy, poprzedzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odziedziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś triumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch, dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brzęków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przeszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli ż ą d a ć jej i w y m ó c ją - nawet wbrew wszystkiemu, co onej przeczy. I to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wyższość Lechitów na tem właśnie polega, że lubo oni, jak się powiedziało, podlegają tylu rozlicznym ułomnościom i niedostatkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swoją i mają serce do boju.

Antoni Małecki. Z dzieła „Juljusz Słowacki".

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już pozostała tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta o losie dzieci it..p., zmuszona ona jest jednakże powiedzieć mu i te słowa, nie będące naganą, a tłumaczące naszą zagadkę:

„Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwo".

A Roza Weneda, kiedy opowiada swoje widzenie w przededniu walki, mającej ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie innem świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie kilkunastu tysięcy, ale z wybladłemi twarzami, w grobowem milczeniu zajmujących miejsca na przyszłem pobojowisku. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju:

„Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czarem walił piorun i miecz razem".

Powiada, że kiedy, chcąc się przekonać, co się dzieje w piersiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszej: to znalazła u jednego, „że w nim serce zbladło i tak trzęsło się jak liść olchowy"; w piersi drugiego znalazła zamiast serca - kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: - to była pusta! nie było w niej niczego miasto serca. I nie zazierała już dalej wróżka natchniona do serc ludzkich w swoim narodzie, bo już wiedziała wszystko...

1/ Według wydania 3-go.

2/ Historyk polski XIX w. -

3/ Uczony badacz historji prawa i literatury w w. XIX.

4/ W całem znaczeniu wyrazu.

K S. W A L E R J A N K A L I N K A /1826 - 1886/.

PRZEDMOWA DO „OSTATNICH LAT PANOWANIA STANISŁAWA AUGUSTA" /1868/.

Dzieło niniejsze, którego tom pierwszy czytelnikom podajemy, złożone z dokumentów dotąd nieznanych, dostarczyć może wiele światła do historji upadku Polski; objąć mu bowiem szereg zdarzeń, nierozerwalnym ciągiem po sobie idących, od zjazdu Kaniowskiego aż do ostatniego podziału. Ważność tych pism czytelnik osądzi, spostrzegłszy, z czyjej wyszły ręki; są to korespondencje Stanisława Augusta, Katarzyny II i wielu najcelniejszych osób w Polsce i Rosji naówczas żyjących; świadectwa tem szacowniejsze, że nie są opowiadaniem ułożonym po czasie, ale, związane z życiem politycznem narodu, przedstawiają dokładnie myśl, zamiar i charakter piszących i działających razem. Jest więc ta publikacja znacznym nabytkiem historycznym i dla nauki korzyść przyniesie.

Ale inaczej może wypaść odpowiedź w umyśle niejednego czytelnika, jeśli stawi sobie pytanie, czyli druk dokumentów, wyjaśniających przyczyny upadku państwa polskiego, w dzisiejszej chwili równie jest korzystny pod względem moralnym, i politycznym, jak nim jest niewątpliwie pod względem naukowym. Nad tem pytaniem zastanowić się tutaj musimy tem więcej, żeśmy i sami długo je w sumieniu ważyli, i że od ludzi, których wysoko cenimy, z którymi łączy nas wiele wspólnych przekonań i uczuć i wiele lat wspólnej poświęconych pracy, słyszeliśmy zdania naszemu przeciwne. Sądzimy, żeśmy winni sobie, a bardziej jeszcze tym, których rady z żalem słuchać nie mogliśmy, iżby wyraźnie powiedziane były powody, dla których te dokumenty ogłaszamy.

Ostatniem słowem świadectw historycznych, które z tej epoki były lub będą jeszcze ogłoszone, jest: że upadku swego Polacy sami są sprawcami i że nieszczęścia, które na nas spadły wówczas lub później, zasłużoną są przez naród pokutą. Ta prawda, aczkolwiek bolesna i wobec nieprzyjaciół naszych tak upokarzająca, była już nieraz powiedzianą; ale powtórzona dzisiaj, w chwili największego ucisku, jakiego naród doznał od dziesięciu wieków, nie na rozumowaniu pisarza oparta, ale nasuwająca się sama w dokumentach niewątpliwych i swą jasnością aż rażących, nabiera większego nierównie znaczenia i głośniejszem staje się wyznaniem. I te właśnie okoliczności, przydające wagi takiemu wyznaniu, były powodem zarzutów, które nas dochodziły i które zapewne jeszcze się odezwą.

„Szczery i zupełny obraz Polski pod koniec XVIII wieku /mówiono nam/ może być pożyteczny jedynie dla tych, którzy tak gorąco pragną naszą przeszłość zbezcześcić i złamać nas widokiem naszych błędów; dostarczy broni przeciwko nam, a ich usprawiedliwi i stanie się /wedle pospolitego wyrażenia/ wodą na ich młyn. Nie wszystkie prawdy można powiedzieć, nie każdy

je zniesie i nie w każdym czasie; a jeśli przyznanie się do grzechòw, w skrytości ducha czynione, człowieka podwyższa, to jawne z nich oskarżenie się, pròcz tego, że nigdy szczerem nie będzie, graniczy z bezwstydem i złością być może. Dziś naròd potrzebuje wiary w siebie, nadziei w przyszłość i wyrozumiałej dla wszystkich miłości, z wiekòw minionych nie jad gryzący, ale kojący balsam dziejopisowie dobywać powinni, a ktoby dowiòdł, że upadku naszego przyczyną były własne i to wszystkich grzechy, ten odejmie narodowi wszelką otuchę, ten go w oczach własnych zdepce i poniży, ten go doprowadzi do rozpaczy. Jesteśmy jakoby dzieci, ktòrych matka śmiertelną złożona chorobą. Choćby ta choroba z jej uchybień powstała, czyż to czas w tych uchybieniach się rozpatrywać? Czyż samo uczucie synowskie nie nakaże raczej odwròcić od nich oczu, a to tylko starać się, aby jej życie utrzymać? Rozbiòr przeszłości trucizną będzie, a nie lekarstwem; odłòżmy go do chwili wyzdrowienia. Wòwczas on będzie pożądany, a nawet konieczny, aby ustrzec od powtòrnej niemocy; dziś tylko matkę dobije! A wreszcie prożnem jest staraniem i czczą pretensją chcieć dzisiaj całą wykrywać prawdę. Jakiejkolwiek mogą być wagi ogłoszone dokumenty, więcej ich pozostanie w ukryciu, czekając właściwszej do druku pory. Zabraknie więc w tym procesie aktòw, i to najważniejszych może - i sąd taki, w miejsce wiernego przedstawienia przeszłości, stworzy tylko jeden więcej obraz żòłciowy i fantastyczny!"

„Przy rozdarciu wewnętrznem, jakie w społeczności naszej panuje, książka podobna - mòwiono nam z innej strony - stać się może nie nauką i upomnieniem, lecz źròdłem kwasòw i niechęci, otwartą kopalnią dla ducha stronniczego, ktòry z luźnych dokumentòw i oderwanych ustępòw wyprowadzi wnioski, o jakich wydawca nie myślał. Wykazanie grzechòw rodzin dawniej naczelnych posłuży za nowe do walki zarzewie i utrudni, może nawet niepodobną uczyni pracę publiczną dzisiejszym potomkom. Znajdą się ludzie, o jakich w partjach politycznych nietrudno, ktòrych głòwnym nieraz bodźcem w działaniu była zazdrość do swoich. Tacy pochwycą skwapliwie plamiące wspomnienia i w oczy je rzucą tym, ktòrym doròwnać nie mogą. A tak ostatniem słowem tej pracy może być skandal publiczny!... Lecz niedość na tem, zawiść możnych ku sobie, dziś szczęśliwie przygasła, odżyje nanowo, i ci, co tak zacnie podali sobie ręce w niektòrych ziemiach polskich, rozejdą się po dawnemu, na swoje i kraju nieszczęście. Tylko wyższe prawdziwie dusze czują się powołane wielkiemi cnotami odbudowywać swe imię; większość ze zwyczajnych składa się ludzi, wznowiony obraz zeszłowiecznych plam odstręczy ich, zniechęci, do nieczynności sprowadzi, a może jeszcze w obce obozy przerzuci. Dość już podobnych strat mieliśmy w latach dawniejszych; nie godzi się ich dzisiaj pomnażać i z pola służby narodowej spędzać choćby najlżejszych pracownikòw! Jeżeli zaś przeciwnie, wypadkiem studjòw będzie, że nie kilkanaście historycznych rodzin, jak dotąd mniej więcej utrzymywano, ale cała klasa, niegdyś w narodzie wszechwładna, przyczyną była naszej zguby,

to ów wyrzut bolesny w tych właśnie ugodzi, których obecnie najbardziej ściga wróg zawzięty. Było pożytecznem, koniecznem nawet przypominać jej błędy w czasie, kiedy ta klasa używała i nadużywała całej pełności swych praw. Można jeszcze zrozumieć i później rzucane na nią pociski, dopóki dłużnikiem była niższych warstw narodu. Ale dzisiaj, gdy jak Łazarz odarta, nie wie, co jej pozwolą z ojczystej dochować spuścizny; gdy ze starych szlachty polskiej przywilejów jeden tylko pozostał przywilej męczeństwa; gdy dawną swą odkupując wyłączność, zdobywa ona blisko już od wieków własnem cierpieniem coraz to nowe obrońców narodowych rzesze: dzisiaj nietylko roztropność, ale wdzięczność sama nakazywaćby powinna jej stare i nowe zasługi podnosić, a epokę skończoną i grzechy skończone jednem zresztą pokryć przebaczeniem!"

Takie uwagi i zarzuty dochodziły nas wczasie, kiedy ta książka przygotowywała się do druku. Zbytecznem może dodać, że znajdowały w piszącym te słowa echo donośne i zaostrzały przykrość tych studjów, dość już z siebie bolesnych. Trudno rozbierać na zimno, z czem dusza zrosła od kolebki. Trudno też było ukryć przed sobą, że niejedno z tych wspomnień, które na nowo wydobywamy, zrani dotkliwie jakieś serce szlachetne, co może tajemny już ślub z Bogiem uczyniło i dobrowolną pokutą grzechy swych dziadów odpłaca... A jednak po walkach wewnętrznych i długich namysłach przyszliśmy do przekonania, że dokumenty wszystkie, skoro niewątpliwe i skoro służą do wyświecenia prawdy historycznej, drukować nietylko można, ale i potrzeba.

Wyliczając powody, na których oparliśmy to nasze mniemanie, może nie od rzeczy będzie przypomnieć nasamprzód, do czego doprowadził system przeciwny i dążność tak długo u nas panująca zakrywania błędów, a podnoszenia nad miarę naszych cnót i zasług. Był czas, gdy pod bolesnem wrażeniem upadku Rzeczypospolitej, naród, świeżym widokiem własnego nierządu zmęczony, przygnieciony słuszną naganą całej zachodniej Europy, zwątpił o sobie, o swym patrjotyźmie, o swojem nawet męstwie wojennem, i w własnych przedewszystkiem oczach potrzebował się odrodzić. Stąd, gdy jedni na zachodzie, obok Francuzów, starą szabli polskiej odzyskiwali chwałę, drudzy widokiem dawnej mądrości i zacności narodu usiłowali go pokrzepić. Wówczas to Czacki układał swą książkę o polskich i litewskich prawach, aby pokazać, że w naszem prawodawstwie była niejedna rozumna ustawa, którą możemy się chlubić; wówczas Niemcewicz swem piórem malowniczem opisywał dzieje Zygmunta III, aby przypomnieć, że i my także czemś byliśmy[1]/; wówczas też poważne grono uczonych mężów, rozbierając między siebie historję szczęśliwszych Polski epok, pominęło z umysłu dzieje wieku XVIII. Ale szukając w przeszłości pokrzepienia, mężowie ci ani przed sobą, ani przed narodem nie ukrywali ciężkich błędów i nierozumu, co świetność minionych wieków splamiły. — Historja, pisał kilkoma laty wprzódy Naruszewicz, ma ten przywilej, że umarli mogą mówić prawdę, żyjący słuchać jej bez urazy; Czacki płakał, dyktując swe uwagi nad życiem

ostatniego z Jagiellończyków, i w każdej podobnież książce ówczesnej, dawną opisującej potęgę, obok wytrawności sądu z głęboką nauką połączonej, czuć ból zacny a stłumiony, że tyle niegdyś cnót, tyle wysiłeń, tyle wreszcie zasobów - wszystko tak marny wzięło koniec; żeśmy mogli być wielkim narodem, lecz dobrowolnie, zamiast wielkości, przodkowie nasi zostawili swym wnukom poszarpaną dziedzinę. Wszakże wkrótce potem wyszły z pamięci te przestrogi. Jak po stracie drogiej nam osoby /że tu zacytujem słowa niedawno powiedziane/, rychło ginie pamięć jej wad, a w duszy zostaje tylko żal niewysłowiony, tak i przeszłość nasza okazała nam się kochanką idealną, zakrwawioną, białym śmierci całunem okrytą. W jednej chwili zrodziła się nowa szkoła historyczna, której mistrzami byli odtąd poeci, słuchaczami dusze rozdarte boleścią. Przeniesiona do historji poezja krytyce już nie dawała przystępu i złym musiała być doradcą w nauce, której odwiecznym warunkiem jest: sine ira et studio[2]/. Zawsze tylko przed oczy stawiając wielkie wspomnienia, a na epokę upadku rzucając zasłonę, owa poezja historyczna w coraz to wyższe, „nadeuropejskie" cnoty ubierać nas zaczęła, coraz to fantastyczniejsze naszej przeszłości nadawać kształty, kolory i blaski, aż skończyła na bluźnierstwie, zowiąc nas „Chrystusem narodów"![3]/. Słyszano i powtarzano takie zdania, że nie mogąc z całym światem wytrzymać zbrodni spólnictwa, sama święta i niepokalana, Polska w wieku XVIII dobrowolnie zstąpiła do grobu. „Kto sam się bóstwi na świecie, rzekł poeta, ten na odwrót swego szału, odczłowiecza się pomału". Tak i my, podniósłszy zasługę narodu ponad wszelką miarę słuszności i rozsądku, bo aż do ubóstwienia własnego, póty nie zatrzymaliśmy się na tej drodze, dopóki nie zostały usprawiedliwione wszystkie nasze błędy, wszystkie instytucje, któremi państwo upadło, te właśnie instytucje, które naród, doświadczeniem ostrzeżony, sam pod koniec wieku zeszłego potępił najmocniej i stanowczo odrzucił. Dość przypomnieć, że i liberum veto i elekcja królów, swawola szlachty i niemoc trybunałów kryminalnych, które w dawnej Rzeczypospolitej bezkarność, a z nią nowe nadużycia rodziła, znalazły swych apologistów. Za hasłem przez wielkich mistrzów danem, którzy w historji zamiast prawdy, rzeczywistości szukali ideału, znaleźli się niższego rzędu prozą i wierszem pisarze, którzy wielkość i szczytność, a priori[4]/ przyjęte, tam nawet ukazywać poczęli, gdzie ich najmniej być mogło. Bez krytyki politycznej, bez studjów, bez zaglądania do krajowych źródeł, bez porównania dziejów naszych z obcemi, tworzone teorje szkołą się stały zarozumienia i zamętu wszelkich politycznych pojęć; sięgały nawet poza politykę, dotknęły najgłębszych moralnych i religijnych zasad. Bo gdy jedni twierdzili, że Polska jest „Chrystusem narodów", drudzy z tem większą śmiałością twierdzić mogli, że jej powołaniem jest uzupełnić, wydoskonalić i na nowo objawić Chrześcijaństwo.

Atoli dodać należy, że i wymagania polityczne upadłej sprawy, a mianowicie potrzeba bronienia jej przed cudzoziemcami, zwłaszcza przed Zachodem, przyczyniały się niemało do

rozszerzenia i utrwalenia wpośród nas sądów historycznych, jeśli nie tak rażących swoją przesadą, to niemniej zgubnych w ostatecznym wypadku. Było i jest dążnością naszą przekonać obcych, że naród polski nietylko dzisiaj godzien jest niepodległości, ale zawsze był jej godzien, i że jak teraz dosyć ma sił, aby ją odzyskać, tak w przeszłości stracił ją dopiero po największych dla jej obrony ofiarach i pod przemocą wrogów trzykroć silniejszych. A jeśli, pomimo to, trzykrotne nasze próby, by odbudować państwo niepodległe, nie doprowadziły nigdy do celu, nie stało się to bynajmniej skutkiem niemocy narodu lub politycznej jego niedojrzałości, ale z winy rządów zagranicznych, które nas zawiodły w naszych nadziejach, albo też, i najczęściej, z winy człowieka lub kilku ludzi, którym w danej chwili powierzyliśmy nasze losy. - Tego rodzaju obrony i rozumowania, gorliwe po każdej klęsce powtarzane, choć w Europie nie przed wieloma zapewne nas usprawiedliwiły, nas zato przekonywały najzupełniej; zaczem dumni ze swych poświęceń i ze swego heroizmu, musieliśmy czemprędzej dla każdej epoki wyszukiwać kozła ofiarnego i na niego złożyć przyczyny wszystkich niepowodzeń i grzechy ogólne. - Lecz były inne donośniejsze skutki tych naszych obrończych wywodów. „Ponieważ naród był i jest silny i do pełności życia politycznego już gotów, ponieważ jak przed upadkiem Rzpltej, tak i później w każdem powstaniu dawał niezaprzeczone dowody swej dojrzałości, mocy i wytrwania, ponieważ jedynie niedołęstwem lub zdradą kilku ludzi zatrzymany został w niewoli: nic przeto nie przeszkadza, aby zerwał się na nową próbę odzyskania swej niepodległości od chwili, gdy znajdzie się człowiek prawdziwie wyższy, zdolny nim kierować, zdolny korzystać z jego entuzjazmu". Któryż młodzieniec, zaczynający konspirację i przygotowujący powstanie, nie sądzi się być takim właśnie dla narodu mężem przeznaczenia?...

I tak, gdy ciągle brzmiały też same pochwały, ciągle też same powtarzaliśmy błędy i, zanim znikły ślady jednego spustoszenia, już nowe na przyszłość zasiewaliśmy burze! Zaprawdę, w tem naszem gospodarstwie narodowem podobni jesteśmy do człowieka, co układając swój budżet, nietylko niewątpliwie, ale i spodziewane dochody jak najwyżej naznacza, a nie chce wcale spisać swoich długów, ani przewidzieć wydatków: i cóż dziwnego, że nim rok upłynie, spotka go niedobór i że co rok część jego majątku przejdzie w obce ręce? Tak i nas od lat stu spotyka wciąż polityczny niedobór, a nie inna podobno tego przyczyna, jak ta, że, wielbiąc zapał, męstwo i ofiarność narodu, ujemnym jego stronom przypatrzyć się nie chcemy.

Lecz mówią nam: Dość będzie czasu na ten rachunek niemiły, gdy wyzdrowieje matka ukochana, dziś śmiertelnie chora! - - Namby się przeciwnie zdawało: rachunek ten, wówczas nam mało przydatny, dzisiaj jest koniecznym. Bo jakże matka ma wyzdrowieć, jeśli jej choroby nie znamy i lękamy się jej poznać.

Jak wydobędziemy się z tej ciemnoty, w którą zabrnęliśmy, kiedy brak odwagi otworzyć oczy? Tylko szczere w sobie samym rozpatrzenie się może nas ostrzec skutecznie i, co najpilniejsza, nowym stratom zapobieży: Tylko prawda od złudzeń nas uchroni i od rozczarowania; ona jedna da siłę potrzebną do walki z nieprzyjacielem i silniejszą od niego pokusą. A tym, co tak bardzo dla narodu lękali się prawdy i ostrożnie, w niepostrzeżonych w swej maleńkości dozach, radzili jej choremu udzielać, odpowiemy, że właśnie ta osobliwsza homeopatja, przez naszych moralistów używana, może była przyczyną, że naród dotąd jest chory.

Ale /zapytują nas/ jakież wrażenie zrobita prawda, z taką szorstkością wypowiedziana, dla wielu osobiście nieprzyjemna, dla wszystkich bolesna? Azaliż nie zrazi, nie zniechęci i już bardzo nieszczęśliwych do rozpaczy nie przywiedzie? Azaliż godzi się dodawać otuchy wrogom Polski widokiem dawnego jej zepsucia?

Odpowiadając na te pytania, przedewszystkiem zaprzeczyć musimy, żeby jakiegobądź Polska można dziś jeszcze od polskości odstręczyć czy widokiem plam, jakie ciążą na jego przodkach, czy też bardziej upokarzającem wyznaniem, że naród przy wadach, które miał w wieku przeszłym, nie mógł się ostać jako państwo niepodległe. Bezwątpienia, musiał ciężko przeboleć każdy, kto się o tem przeświadczył, ale nikt dlatego nie mniej czuł się Polakiem, mniej obowiązanym służyć Ojczyźnie. Nikt już dzisiaj z polskości wyzuć się nie zechce, nikt, choćby chciał, nie potrafi. Silniejsza ona, niż my sami, trwalsza od naszej słabości lub rozpaczy, w złej czy dobrej żyje doli, i stuletnią już blisko pokutą coraz bardziej się hartuje. Jeżeli dawniej można było słyszeć o Polakach, którzy przechodzili na Niemców, Francuzów, a nawet i Rosjan - choć i tacy przy schyłku życia tęsknem wejrzeniem znowu się ku Ojczyźnie zwracali - to z każdem, które przybywa, ćwierćwieczem, owa odmiana czy apostazja staje się coraz mniej podobną. Gdziekolwiek jesteśmy: w kraju czy za krajem, w Polsce czy na Sybirze, wszędzie musimy być i pozostać Polakami: tak głęboko na dnie naszej duszy osadził Bóg uczucie polskości! A w takiem usposobieniu narodu polskiego niewątpliwem, niezachwianem i któremu żaden człowiek sumienny nie zaprzeczy, czy nie jest rzeczą pożądaną rozpatrzyć się w naszych błędach, i w ich nieustannie bijącem źródle,,w wadach naszego charakteru: rozpatrzyć się spokojnie, bez fałszywej a tak zgubnej dla nas samych litości? I czyż studjum to może być obojętne, albo i szkodliwe? Jeżeli przed podobnym z sobą samym rachunkiem cofały się poprzednie pokolenia, to nasze od nich nieszczęśliwsze, albo w swej wierności zaciętsze, może go odbyć z pożytkiem. Żelazo długim wypróbowane ogniem wytrzyma uderzenia, którychby krucha nie zniosła ruda - i jeszcze twardszem się staje, I czy doprawdy wzgląd na Moskali ma nas wstrzymywać? Mybyśmy przeciwnie myśleli, że naglącem jest odjąć nieprzyjaciołom triumf, że to oni dopiero ukazują nasze błędy i ze ślepoty naszej mają nas wyleczyć. W owym sporze

odwiecznym Polski z Moskwą jak całe prawo mają za sobą, tak potrzeba, aby prawdę całą stawiali przy sobie Polacy, choćby to w chwilową miało się zmienić niekorzyść i chwilowe przynieść poniżenie. Wykrycie prawdy nie odmieni zresztą naszego z nimi stosunku. Jak Moskwa nie odstąpi naszych ziem, choćbyśmy ją przekonali, że do nich prawa nie ma żadnego, tak i my nie wyrzeczemy się naszych uczuć, przekonań, naszych praw, cierpień, nadziei i całego duchowego jestestwa, choć dobrowolnie jej przyznamy, że Bòg użył jej za narzędzie do wymierzenia zasłużonej kary. Nikt się tu nie cofnie, nie zachwieje, nie wyprze swej roli, ani my, ani oni: my w pracy nad sobą i pokutniczem skupieniu czekając, aż przyjdzie Pańskie miłosierdzie; oni dumni, aż Bòg skruszy ròzgę, gdy się stanie niepotrzebną!

Z tej więc strony nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, choćby cała prawda o przeszłości była poznana. Ważniejszym wydaje się nam zarzut, że ogłoszenie dokumentòw zeszłowiecznych pomnoży rozstrój w społeczeństwie polskiem. Gdyby w istocie tak być miało, bez wahania i na długo odłożylibyśmy całą pracę naszą. Bo lepiej nie znać przeszłości, niż przez nią przyszłość zamącać, bo próżną jest wszelka budowa, i nanic się nie zda wszelki materjał tam, gdzie między robotnikami niema harmonji i pokoju; bo wreszcie najgorszyby to było dla narodu wròżbą, gdybyśmy ze studjòw nad historją upadku Rzeczypospolitej, zamiast upamiętania, mieli wynosić pochop do wzajemnych skarg na siebie. A i tutaj trzeźwy pogląd do innych wniosków doprowadzi niewątpliwie. Jak w całej Europie trudno byłoby znaleźć jakąś rodzinę świetniejszą, w ktòrejby dziejach nie było przymroku - a to jej nie przeszkadza odbierać od ludzi czci, na jaką obecnie zasługuje - tak i u nas, choć wiele imion przyćmił wiek XVIII, niemasz dzięki Bogu żadnego, ktòreby w naszem stuleciu nie odświeżało się i nie podnosiło pracą dzisiejszych potomkòw. Więc jak śmieszną byłoby rzeczą bez zasług osobistych szukać dla siebie uznania w moc wątpliwej po dziadach spuścizny, tak ròwnie śmiesznem byłoby, a nawet niecnem bez win osobistych potępiać ludzi, ktòrzy krajowi służą poczciwie. Doprawdy, niemasz na kogo ciskać kamieniem! A jeszczeby godziło się zapytać, kto może ciskać, kto jest tak czysty? Nic pospolitszego jak zarzuty przedajności; nietylko w książkach, ale i na ulicy spotkać się z niemi można; bo też od połowy XVII wieku mnòstwo najpierwszych dygnitarzy dotkniętych było tą zarazą. Ale nie sądzimy, żeby u nas przodkòw drugiego mògł ktoś obciążać tą winą, sam swobodny i z podniesionem czołem; bo niekoniecznie niewinnym był ten, o kim milczy historja. Znane są, to prawda, imiona ludzi, ktòrzy swe sumienie sprzedawali za krocie; lecz nic dziwnego, że żaden ślad nie pozostał o tych, ktòrych kupowano za łyżkę strawy, za kilka talaròw. A było takich, jak wiadomo, bardzo wielu: historja każdego rokoszu i każdej niemalże konfederacji mogłaby na to dostarczyć dowodòw. Więc potępiając grzechy przeszłości, nikt z nas zapomnieć nie może, że na każdego mniej więcej jednaka spada za nie odpowiedzialność.

Błędnem jest wreszcie mniemanie, iżby przedajność była tak przeważną naszych nieszczęść przyczyną. Zbyt niska to zbrodnia, i przy najmniejszym moralnem podniesieniu prędko się naród z niej otrząsa i staje się niedostępnym dla wpływów tak nikczemnych. Nie jest też prawdą, żeby u nas tylko była ona tak rozpowszechnioną. Przedawali się obcym Niemcy i Anglicy; przedajniejszymi byli od nas Szwedzi, a w Rosji dziś jeszcze przekupstwo panuje tak wielkie, jakiego w Polsce nie było nigdy; nawet za najgorszych czasów. Nie upadły jednak te państwa; muszą więc być insze, głębsze przyczyny złego, które nas obaliło. Historycy, którzy tych przyczyn wciąż szukają w przedajności, którzy ten zarzut nieustannie, a z pewną uciechą podnoszą, świadczą tylko o sobie - że nic więcej nie powiemy - iż sami ani dziejów, ani spraw publicznych, ani serca ludzkiego nie rozumieją.

Źródłem naszej niemocy politycznej, a zatem i głównym, jeśli nie wyłącznym powodem upadku były /wspomnieliśmy to już wyżej i każda karta niniejszej książki świadczy o tem wyraźnie/ owe rozliczne niedostatki charakteru narodowego, które, całej klasie wówczas rządzącej właściwe, znajdowały swój typ skończony w tylu głośnych pyszałkach, od Zborowskiego i Zebrzydowskiego począwszy, a skończywszy na ostatnich Rzeczypospolitej hetmanach. W różnych czasach i w różnych ludziach ten sam charakter u nas się powtarza i już przez to samo zasługuje na rozbiór uważany. A nie powiemy, żeby to były studja należące jedynie do przeszłości, albo żeby się tyczyły jednej tylko klasy, dawniejszej szlachty; owszem, historyk sumienny wciąż musi sobie stawić pytanie, azali te wady, które przez wieki gróbb pod stopami naszej Ojczyzny kopały, dziś jeszcze nie utrudniają jej odrodzenia? Było to zasługą szlachty polskiej, że swą gorącą miłość Ojczyzny, swą rycerskość i do ofiar gotowość umiała przelać, wśród walki pogrobowej, w inne warstwy narodu; i widzimy też od lat zgórą sześćdziesięciu z tych warstw podnoszące się bez przerwy postaci tak wysokie, że najczystszym typom polskiego niegdyś szlachectwa w niczem nie ustępują. Każdy dziesiątek lat ich przymnażał, w każdej wojnie ich widziano, i dzisiaj na każdem polu służby publicznej jest ich tak wiele i tak zacnych, że nikomu już na myśl nie przyjdzie odróżnić: tyś syn szlachecki, a tyś miejski! Ale szczepiąc cnoty swoje w klasach niższych, szlachta polska zaszczepiła także swoje wady. Te w mniejszych rozmiarach i przy zmienionych okolicznościach znajdują dziś wyobrazicieli z niejednej miary dawniejszym podobnych. Każdy ruch narodowy wyrzuca teraz, z niższych czy wyższych klas, cały szereg nowych ludzi; a patrząc na nich, rzekłbyś, że to z grobu powstałe antenaty, znane tak dobrze choć bez karmazynu pyszałki, którym tylko pola i środków brakuje, by po staremu wszystkie zebrania publiczne swoją osobą zapełniać, zagłuszać, by w całym kraju na swoją rękę zawiązywać konfederację, by w swym kącie powiatowym o całej decydować Rzeczypospolitej! Rzadko w którym narodzie, mimo klęsk i strasznych odmian, dochowała się, jak u nas, taka przez długie pokolenia jednostajność usposobień: co się

działo w XVII i XVIII stuleciu, to i dzisiaj bezmała powtòrzyćby się mogło - gdyby nie ostrzegały: sumienie i przeszłość! Kto więc chce rzucić potępienie na przestępcòw z wiekòw minionych, niech je rzuca: ale zarazem niech przyłoży rękę do własnej piersi i posłucha, azali w niej się nie odezwą podobne dawnym rokoszowej pychy drgania! Jeśli przeto po wszystkie czasy i dla wszystkich ludzi nauka przeszłości uważana była za najlepszą mistrzynię, to u nas epoka tak bliska, jak koniec Rzeczypospolitej, najsilniejszą powinnaby być przestrogą dla nas i dla naszych następcòw, najwięcej dostarczyć wątku do badań i rozmyślań: Mutato nomine de te docet - historia![5]

Przestroga dla spòłczesnych i dla następcòw, oto - w ostatecznem zestawieniu wielostronnych względòw i rozumowań - powòd stanowczy, dla ktòrego pragnęliśmy widzieć ogłoszony jak najpełniejszy zbiòr świadectw historycznych z czasòw naszego upadku; powòd zdaniem naszem tak ważny, że wobec niego prawie z oczu uchodzą wszystkie niedogodności, jakkolwiek niezaprzeczone i w podobnych publikacjach nieuniknione. Poznacie prawdę, mòwi Pismo, a prawda was wyswobodzi! I gdyby w istocie był w narodzie naszym wstręt tak powszechny do szczerego w swej przeszłości rozpatrzenia się, wtedy dopiero możnaby już rozpaczać, bo wtedyby należało zwątpić o jego życiu i wyswobodzeniu. Zdrowych to organizmòw jest cechą, że łakną prawdy, i że tylko odrodziły się i podniosły narody, ktòre prawdę sobie mòwić pozwalały: Włosi, ktòrych od początku bieżącego stulecia tacy mężowie jak Alfieri, Azeglio, a przedewszystkiem Cezar Balbo gromili ostro za ich gnuśność, rozwiązłość, bezcelowość życia, polityczne fantazje i miękczący artyzm; Niemcy, ktòrzy siebie tak twardo potępiali, że nawet w swej bogatej literaturze dowòd własnej widzieli słabości, i ktòrym pisarze jak Schlosser, Menzel, Gervinus, Hausser, wyrzucali głośno brak patrjotyzmu, brak zmysłu politycznego; życie czysto naukowe, wygodne, przy lampie i w ciszy rodzinnej prowadzone, wreszcie zbytnią przed wielkimi uniżoność i biurokrację[6]. A ktòż sobie powiedział tyle słòw gorzkich, co Anglicy podczas ostatniej wojny wschodniej, że już dalszych nie sięgamy epok? Ci nawet z tego szydzili - co każdy naròd u siebie szanuje - z własnego wojska, i za wzòr dla siebie stawiali odwiecznych współzawodnikòw, Francuzòw. I kiedy te narody, w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukając lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze nawet i słabsze, niż były niemi w istocie, my tylko jedni, wspinając się na paluszkach wzdętej pychy własną, od nikogo nie przyznaną pojąć się chwałą, głosiliśmy siebie narodem wybranym, a każde choć najlżejsze upomnienie strasznem odrzucaliśmy słowem: Brzydki ptak, co własne swe gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła! jakby upojenie było siłą! Jakby sąd surowy o sobie nie przynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugiego się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, ktòrych nie posiada!

Ogłaszając dokumenta w niniejszym tomie zawarte, chcieliśmy ułatwić ich zrozumienie czytelnikowi, mniej z szczegòła-

Walerjan Kalinka.

Przedmowa do „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta".

mi historycznemi obeznanemu, i poprzedziliśmy je wstępem, obejmującym epokę Stanisława Augusta, od jego wyboru aż do zjazdu kaniowskiego. W tym wstępie nie mieliśmy zamiaru zkolei wszystkich opowiadać faktów, ograniczyliśmy się raczej na krytycznem ocenieniu ważniejszych; przytem staraliśmy się zaznaczyć tak dobrze zachowanie się każdego zosobna rządu zagranicznego w stosunkach z Polską, jak postępowanie ówczesnego rządu polskiego i opozycji. Pilnując się źródeł, byliśmy nieraz zmuszeni odstąpić w tej pracy od przyjętych po dziś dzień sądów i wyobrażeń. Zanadto wszakże nam wiadomo, jak trudno jest przy źródłach tak niedostatecznych, przy namiętnościach wzburzonych i interesach tak z sobą krzyżujących się, dotrzeć do istoty rzeczy, abyśmy z całą pewnością na własnych polegali sądach i nie mieli przypuścić, że one niejednej odmianie ulegną. Za to tylko możemy zaręczyć, żeśmy wszędzie i dla wszystkich szukali prawdy.

1/ Tad. Czacki, założyciel Liceum Krzemienieckiego, napisał dwutomowe dzieło „O litewskich i polskich prawach". J. U. Niemcewicz jest m. i. autorem trzytomowego dzieła historycznego „Dzieje panowania Zygmunta III". -

2/ Bez niechęci i bez przychylności. -

3/ „Nadeuropejskie cnoty" etc. - aluzje do „Psalmów przyszłości" i „Przedświtu" Zygmunta Krasińskiego.

4/ Zgóry.

5/ „Jeśli zmienić imiona /osób działających/, /to się okaże, że to/ o tobie poucza historja".

6/ Alfieri, znakomity dramaturg i satyryk włoski XVIII w.; Azeglio i Balbo - włoscy pisarze i mężowie stanu XIX w.; Schlosser, Menzel, Gervinus, Hausser - niemieccy historycy tegoż wieku.

Odnośniki ze str. 24.

1/ - aż do końca.

2/ Radoszyce w pow. koneckim; mowa o zakopywaniu broni lub jej łamaniu przez oddziały, opuszczające Królestwo w okresie upadku powstania listopadowego.

3/ Bitwę pod Grochowem stoczył Chłopicki w lutym 1831 r., pod Boremlem /na Wołyniu/ - Dwernicki w kwietniu, pod Ostrołęką - Skrzynecki w maju tegoż roku.

Stanisław Tarnowski. O "Ślubach panieńskich".

S T A N I S Ł A W T A R N O W S K I (1 8 3 7 - 1 9 1 7).

O "Ślubach panieńskich" 1).

Czy komedja jest, czy może być poezją? Nie ta fantastyczna naturalnie, w której wróżki i książęta z bajek spacerują po zaczarowanych ogrodach, gdzie Arjel śpiewa nad głową Fernanda, Tytanja kłóci się z Oberonem, a Puck niezgrabny po raz pierwszy w życiu rozkochuje w Helenie Ateńczyka, ale nie tego, co trzeba 2): ta jest poezją, nikt jej tego, przynajmniej dotąd, nie przeczył. Ale ta rzeczywista i powszednia, której bohater wygląda, żyje, jak my wszyscy, mógłby być naszym sąsiadem, przyjacielem, bratem, bohaterka podobna do naszych sióstr i kuzynek, a rzecz dzieje się nie w państwie wróżek i czarów, ale na wsi pod Sandomierzem, Lublinem, Przemyślem, Poznaniem lub Berdyczowem, lub w salonie paryskim czy warszawskim, ale takim, jak wszystkie? Rzadko, rzadko, niestety! Jest w codziennej powszedniości naszego życia i w żartobliwej, drwiącej naturze komedji coś, co poezji przeszkadza, ideał robi nieprawdopodobnym, zabija natchnienie, nie pozwala na styl poetyczny. Stąd to poeci i krytycy, nadęci własną powagą, patrzą zgóry na komedję, nie pozwalają jej pokazywać się na Parnasie i jednej z dziewięciu Muz, biednej Talji, każą stać za drzwiami, jako niegodnej. Czy to słusznie? - - Bo Talja, prawda, czasem się zapomina, czasem lubi złe towarzystwo, poniewiera się po małych teatrzykach, miewa takie dziwne pomysły, że niktby się w niej nie domyślił Muzy i bogini. Przecież czasem, jak młody wenecjanin np. wykradnie piękną żydówkę i w noc księżycową rozmawia z nią o muzyce 3), Talja miewa natchnienia, którychby jej pozazdrościć mogła nawet wzniosła Polihymnja 4). Ale to Szekspir; to komedja także, choć trochę przynajmniej, czarodziejska. Ale w tej prawdziwie społecznej i potocznej? Kto wie, czasem. Cóż może być prozaiczniejszego na świecie, jak Bawarczyk i monachijski bursz, a przecież jest pewien Fantasio; dependent od notariusza także nie bywa zwykle otoczony poetyczną aureolą, a jednak jest pewien Fortunio... 5). Ale to także inna kategorja, to Musset, to kapryśna fantazja, która tylko rzeczywistość udaje, to poezja przebrana za komedję. A chodzi o prawdziwą. Gdzie w komedji prawdziwej od Arystofanesa do Sheridana i od Moljera do Sardou, gdzie jest poezja? 6)

Gdzie? Tam, gdzie bez lirycznych dygresyj, bez pretensji i bez zamiaru może stworzenia czegoś poetycznego, bez sytuacyj bardzo zajmujących, owszem, w najprostszych i najpotoczniejszych, autor umiał figurom swoim nadać tyle wdzięku, że one są nietylko żywe i zabawne, jak często w komedjach, ale i ładne; gdzie młody chłopiec w swojem trzpiotostwie taki miły, taki figlarny, taki wesół i dowcipny, że wszystkie kobiety za niem przepadają, wszyscy chłopcy mu zazdroszczą, a w swojem uczuciu tak porywający, taki śmiały i taki pewny, że kiedy o niem mówi, robi się miękko na sercu; i znowu chłopcy zazdroszczą, a zazdroszczą i panie i panny tej, która takie oświadczenie słyszała; gdzie młoda dziewczyna, "czysta jak śnieżek, co świeżo poprószy", świeża jak

kwiatek, prosta jak dziecko, ciekawa jak Ewa tego uczucia, które po raz pierwszy "westchnąć ją przymusi", przyjmuje je z takim szlachetnym i niemylnym instynktem kobiecej godności; gdzie w jakimś wiejskim dworze pod Lublinem między balem "Pod złotą papugą", płaczliweni burami starego wujaszka i poważneni morałami matki przędzie się romans zwyczajny i prosty, ale ładny, jak najładniejsza idylla: - w Ślubach panieńskich.

I to cały sekret. Pytamy się nieraz, dziwimy się, dlaczego one podobają nam się tak bardzo, dlaczego sto razy widziane za setnym nie tracą nic na uroku. To nie skutkiem akcji bardzo bogatej i efektownej, jak w Weselu Figara 7), nie skutkiem charakterów bardzo potężnych i głębokich, jak w Tartuffie lub Mizantropie; nie skutkiem błyszczącego dowcipu, bo niema go tu więcej, niż w innych sztukach Fredry; ale skutkiem tego, że w tej parze kochanków jest wdzięk nieśmiertelny młodości. A wdzięk, kiedy dochodzi wysokiego stopnia, staje się poezją. Cóż to jest ten wdzięk w kobiecie, którego nikt określić nie umie, a o którym wszyscy mówią, że znaczy więcej, niż piękność? To jest w duszy, w sercu, w wyobraźni tej kobiety poezja, która przebija przez jej słowa, ruchy, wyraz twarzy i otacza ją kręgiem czaru, któremu poddać się musi, kto w niego wstąpił. Co jest ta władza, ten wpływ, jaki wywierają czasem mężczyźni na drugich mężczyzn? To nie wyższość rozumu, nietylko siła woli, w takim razie Fryderyk byłby tak samo ludzi podbijał i fanatyzował, jak Napoleon, — ale jakiś pociąg magnetyczny, jakiś dar działania na wyobraźnię, właściwy tylko ludziom, którzy naprawdę poetyczni są. Urok ten mężczyzn, jak i wdzięk wielu kobiet, może być szkodliwym, niebezpiecznym, na złe użytym; wszystko to prawda, ale gdzie on jest, tam musi być jakiś promień poezji w osobistości, która go wywiera.

Otóż z kreacjami wyobraźni jest podobnie. Jeżeli one nie bawią tylko lub śmieszą, ale się podobają tak, że chciałoby się je lubić, że się do nich czuje sympatję, jak do żywych ludzi, że każde ich uczucie lub wrażenie odbija się podobnem w naszem własnem sercu, że kiedy im dobrze, to nam miło, a kiedy im smutno, to myśmy płakać gotowi: wtedy rzecz niezawodna, w tych kreacjach jest poezja.

W komedji, prawda, jest takich bardzo mało, zwłaszcza mało między kochankami. Te figury, o które właśnie chodzi i które z natury rzeczy w moc swego uczucia i położenia powinnyby być najbardziej zajmujące, - jak na złość, są najczęściej blade, sztywne, mdłe, konwencjonalne i nudne. Gdzie jest w komedji, z wyjątkiem naturalnie Szekspira i z wyjątkiem Musseta, para kochanków tak ładna, jak Gustaw i Aniela? Nie u Moljera, ani Beaumarchais'go. Figaro i Zuzanna 8) mają daleko więcej dowcipu, niż Gustaw i Aniela, ale żeby samą swoją miłością tylko tak zajmowali i tak się podobali, to nie. Alcest i Celimena 9) całą swoją wartość i cały swój wdzięk niepospolity zresztą biorą stąd właśnie, że nie są parą zakochanych. Miłość prosta, wzajemna, poczciwa, szczęśliwa, któraby bez przeszkód i perypetyj szła prosto do ołtarza, a zdołała sobą tak zająć, tak całą sztukę zapełnić,

to istotnie w komedjach trafiać się nie zwykło, a postaci, podobnych do Gustawa i Anieli, takich ładnych typów młodości i miłości wogóle niewiele jest w literaturze. Nieledwie łatwiej o takie w życiu, jak w sztuce. Dziewczyna miła i urocza, sympatyczny chłopiec, to na świecie, dzięki Bogu, spotyka się dość częstc. Ale w utworach wyobraźni bohater, który jest tylko dobrym, miłym chłopcem i niczem więcej, bohaterka taka sama, oboje zwyczajni, a przecież poetyczni, to bardzo rzadkie, i, w naszej literaturze przynajmniej, drugą taką parę kochanków, zupełnie inną, ale, jak ta, pełną wdzięku w codziennej zwyczajności natury i położenia, spotkać można tylko wysoko ponad komedją, tak wysoko, że już wyżej niema nic w naszej poezji, w Panu Tadeuszu.

A więc nie pytajmy, dlaczego nam się Śluby tak podobają: to cała a przynajmniej główna przyczyna. Są inne, pomniejsze, jest doskonały i zabawny Radost, jest śliczna Klara; ale to wszystko nie byłoby zrobiło ze Ślubów najulubieńszej ze wszystkich komedyj polskich, gdyby nie było podniesione poetycznym wdziękiem Anieli i Gustawa.

Wujaszek, matka, starzy przyjaciele, ułożyli projekt małżeński, sprowadzili kawalera, żeby pannę zobaczył. Kawaler, dzieciak jeszcze wielki, pomimo swoich lat dwudziestu czterech lub pięciu, ma się trochę za Cezara i myśli, że dość mu będzie przyjść i pokazać się, żeby zwyciężyć. Panna widzi to dobrze, oburza się, przyjmuje jego i jego starania z niezmienną, a co więcej nawet, przez jakiś czas z nieudaną obojętnością. Młodzieniec, tem zdziwiony, zaczyna na nią uważać, zadawać sobie pracę, nadarmo. Zdziwiony coraz bardziej, upiera się przy swojem, musi zwyciężyć, nie przez upór i miłość własną tylko, ale już i przez coś więcej. Już on poznał, że to głowa, co myśli, wyobraźnia, która ma swoje marzenia, wola, która ma swoje żądania. Poznał, że ta, którą uważał za tuzinkową istotę, to nie lalka, ale dusza, i kocha. A ona, kiedy usłyszała słowa prawdziwego uczucia, choć nie do siebie niby zwrócone, uwierzyła i zaczęła kochać także. Otó cała ich historja najprostsza, najzwyczajniejsza na świecie. Ale jak ładna, z jakim wdziękiem, z jaką znajomością ludzkich uczuć, z jakiem delikatnem cieniowaniem przeprowadza autor swoich bohaterów od obojętności, lekceważącej z jednej strony, podejrzewającej ze strony drugiej, aż do miłości! Ta gra uczuć, to ich stopniowanie, ta walka miłości i woli męskiej z kobiecą stanowi właściwą treść i największy powab sztuki.

Czy są w niej błędy? Bardzo małe. Ekspozycja jest nieco za długa, skoro intryga zawiązuje się dopiero w końcu drugiego aktu (sc. VII, monolog Gustawa): ale któż się spostrzeże, że jest tak, kto ma czas i uwagę o tem myśleć, patrząc na Gustawa, wracającego z nocnej wyprawy, na uroczyste śluby panien, na desperacje Radosta, albo słuchając wzajemnych przytyków Gustawa i Klary. Podstęp Gustawa, podstawa w całej dalszej akcji, niedość może wyraźnie oznaczony w kilku wierszach monologu, które, w graniu zwłaszcza, łatwo mogłyby ujść uwagi widza. Zakończenie znowu idzie może za prędko nawspak zawiązaniu, które postępuje zbyt pomału; w piątym akcie zmierza wszystko do końca przyśpieszonym pę-

dem, i byłoby może lepiej, żeby eksplikacja Radosta z panią Dobrójską np. odbywała się na scenie, albo żeby scena ostatnia trwała cokolwiek dłużej, była więcej rozwiniętą: ale to rzeczy małe; a zresztą co tam wytknąć można? Chyba jakieś drobne zaniedbania w wierszach. Nie mógł np. Gustaw powiedzieć Anieli, że go od ułożonego związku "mniej zamiar, więcej wstręt oddala": tego nigdy mężczyzna kobiecie nie powie, nawet kiedy do niej wstręt czuje, cóż dopiero... Zastąpić to wyrażenie innem lepszem byłoby bardzo łatwo, tylko autor nie uważał, nie zastanowił się. Oto podobno wszystkie grzechy Ślubów, z dodaniem jednego jeszcze, ale ten jest większy. Kontrast czułego Albina z trzpiotem Gustawem, prawo przeciwieństw, mocą którego lgną do siebie natury najbardziej odległe (Albin do Klary), wymyślone jest dobrze. Ale w wykonaniu Albin jest chybiony. Sentymentalność jego jest tak przesadzoną, tak śmieszną, że z nią on ani Klarze, ani żadnej innej podobać się nie mógł. Tymczasem autor chciał czego innego, chciał, żeby Albin Klarę gniewał, karcił, niecierpliwił, a przecież, na złość jej woli i naturze, żeby ją pociągał, żeby to prześladowanie, to niemiłosierne znęcanie się nad nim było z jej strony zemstą za to, że mimo jej woli mógł i śmiał jej się podobać. Sytuacja taka byłaby śliczna, ale z takim Albinem nie jest prawdopodobna. Mężczyzna, który prawi ciągle o swoich łzach i chce od kochanki, żeby z nim "kwiliła", jest za śmieszny, i przekonany o zbrodnię mazgajstwa 10), która podług kobiecego kodeksu nigdy darowaną być nie może, skazany będzie na śmierć w stanie kawalerskim. Wprawdzie Klara idzie za niego niby ze strachu tylko, ale kiedy strach minął, ona się nie cofa; widać, że pod strachem była i ochota: mówi zresztą wyraźnie, że "kochać go musi". To należało usprawiedliwić, a usprawiedliwić było można, tylko robiąc Albina mniej śmiesznym i dając mu choć trochę tego sympatycznego wdzięku, jaki autor zlał tak na Gustawa, Anielę i Klarę.

Ci troje są nieporównani. Klara ze swoim ostrym językiem, zawsze gotowa do odpowiedzi, dzielna w ataku, nieustraszona w odparciu, a nawet kiedy jest zmuszona do odwrotu, cofająca się w porządku, kiedy kapituluje, to ze wszystkiemi honorami; Klara,

> Co rzadko spocząć, rzadziej milczeć zdoła,
> Sprzeczna z układu, z natury wesoła,

jest z familji wielkiej Beatrice z Much ado about nothing 11), a jej wojna na dowcip z Gustawem przypomina wojnę tamtej z Benedyktem. Że Fredro nie znał Beatrice, to można przypuszczać napewno. Znajomość Szekspira właściwie ledwo się u nas zaczynała, kiedy on pisał Śluby, ograniczała się do kilku co najwięcej sztuk najsławniejszych; nie zdaje się zresztą, żeby nasz autor z wielkiem zamiłowaniem czytywał był Szekspira. Ale że te dwa charaktery są podobne, to pewna, i to najpochlebniejsza pochwała, jaką Klarze oddać można. Zbliżyć się do takiej kreacji, jak Beatrice, nie znając jej, mieć tyle fantazji, tyle dowcipu, tyle życia, żeby aż do niej być podobną, w niczem jej nie naśladując: to sztuka, której można powinszować autorowi i jego kreacji.

O "Ślubach panieńskich".

Od pierwszej chwili, kiedy się zjawia na scenie, jak fajerwerk wesołości i dowcipu, nie podupada, nie słabnie nigdy: zabawna, kiedy naucza Anielę, że

Do przyszłości duch każdej przykuty,
Żyje dla nieba, kocha dla pokuty,

pusta, kiedy powtarza, co "babunia jej śpiewała", nielitościwa, kiedy drwi z Gustawa, paradna, kiedy zgorszona i oburzona woła: "I jakże ma być porządek na świecie", kiedy mężczyźni chcą rządzić; najładniejsza jest dopiero wtedy, kiedy się łasi Gustawowi, szuka Albina, Radostowi depcze po nogach, a Anieli tłumaczy, że jedna powinna złamać śluby, żeby choć druga mogła ich dotrzymać. Klara w kłopotach, w strachu, Klara pobita, tak przewyższa samą siebie, że każdy, ktoby taką spotkał, mógłby sobie mówić: "aj, strach! trzymaj się, Albinie!"

Która z nich ładniejsza? Klara ze swoim charakterem śmiałym i ze swoim świetnym dowcipem na pierwszy rzut oka olśni bardziej, zrobi więcej efektu. Była też zapewne łatwiejsza do odmalowania, Aniela spokojniejsza, poważniejsza, uważająca na każde swoje słowo, nie ma tak błyszczącego pozoru. A jako trudność: co może być trudniejszego, jak stworzyć taki typ panny, jak być powinna, a nie zrobić jej ani pedantką, ani trusią ze spuszczonemi oczyma i zasznurowanemi ustami, ani zbyt naiwną, ani sztywnie godną, tylko właśnie w każdem słowie, w każdym ruchu taką, jaką być powinna, taką, jaką każdyby chciał, żeby była jego siostra albo córka. Aniela jest w całem znaczeniu słowa porządna panna; Klara także jest bardzo porządna, ale jest trochę kozak: Aniela jest bez restrykcji 12) i zupełnie taka, jak potrzeba. Ale dlatego właśnie, że nie ma żadnych dodatków, że ma postawę tak spokojną i cichą, na pierwszy rzut oka przy Klarze może się wydać indywidualnością cokolwiek bierną i blady, mogła była nawet taką być, gdyby nie jej wdzięk kobiecy; gdyby nie to uczucie, które w niej rośnie, a wyraża się tak mimowolnie a tak ładnie; gdyby nie ta ciekawość urocza, z jaką ona o miłości myśli, gdyby nie te naiwności cudowne, które czasem jej sekret zdradzają, gdyby nie ta godność prosta i nieświadomość siebie, z jaką ona odczuwa pierwsze oświadczenie Gustawa; gdyby nie zdziwienie nieprzyjemne, z jakiem się dowiaduje, że to miłość ku innej osobie; gdyby nie ten popęd serca tak młody, tak dziewczęcy, tak łatwowierny, za którym idąc, chce pomagać w tej sprawie; gdyby nie to, że na propozycję Gustawa odpowiada nawet nie oburzona, tylko zdziwiona: "co, takie listy jabym pisać miała?" i gdyby nie to, że ten list pisze, i gdyby nie to, że go przed matką chowa... Ange par l'amour, enfant par la foi, femme par le coeur et poete par les reves c'est une polonaise 13) - mówi francuski autor; możnaby dodać: to Aniela, i jedno byłoby prawdą, jak drugie, bo z pewnością jest ona jednym z najwierniejszych i najładniejszych typów polskiego dziewczęcia, z którego kiedyś zrobi się kobieta, homme par le cerveau, vieillard par l'expérience, czasem i démon par la fantaisie, ale częściej: géant par l'esperance et mère par la douleur 14).

A ten list i scena, która go poprzedza (akt IV), co za prześliczny duet miłosny! Już to Aniela to imię szczęśliwe w naszej poezji, a Aniele mają w niej szczególne jeszcze szczęście do listów. Bohaterka Beniowskiego pisze z głowy najpiękniejszy, jaki być może 15); ta pisze pod dyktowaniem tylko, i nie pisze nawet, ledwie go zaczyna, ale jaką ma scenę! Jest i komedja w tej scenie, i to komedja najwyższa, najwykwintniejsza, jak być może, np., kiedy Gustaw, zawoławszy w uniesieniu: "kocham cię nad życie", miarkuje się i dodaje: "pisz z łaski swojej", a biedna Aniela, która już była zapomniała, że to nie do niej, pyta smutno, co ma pisać dalej. Ale co za wdzięk komedji, co za wdzięk poetyczny, co za śpiew miłości, kiedy Gustaw uczy Anielę wymawiać ten wyraz, którego Wallenrod nauczył Aldonę, albo, kiedy wpaja w nią wiarę, że "są dusze dla siebie stworzone", albo, kiedy maluje to, co,

Kiedy polot myśli
Obraz nam szczęścia czasami zakreśli,

staje zawsze na pierwszem miejscu w tym obrazie 16). Mężczyzna mówi tem śmielej, tem goręcej; kobieta tem śmielej słucha, że niby o innej: on szczęśliwy tę chwilę obecną odbywa, jak żeby 17) próbę szczęścia przyszłego, kiedy jej wprost będzie mógł powtórzyć to samo, czuje razem rozkosz, którą ma, i przeczucie tej, której się spodziewa; u niej dusza się otwiera, jak kwiat pod promieniem słońca, pod wrażeniem tych słów, których nie byłaby chciała słuchać, gdyby były do niej wprost wymierzone. Jak ślicznie wyglądają: ona z piórem w ręku, on schylony nad jej głową, mówiący rzeczy, których ona do siebie nie bierze, i korzystający z tego, że ona nie widzi, żeby na nią patrzeć z rozczuleniem, z uniesieniem. Z wyjątkiem Musseta niema nigdzie ładniejszej sceny miłosnej w komedji. A Gustaw? Gustaw jest najmilszy trzpiot i najładniejszy kochanek w polskim teatrze (nie mówi się naturalnie o poważnych bohaterach dramatów Słowackiego). Filut, pieszczoch, zepsute dziecko ze stryjaszkiem, fanfaron z pannami, jak długo nie kocha; od chwili, kiedy kochać zaczął, zmienia się, dojrzewa, i z miłego fircyka robi się mężczyzna, który chce i wie, czego chce, i czuje swoją siłę. Wesołości, dowcipu, żywości nie traci, ale nabiera takiej pewności siebie, takiej równowagi, takiej wyższości wobec Anieli i Klary, że żadna już nie śmie z niego żartować, że jedna go kocha, a druga, co dziwniejsza, słucha, choć nie kocha. Wyszedł na człowieka w przeciągu tych kilku godzin. A z jaką wymową, z jaką siłą umie "wycisnąć swoich uczuć piętno" na sercu Anieli, jak umie i rozkochać i być zakochanym, jaki jest przytem mądry w postępowaniu z Anielą, jaki dowcipny z Klarą, jaką ma filuterję i kokieterję z Radostem: nie dziw, że wie, co to magnetyzm, bo działa magnetycznie na wszystko, co się do niego zbliży, - od Anieli aż do czytelnika.

Gdyby Albin, w swoim rodzaju sentymentalnym, miał choć cokolwiek tego wdzięku, jaki ma w swoim Gustaw, i był tak do niego dobraną parą, jak jest Klara dla Anieli, Śluby panieńskie byłyby doskonałością. Albin, choć bardzo zabawny, choć się go lubi takim, jak jest, - jest achillesową piętą

sztuki. Ale Achilles, pomimo pięty, był pierwszym z Greków, Śluby, pomimo tego, co im zarzucić można, są pierwszą z polskich komedyj. A komedja, która przy bardzo dobrej budowie, przy prostej, ale bardzo żywej i doskonale prowadzonej akcji, przy humorze najweselszym i najświetniejszym dowcipie, ma charaktery skreślone z wielką psychologiczną prawdą: taka komedja spełniła swoje zadanie; odpowiedziała wszystkiemu, czego od niej żądać można. A jeżeli nadto ma coś więcej jeszcze, jeżeli jej postacie są wiernemi a pięknemi typami natury tego narodu, do którego należą; jeżeli w powszedniości swojego położenia i mierze przeciętnej swoich natur mają niezwyczajny urok poetyczny; jeżeli każda z nich jest nie wielkim i patetycznym, ale wdzięcznym i sympatycznym ideałem: wtedy komedja daje już więcej, niż winna, dotrzymuje więcej, niż obiecuje, wtedy wkracza już w sferę poezji i przestaje być ładną lub bardzo ładną, co zwykle bywa ostatnim kresem jej ambicji i możności, a ma prawo nazywać się - piękną.

---

1) Z dziełka "Komedje Aleksandra hr. Fredry" (trzy odczyty publiczne, wygłoszone w Warszawie w r. 1876).

2) Mowa o sytuacjach i osobach z komedyj Szekspira "Burza" i "Sen nocy letniej".

3) Sytuacja z "Kupca weneckiego" Szekspira.

4) Polihymnja to muza poezji lirycznej, gdy Talja - muza komedji.

5) Mowa o bohaterach komedyj znakomitego francuskiego poety romantycznego Musseta.

6) Sheridan - angielski autor dramatyczny z końca w. XVIII, Sardou - komedjopisarz francuski drugiej połowy w. XIX.

7) Sławnej komedji Beaumarchais'go (druga połowa XVIII w.).

8) Z "Wesela Figara".

9) Z moljerowskiego "Mizantropa".

10) T. j. skoro mu dowiedziono tę zbrodnię.

11) "Wiele hałasu o nic" - komedja Szekspira; Beatrice i Benedykt - jej bohaterowie.

12) Bez zastrzeżeń.

13) Anioł w miłości, prawa jak dziecko, sercem kobieta, a poeta w marzeniach - to Polka.

14) O męskim rozumie, o doświadczeniu starca..., z wyobraźnią demona..., mocna, jak olbrzym, nadzieją, wielka w cierpieniu, jak matka.

15) "Beniowski", pieśń IV, w.289-376; o liście tym pisze sam poeta, że "w niebo rwał i w piekło spychał".

16) T.j. kiedy maluje miłość (akt IV,sc.III,w.148-166).

17) Zamiast "jakgdyby"(indywidualna osobliwość stylu Tarnowskiego).

J U L J A N K L A C Z K O (1 8 2 3 - 1 9 0 6).

Z książki "Rzym i Odrodzenie" 1).

P o d s k l e p i e n i e m k a p l i c y S y k s t y ń s k i e j 2).

"Dzięki postawie, w jakiej maluję, dostałem już wola, a brzuch mój brody dotyka. Im wyżej wznoszę ją ku niebu, tem więcej mózg mój opuszcza się ku ramionom, a pędzel kapiący zrobił z mej twarzy pyszną różnobarwną mozaikę. Nogi już mi w żołądek weszły, a oczy nie widzą, dokąd kierują kroki. Mój umysł wydaje sądy fałszywe i dziwaczne: zgięta strzelba nie trafi do celu... Brońże, przyjacielu, mego talentu i hono - ru, gdyż oba zwiędły. Już wytrzymać w tem miejscu nie mogę - nie moją rzeczą jest malarstwo". Taki sonet komiczno -po- sępny posłał Michał-Anioł do Jana da Pistoia w chwili znie- chęcenia i złego humoru; a wiele chwil takich przeżył pod sklepieniem Sykstyny... Źle ustawione rusztowanie malarz czem prędzej zrzucić kazał i zastąpić budową niezmiernie mą- drze obmyślaną. "Zbudował most rozmiarów samej kaplicy, na tej estradzie ustawił kilka wież ruchomych różnych wymia - rów, które pozwalały mu dosięgnąć sklepienia w każdem miej- scu, a sklepienie to miało nierówną wysokość. Ponieważ okna znajdowały się pod mostem, musiał obmyślić sposób, aby świa- tło do niego dochodziło; musiał też znaleźć sposób łatwego zdjęcia desek, aby móc zdołu oceniać swą pracę" 3). Zaledwie rozłożył się w swej napowietrznej pracowni (październik 1508 r.), już chciał wszystko porzucić - jakaś pleśń szcze- gólna pokryła pierwszy szkic, malowany na sklepieniu - i są- dził, że wszystko stracone. Pobiegł do papieża: "Wasza Świą- tobliwość widzi, że nie jestem malarzem". Papież wysłał na- tychmiast na miejsce budowniczego da San Gallo, który prze- konał się z łatwością, że wilgoć nadzwyczajna świeżo otynko- wanego muru była jedyną przyczyną złego. Może z tego powodu Buonarotti znienawidził swoich pomocników, frescanti toskań- skich 4).

Sprowadził sobie bowiem do Rzymu całą grupę artystów florenckich, mniej lub więcej znanych: Granacciego, z któ- rym od dzieciństwa był w przyjaźni, Bugiardiniego, Jacopo di Sandro, Indaco, Agnolo di Donino, Aristotila, i zawarł z nimi formalną umowę: mieli mu pomagać w malowaniu murów, w robocie, którą przedsięwziął. Wielka naiwność towarzyszy nieraz wielkim genjuszom. Michał-Anioł naiwnym był bezwąt- pienia, sądząc, że jego sztuka lub charakter zniosą jakich- kolwiek współpracowników. Pewnego dnia (styczeń 1509 r.) frescanti znaleźli drzwi od kaplicy zamknięte, jak również mieszkanie malarza: pomyśleli tedy, że najlepiej zrobią, gdy powrócą do Florencji.

Mistrz wyrzekł się odtąd wszelkiej pomocy: przywiązał się do swego dzieła z tą mieszaniną zapału i zniechęcenia, które nadają tak ciekawy i wzruszający charakter tej epoce jego życia. Zaczyna od końca, od Potopu, i maluje w kieru- nku odwrotnym od tego, w którym oglądamy jego malowidła:

idzie od wschodu ku zachodowi, od wejścia do ołtarza. Maluje sekcjami, szerokiemi pasami, które jednocześnie obejmują część sufitu i pochyłości bocznych. W miarę posuwania się roboty artysta nabiera swobody i śmiałości aż do rozpętania: postaci dekoracyjne obszernej kompozycji, początkowo symetryczne, w miarę spokojne, później drgają ruchem, wstrząśnieniem gwałtownym. —

Po trzech latach pracy zawziętej, gorączkowej, o czem świadczy sonet pisany do Jana da Pistoia oraz listy do rodziny wysyłane, sklepienie właściwe było prawie skończone, pozostały tylko lunety i trójkąty (Przodkowie Chrystusa) 5). Wtedy właśnie katastrofa bolońska 6) przywiodła papieża Juljusza II zpowrotem do Rzymu, po dziesięciu miesiącach nieobecności w tem mieście. Wczorajsze klęski i groźne niebezpieczeństwa nie przeszkodziły papieżowi do natychmiastowego zajęcia się sprawami artystycznemi. Pozował więc Rafaelowi do ostatniego fresku w Komnacie della Segnatura, której wspaniałości pragnął pokazać światu.

A gdyby pokazać też światu Sykstynę? Część jej przynajmniej... przez kilka dni jedynie... z okazji jakiejś wielkiej uroczystości religijnej?...

Znając usposobienie Michała-Anioła, dziwić się można, że ustąpił fantazji papieża, że kazał rozebrać ów "most", potrzebny jeszcze do dalszej pracy. Może nie śmiał odmówić papieżowi, którego los tak doświadczał w tej chwili, który zdawał się być bliskim zgonu; może też do tej powolności przyczyniła się chętka zaćmienia Rafaela i jego Komnaty. Dość, że dnia 15 sierpnia 1511 r. Paris de Grassis mógł zanotować, co następuje: "Wigilja i Święto Wniebowzięcia N. M. P.: Papież zapragnął wysłuchać nieszporów i mszy świętej w wielkiej kaplicy palatyńskiej. Jest to kaplica pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. P., papież przybył tu z nabożności, a także dla obejrzenia malowidła, świeżo odsłoniętego"... Przez dni następne cały Rzym tłoczył się do kaplicy palatyńskiej (t. j. Sykstyńskiej).

Przypuszczam, że zwiedzających musiało odrazu uderzać w tem olbrzymiem dziele zastosowanie postaci ludzkich do celów tak wielorakich i różnorodnych. Świat Michała-Anioła znał tylko jedno panowanie człowieka, wykluczające wszystkie inne królestwa natury. Człowiek pochłaniał i zastępował tu wszystkie zjawiska wszechświata. Niema tu nigdzie ani nieba, ani widnokręgu, ani krajobrazu, ani pomnika architektonicznego; nic, tylko postać ludzka wszelkiej barwy: ciała, bronzu, marmuru i ze wszelkiemi wyrazami, tu jako wcielenie idej najbardziej trascedentalnych 7), tam jako prosty motyw podstawy, lub motyw ornamentacji i arabeski. Człowiek-Bóg w Jehowie, człowieg-Duch w Prorokach i Sybillach, człowiek-bohater w osobach biblijnych, człowiek-roślina w kolosach pełzających i wspinających się wzdłuż okien, człowiek-kamień w putti jednobarwnych, w pacholętach-karjatydach, człowiek-krokształtyn w ignudi, zapomocą girland i szarf podtrzymujących olbrzymie medaljony 8). Postać ludzka była zawsze dla Buonarottiego kształtem absolutnym, jedynym środkiem do wyrażenia wszystkiego i w każdej okoliczności.

Niemniej nadzwyczajnem wydawać się musiało staranne unikanie ogółu typów, symbolów, emblematów, konwencjonalizmów sztuki chrześcijańskiej - takich, jakie rozwinęły się przez długie wieki pod ręką tylu znakomitych mistrzów. Michał-Anioł maluje aniołów bez skrzydeł, świętych bez aureoli, Boga-Ojca bez korony i kuli ziemskiej. Rzuca draperje fantastyczne, niepodobne do kostjumu idealnego lub ubrania realistycznego szkół dawnych. Michał-Anioł odrzucał wielkie dziedzictwo przeszłości, nie istniał, zda się, dla niego drogocenny skarbiec wierzeń, legend i pomysłów, zgromadzony w ciągu wieków; jego natchnienia, jego modele przekraczały zakres znany jego poprzednikom, brał je z nieznanych mglistych sfer, dając początek sztuce, która wyzywała wszystkie przyjęte zwyczaje, wszystkie uświęcone tradycje.

Sztuka to szczególna, dumna, arbitralna, wyłączająca zupełnie piękność, wdzięk, miłe wrażenie, dbała jedynie o kolosalność, patos, nagość! Przez zamiłowanie do nagości nie dał wieńca z liści figowych parze wygnanej z Raju; kolosalność stała się tu udziałem nietylko proroków i bohaterów, lecz także postaci drugorzędnych, nawet czysto dekoracyjnych. Mały wogóle istnieje związek między postawą, gestami patetycznemi osób a ich charakterem lub czynnością. Skąd np. ten gniew na twarzy Ezechjela, lub ten skręt gwałtowny, niemożliwy prawie w Sybilli libijskiej?9) Skąd to napięcie, te kontorsje u młodzieńców herkulesowej postawy - ignudi, skoro wysilali się jedynie na niesienie wieńca? Mantegna 10), Rafael użyliby tutaj wdzięcznych genjuszków; malarz starożytny dałby piękną kobietę długowłosą... Putti (pacholęta) podtrzymują olbrzymie architrawy marmurowe, atleci unoszą wieńce z kwiatów? 11) czyż nie było to wyzwanie, rzucone ogólnemu porządkowi rzeczy? A draperja, która tak rzadko modeluje się na kształtach ciała, na jego ruchach, na tej samej postaci nadęta i ściśnięta: miejscami ściśle przylega, miejscami jest jakby wiatrem porwana! Większość tych olbrzymów w tak dziwnych postawach utrzymać się mogła w równowadze dzięki jedynie najśmielszej fikcji; każdy z nich, gdyby wstał i krok postąpił, zatrząsłby światem, rozsadził ramy natury!

Dla widza niema tu zresztą żadnych uwzględnień: artysta nie dba o wrażenie ogólne, o skrócenia perspektywiczne, chociaż malowidło zawieszone tak wysoko, choć w wielu miejscach nie można go dojrzeć gołem okiem. Natomiast widzimy tu pysszne, choć dziwaczne urozmaicenie powierzchni zapomocą symulowanej architektury i dekoracji fantazyjnej, lecz jedna i druga mogły tylko powiększyć już i tak wielki zamęt zmysłów. Sceny historyczne na sklepieniu rozwijały się poziomo w nierównej skali, rozdzielone łukami nieznanej świątyni, ozdobione polichromją drgających posągów. W monotonnej serji wnęk stały na pochyłości sklepienia kolosy odosobnione, a karjatydy w postaci rozbawionych dzieciaków tworzyły najdziwaczniejszy kontrast z obrzeżeniem ciężkiem, masywnem, które spoczywało na ich barkach. Jakaż to wreszcie olbrzymia wystawa kształtów ludzkich, jakaż obfitość tych putti i ignudi, jakież lekceważenie złotego prawidła starożytności, że należy siać ręką, nie workiem!

Nie możnaby się było dziwić tym, którzy zwiedzali kaplicę w 1511 r., gdyby, porównywając dzieło Michała-Anioła z Komnatami Rafaela, nie odczuli jego piękności, gdyby nawet przyjęto je okrzykiem oburzenia. Lecz powstał jedynie okrzyk zachwytu, a Rafael był jednym z pierwszych czcicieli. Oznajmił, iż składa dzięki Stwórcy, że żyje jednocześnie z Michałem-Aniołem, i poszedł jego śladem, malując drugą Komnatę. Bo też była w tem nieśmiertelnem dziele potęga nieprzeparta. Bo każdy rozumiał instynktownie, że daremnie byłoby przykładać miarę do niezmierzonego i pytać o przyczynę końcową - Nieskończoności. Bo z wysokości tego sklepienia, niby z drugiego krzaku gorejącego, Duch-genjusz twórczy - odzywał się głosem grzmotu!

Dla poprzedników Michała-Anioła Stary Testament był przedewszystkiem wdzięcznym zbiorem bajek cudownych, których treść tak urozmaicona, naiwna, a czasem tak świecka, pozwalała odpocząć po wielkiej epopei ewangelicznej, jej scenach posępnych i wzruszających.

Nieśmiertelny uczeń Perugina 12) (około 1519 roku) streści w tym kierunku, jak w tylu innych, pracę dawnych mistrzów, wysiłki wieków minionych i da im wyraz najwyższej harmonji. Cała serja zachwycających idyll, wyjętych ze Starego Testamentu, pięćdziesiąt obrazów pełnych wdzięku, świeżości, wytworności - taką będzie znakomita dekoracja, zwana Biblją Rafaela w loggii drugiego piętra Watykanu 13). Wręcz odmienna jest Biblja Buonarottiego w kaplicy Sykstyńskiej. Odrzucił idyllę i zastąpił ją dramatem religijnym, ogromnem misterjum, ożywionem palącem tchnieniem Savonaroli. Misterjum obejmuje niebo i ziemię, daje jakby w skróceniu historję świętą, całą serję scen-wizyj - od pierwszego dnia stworzenia do wcielenia Słowa - od Jehowy do Jezusa...

Pierwszy dzień świata dał artyście natchnienie do obrazu nieporównanej śmiałości, bo cóż śmielszego nad pomysł oddania próżni i uwidocznienia ciemni nicości?... "Temat przenosi nas w czasy przedstworzenia 14). Świat jeszcze nie istnieje. Co mówię? - jeszcze nie istnieje ani czas, ani przestrzeń. Z głębi ciemnej, matowej, niby z mgły gęstej, wynurza się postać przepyszna, jakby zalękniona, jakby zadziwiona swą samotnością. Głowa, biust, ramię - oto wszystko. To Bóg, który wynurzył się z chaosu, wyjrzał z głębi nieskończoności, przebył fale milczenia, wypływa teraz na powierzchnię nocy, patrzy i za chwilę wypowie: Fiat lux".

Obraz następny przedstawia nam Boga Stwórcę. Wznosi ramiona i dwa "ciała świecące błyszczą na widnokręgu",dłoń opuszcza i oto ziemia pokrywa się zieloną trawą, drzewami owocowemi. Bóg jest obecny i daleki jednocześnie: w jednym i tym samym fresku widzimy Go zprzodu i zboku; na prawo ukazuje się w pełni i wyrazistości kształtów mistrzowskich, a na lewo znika nam w gwałtownym skurczu wielkiego wiru. Nawet orszak aniołów cofa się olśniony, zmieszany tym nagłym wybuchem wszechmocy Bożej. Takim jest Jehowa w oczach proroków hebrajskich. "Jehowa to burza grzmiąca, wybuch nawałnicy, ogień, który pali, wiatr, który przechodzi". Ale

jest on też Słowem, które później postara się objaśnić Faust Goethego. "Słowo? prędzej myśl, lepiej potęga, lub jeszcze lepiej: czyn". Myśl, potęga, wola - wszystko to czytamy w tej przepysznej postaci: sztuka nie zdołała stworzyć majestatyczniejszego obrazu Ojca wiecznego. Chęć bierze zastosować do niej wyrazy, wypowiedziane przez starożytnego autora o Jowiszu Fidjasza: "którego piękność zda się zwiększać pobożność ludu, tak majestat dzieła dorównywa majestatowi Boga"...15). Tylko u Fidjasza ten Bóg, według starożytnych, był upostaciowaniem pogody i spokoju; u Michała-Anioła jest ruchem i czynem.

Jest też dobrocią, nie zapominajmy o tem; widzimy to najwyraźniej w trzecim, ostatnim obrazie, w którym patrzy On na dzieło skończone i błogosławi je, benedixitque dicens: Crescite et multiplicamini...16). Idzie ku nam z głębi widnokręgu, przechodzi zwolna w przestrzeni ze wzrokiem spuszczonym ku ziemi, z rękoma szeroko rozwartemi. Jest to zawsze typ Jehowy, z głową potężną, czołem przeciętem zmarszczką poprzeczną, głęboką, którą widzimy również na słynnej masce z Otricoli, lecz tu rysy jakby złagodniały pod wpływem miłosierdzia rozlanego na twarzy, przez którą, zda się, prześwieca płomień hojności 17). Aniołowie, tak wzruszeni, niespokojni w poprzednich obrazach, płyną teraz spokojnie, pogodnie pod ochroną Stwórcy, niby pod olbrzymim żaglem okrętu. Ani jednej chmury na niebie, ani jednej zmarszczki na widnokręgu; uważny wszechświat wstrzymał oddech, by lepiej usłyszeć słowo miłości i łaski. Andante słodkie i melodyjne kończy symfonję Stworzenia, której dwie pierwsze części przejęte są ruchem tak ognistym, tak potężnym 18).

Tutaj zaznaczyć trzeba, że dziewięć obrazów sufitu - cztery większe i pięć mniejszych - tworzy trzy oddzielne grupy, trzy kompozycje obszerne, trójdzielne: Stworzenie Świata, Raj, Potop. Jest to trylogja w tryptykach, a kolejno idące po sobie krótkie i długie panneaux ożywiają niby rytmem muzykalnym cały ten szereg malowideł zaczerpniętych z ksiąg Genezy 19).

Słowo jeszcze o aniołach towarzyszących Jehowie, które odnajdziemy też w otoczeniu Proroków i Sybill. Nie przypominają wcale posłów nadziemskich o szerokich skrzydłach, długich szatach, pendzla Giotta lub Giovanni da Fiesole; nie mają też nic wspólnego z "dzieciakami przestworza" Rafaela lub Tycjana. Bez skrzydeł, bez draperji, mają członki silne, wyraz twarzy prawie zawsze poważny, a nieraz surowy. - -

Drugi tryptyk stropu ukazuje nam Boga przywołującego do życia człowieka, którego z gliny urobił. Et inspiravit in faciem eius spiraculum vitae, mówi Biblja 20). Dla artystów średniowiecznych jednym z najtrudniejszych problematów było owo "tchnienie życia". W mozaice, w przedsionku św. Marka w Wenecji, Bóg zawiesza na szyi Adama skrzydlatą Psychę nagą i niezaprzecznie klasyczną 21); w Monreale 22) promień świetlany wychodzi z ust Przedwiecznego i dotyka ust naszego wspólnego protoplasty. Artyści włoscy z wieku czternastego i piętnastego, mniej naiwni, nie znają już

tych śmiałości dziecięcych i trzymają się motywów dość bladych, mglistych, które stają się wkońcu formułą konwencjonalną. W dzwonnicy Giotta 23), w słynnych portalach Jacopo della Quercia i Ghibertiego 24), we freskach Pietro di Puccio na cmentarzu w Pizie i u Paola Ucello we florenckim Chiostro verde 25), Bóg lekko pochylony nad bezwładnem ciałem Adama, ma go ożywić błogosławiącym ruchem lub też dotknięciem ręki; na malowidle cmentarza pizańskiego chwyta nawet obie ręce swego tworu, jakgdyby chciał go podnieść i silnie na nogach postawić. W tej to epoce nieśmiałego, a już tradycyjnego traktowania tego trudnego przedmiotu zajaśniał wielki pomysł Michała-Anioła niezrównanej oryginalności i potęgi. Z wysokości nieba, otoczony rojem aniołów-widzów chciwych wielkiego aktu, schodzi Jehowa do syna ziemi, jakby kołysany powiewem łagodnym, rytmicznym; jego ramię wyciągnięte ożywia i przyciąga magnetycznie członki Adama, a palec wskazujący użycza mu iskierki życia... Sztuka nie zna, nie pozna może nigdy cudowniejszego natchnienia. Wyraz elektryczność wymówiono już nieraz, widząc niby prąd, wywołany zetknięciem końców dwóch palców; pytano się nawet, czy rozegzaltowane objawienie artysty nie wyprzedziło o parę stuleci wiedzy Galvaniego i Volty. Może byłoby bardziej na miejscu przypomnieć tu sobie hymn kościelny, niezmiernie dawny; artysta znał go bezwątpienia:

Veni, creator Spiritus,
Dextrae Dei tu digitus,
Accende lumen sensibus!... 26)

Co nas jednak najwięcej zadziwia, co nas porusza w tem dziele, to ów ton bolesny, który je przenika, ów smutek gnębiący, który do duszy spływa. Powaga, troska cechują postać Przedwiecznego, rysy jego wyrażają litość tajemniczą, współczucie tajone, lecz silne! Wie, niestety! przez jakie próby, przez jakie nędze przejdzie glina, którą ożywił; a człowiek - i on także ma gorzkie przeczucie... W chwili magicznego przebudzenia niema radości w synu ziemi, żaden płomień nie świeci w oczach otwartych po raz pierwszy: w ruchu widnieje prędzej boleść, w członkach zgnębienie, we wzroku tępym jakby niema wymówka. Ciało oparte ciężko na lewem ramieniu, prawa noga boleśnie skurczona. Adam Michała-Anioła ma tę postawę, którą artysta raz jeszcze powtórzy w Jutrzence w mauzoleum Medyceuszów, tak znużoną, tak przejmującą bólem, że zdaje się, iż protoplasta rodu ludzkiego ma w duszy okrzyk Hioba: "Czemu dałeś światłość nędzarzom? Czemu dałeś światłość człowiekowi, którego droga skryta jest, a którego otoczyłeś ciemnościami?" Ponury, rozpaczny podkład genjuszu Buonarottiego występuje może najsilniej w tem nieśmiertelnem dziele.

Ciekawy kontrast w tej tragedji naszego pochodzenia daje kobieta Ewa, która odczuwa radość życia i za nie składa dzięki Bogu. Wytryska z ciała Adama zachwycona i zachwycająca. Jej silne członki, ciało jaśniejące świeżością i zdrowiem, włosy spływające po plecach i piersi - cała postać uosabia siłę i piękność wieków pierwotnych. Nie jest to tylko piękna dziewczyna, lecz, jak słusznie zauważono, "prababka wspaniale zbudowana dla miłości i macierzyństwa,

pierwsza małżonka i pierwsza matka".

Tem więcej wzrusza jej postawa pokorna, wdzięczna i uwielbiająca Stwórcę, Jehowę, który w tej chwili jest przedewszystkiem ojcem. Sam jest teraz, znikł orszak aniołów, stoi obok syna ziemi uśpionego i towarzyszki, którą mu dał przed chwilą; gestem spokojnym, życzliwym zda się pouczać Ewę o pobycie w Edenie...

Pomiędzy patetycznemi scenami stworzenia Adama i jego upadku obraz stworzenia Ewy sprawia poniekąd wrażenie idylli i daje nam niby przelotny rzut oka na raj tak szybko utracony. Utracony przez winę kobiety, przez winę tej Ewy, pięknej, lecz złowróżbnej! W Biblji i na obrazach Masolina, Masaccia, Rafaela wina to naiwna, grzech prostej ciekawości. "Widząc tedy niewiasta, iż dobre było drzewo ku jedzeniu, a wdzięczne na wejrzeniu, a pożądliwe dla nabycia umiejętności, wzięła z owocu jego i jadła; dała też i mężowi swemu, który z nią był, i on też jadł". Michał-Anioł rozszerzył opowieść, pogłębił i przyciemnił obraz z wolą wyraźną, prawie okrutną, powiedzmy prawdę: z nienawiścią do kobiet.

Pod drzewem wiadomości, po którem wije się wąż kusiciel, przysiadła Ewa gorączkowo poruszona. Jej ciało nie ma już dziewiczego blasku pierwszego dnia - spaliło ją palące tchnienie żądzy, usta ma zaciśnięte, wzrok szczególnie ostry. Przed chwilą namówiła męża, który, stojąc poza nią, przygina gałąź, aby pochwycić owoc zakazany, lecz jednocześnie gad szatański cichaczem podsuwa niewieście ten owoc i ona chwyta go ukradkiem. Scena grzechu pierworodnego, przedstawiona w sposób tak niezwykły (o ile wiem, nawet jedynie tu spotkany), wykazuje widoczną chęć zwiększenia winy kobiety, zaznaczenia jej porozumienia się ze złem, z szatanem, a dalszy ciąg obrazu daje nam to poznać jeszcze wyraźniej. Ów dalszy ciąg to straszne wygnanie: Adam, mimo wszystko, ma postawę pełną godności, dumy - postawę spioruno - wanego Tytana; jego towarzyszka, schylona, z ręką zanurzoną we włosach, ze spojrzeniem ukośnem, niepewnem, idzie obok niego krokiem chwiejnym, trochę kocim. --

Trzeci tryptyk i ostatni różni się od dwóch poprzednich proporcją postaci, ich stosunkiem uderzającej małości; trudno temu przeczyć, że nagła zmiana skali na sporej części sklepienia źle odbija od całości dzieła. - -

Pomimo drobniejszych rozmiarów fresk Potopu jest niemniej pomysłem mistrzowskim, w grupach tak rozmaitych, tak dramatycznych. Otworzyły się upusty niebieskie: "każde żywe jestestwo umrze, wszystko, co jest na ziemi, będzie zniszczone". Na wyżynach, zagrożonych jednocześnie przez wody, zgóry spadające, przez fale, które wznoszą się coraz wyżej, mnóstwo istot obłąkanych z przerażenia szuka schronienia, które jest tylko mirażem zwodniczym.

Na lewo widać wybrzeże jałowe, które wkrótce zaleje woda, a przy niem tratwę, na którą rzucają się nieszczęśni różnej płci i wszelkiego wieku. Jakiś młodzieniec czepia się rozpaczliwie pnia drzewa, którem już wicher silnie potrząsa; przepyszna para ludzi, spleciona uściskiem konwul-

syjnym, zdaje się patrzeć z zazdrością na szczęśliwego posiadacza drzewa; ku niemu również bieży matka z małem dzieciątkiem na ręku, które nieświadome uśmiecha się niewinnie, drugie, starsze dziecko otacza biodra matki drżącemi rękoma. Inna matka upadła na ziemię bez sił, bez myśli; nie patrzy nawet na malca, który płacze boleśnie, stojąc za nią. Piękny, silny mężczyzna stara się wydostać na suchą ziemię; niesie na barkach żonę, zahipnotyzowaną, zda się, widokiem bałwanów, które ścigają ich, wściekłe, nieubłagane, pędząc przed sobą tłum, obarczony worami, naczyniami i narzędziami: biedni ludzie, którzy wśród tego kataklizmu pragną jeszcze uratować swoje nędzne mienie!

Na prawo stoi skała, o którą bije morze, i tu rozgrywają się sceny niemniej tragiczne. Główną uwagę zwraca grupa złożona z czterech osób: starzec z długą białą brodą i młoda obok niego kobieta wyciągają rozpaczliwie ramiona ku człowiekowi, walczącemu odważnie z falami, wydzierającemi mu jego ciężar drogocenny. Człowiek zdołał wyratować młodzieniaszka, lecz wyratowany jest już trupem, a obojętność, apatja osób, które schroniły się również na skałę, zatopione we własnej niedoli, podnosi jeszcze tragizm widoku. Najstraszniejsze wrażenie sprawia jednak epizod w środkowej części obrazu na drugim planie. Tu nieszczęśliwi schronili się na łódkę; lada chwila zatopi ją rozszalały żywioł, a oni odpychają z całych sił nieszczęsnych,którzy próbują przyczepić się do łodzi, z wściekłością rzucają się na intruzów, biją ich, chwytają ich za gardła, jakaś kobieta uderza w nich olbrzymią głownią - krwawem światłem wybucha tu egoizm dziki zagrożonego życia, brutalność instynktu samozachowawczego. Reszta obrazu odpowiada tym epizodom: wszystko mówi o klęsce niezmierzonej, o wszechziemskiem zniszczeniu. Tylko w górze, w głębi, ponad łodzią piekelną, rysuje się bezkształtna masa na tle nieba przerzniętego długiemi błyskawicami - to Arka. W niej zapowiedź odrodzenia świata, lecz ta kolebka nowego życia daje wrażenie ogromnego grobowca, tyle ponurego nastroju, tyle tajemniczości w widmie korabia, "oblanego wewnątrz i zewnątrz smołą". Ale jest jeden punkt świetlany niby srebrzysta gwiazda: gołąb z rozpostartemi skrzydłami. Jest-że to posłannik Noego czy gołąb św. Ducha?

VII

-Jak pan sądzisz - zapytał mnie pewnego dnia w kaplicy Sykstyńskiej pan M., sekretarz ambasady, znany w całym Rzymie z dowcipu i z paradoksów - czy Michał-Anioł miał słuszność, dając tu początek plafonu z malowidłami historycznemi, które torturują zarówno artystów, jak i publiczność? -Niech mówią, co chcą, od dzieła sztuki wymagam przedewszystkiem, abym mógł patrzeć na nie bez cierpień fizycznych, a konia z rzędem dam temu, kto potrafi używać widoku tych plafonów i kopuł bez bólu w stawach. W Galerji Rospigliosi zdobyto się przynajmniej na lustro pod freskiem Guida. Pomysł to dziwaczny może, lecz miłosierny, nie potrzebujemy przynajmniej patrzeć wgórę. Gdyby mnie zaszczycono tytułem mistrza

ceremonji Jego Świątobliwości, kazałbym położyć na posadzce olbrzymie doskonałe zwierciadło, co uwolniłoby nas od śmieszności noszenia w ręku podłużnego lusterka lub zadzierania brody wyżej nosa, aby pochwycić wzrokiem disjecta membra gigantomachji 27), rozwieszonej nad naszemi głowami. Ileż razy w tej kaplicy powtarzałem wiersz tegoż Buonarottiego do Jana da Pistoia: I'ho già fatto gozzo in questo stento!..28)

Istotnie, zgodzić się na to trzeba: sufit Sykstyny, jak zresztą każdy plafon, pokryty wielkiemi scenami historycznemi, ma w sobie coś wymuszonego, sztucznego, co staje w sprzeczności z warunkami normalnemi, ze słusznemi wymaganiami oka ludzkiego. Malowidła z Genezy powinny właściwie stać na poziomie widza; z mimowolnem niezadowoleniem widzimy je ułożone poziomo nad naszemi głowami na bajecznej wysokości. Widz musi przybrać postawę bardzo nużącą i uciążliwą, musi przytem posługiwać się ciągle lornetką niezawsze wystarczającą, przytem minie kilka godzin, zanim zdoła rozpatrzyć się w scenach dramatu o "stu różnych aktach", dodam- o stu urozmaiceniach; mam tu na myśli część dekoracyjną, która tyle miejsca zabiera w dziele Buonarottiego i gmatwa je w sposób szczególny.

Ciało ludzkie jest jedynym motywem tej dekoracji, co stanowi jej wielką oryginalność. Niema tu wcale tych rysunków branych z geometrji, z roślinności, tych arabesek, grotesków, które w malowidłach dawnych mistrzów pozwalały odpocząć oku i na plan pierwszy wydobywały główny temat. Na miejscu tych "ozdób zwyczajnych", jak je trochę lekceważąco nazywa Michał-Anioł w liście do Fattucciego, mamy tu szeregi nieprzerwane obrzeżeń, karjatyd, posągów koloru bronzu, ciał en grissaille 29), obiegających trójkąty okien, niby wijące się rośliny. Na dwunastu płytach zaśniedziałego bronzu mamy dwadzieścia cztery kolosy en camaïeu 30). Potem czterdzieści putti, skupionych parami, podtrzymuje, zamiast karjatyd, pilastry wnęków, w których umieszczeni są Prorocy i Sybille. Wyżej zaś dwudziestu młodzieńców nagich -sławnych ignudi- trzyma w ręku wieńce z liści dębowych (drzewo Roverów)31) z wielkiemi medaljonami z bronzu. Nakoniec dziesięć putti barwnych umieszczono jeszcze na dole między lunetami okien; one to podtrzymują napisy. Wszystkie obrzeżenia, karjatydy, posągi wykonane są z mistrzostwem nieporównanem, szczególniej w nagich młodzieńcach ciało ludzkie posiada piękno, blask nieznany od czasów Lisippa i Praksytelesa 32). Ignudi uosabiają wybornie życie w całym jego rozkwicie, młodość w całej krasie i świeżości! A jednak i na ich czole jest piętno smutku i boleści, piętno nieodłączne od Buonarottiego.

Prześliczne są te postaci dekoracyjne; niemniej przyznać trzeba, że głuszą sceny historyczne plafonu. Uwaga rozstrzela się, przechodząc od ram do treści obrazu, i nie może zatrzymać się na jakimś stałym punkcie. Czyż zresztą istotnie widzimy ramy przed sobą? W miarę zbliżania się naszego do wielkiego ołtarza, putti i ignudi zdają się ożywać i poruszać niespokojnie. Widz staje zmieszany, niepewny, zapytując się, czy te prześliczne pacholęta, przepyszni młodzieńcy mają tylko znaczenie ornamentacyjne? Czy nie biorą

udziału w akcji dramatu? - - Dla przeciętnego widza ta mnogość posągów ożywionych i karjatyd ruchliwych staje się wirem nieopisanym...

Lecz jakiem prawem żądamy od Michała-Anioła, aby nam zdał rachunek ze swego dzieła? Jak Jehowa, jest tem, czem jest - stworzył swój świat we wszechpotędze swej woli niezgłębionej. My powinniśmy schylić czoło i "położyć rękę na ustach", jak to czynił Hiob szalony, gdy chciał dysputę wieść z Bogiem.

"Któż to jest, co zaciemnia radę Bożą mowami nierozropnemi? 33) Gdzieżeś był, kiedym ja zakładał grunty ziemi? Któż uczynił rozmierzenie jej, albo kto sznur nad nią rozciągnął? Izażeś przyszedł aż do źródeł morskich, a po dnie przepaści przechodziłeś się? Azaż odkryte są tobie bramy śmierci, bramy cienia śmierci widziałeś? Izali wywiedziesz gwiazdy południowe czasu swego, albo Wóz niebieski z gwiazdami jego powiedziesz? Izali możesz wypuścić błyskawice, aby przyszły i rzekłyć: Otośmy!"

Tak powiedział Pan Hiobowi z wichru. Zatem odpowiedział Hiob i rzekł: "Otom ja lichy, cóż ci mam odpowiedzieć? Rękę moją położę na usta moje. Mówiłem raz i drugi, ale więcej nie odpowiem i nic więcej nie przydam".

---

1) Oryginał francuski (1893); przekład polski Antoniny Morzkowskiej.
2) W skróceniu.
3) Heath Wilson, Life of Michel-Angelo, str.119 (p.a.).
4) Frescanti - po włosku = malarze fresków.
5) Lunety - półkoliste płaszczyzny nad oknami; trójkąty -powyżej lunet (na załączonej reprodukcji trójkąty są widoczne, lunety - niewidoczne); między trójkątami - sławne postacie Proroków i Sybill.
6) T. j. utráta Bolonji, którą był przedtem zdobył papież.
7) Tu tyle co nadzmysłowych.
8) Prorocy i Sybille - postacie siedzące, umieszczone pomiędzy bocznemi trójkątnemi obrazami (zob. reprodukcję): z obu stron każdej z nich - po parze pacholąt (putti); nad niemi, po czterech rogach każdego z głównych obrazów, niby krokszty ny (t. j. wsporniki, tramy wystające z muru) -nadzy młodzieńcy (ignudi). Karjatyda - posąg podtrzymujący belkowanie.
9) Prorok Ezechjel - to (zob. na reprodukcji) trzecia od lewej strony siedząca postać na dole, poniżej Stworzenia Ewy; Sybilla libijska to pierwsza od prawej strony postać na górze, ponad Pierwszym Dniem Stworzenia Świata.
10) Jeden z poprzedników Michała-Anioła w malarstwie.
11) Architrawy - belki poprzeczne; tu -(zob.reprodukcję) właściwie olbrzymie gzymsy, na których umieszczone są siedziska owych atletycznych ignudi z girlandami i szarfami.
12) Rafael.
13) Loggia - odkryty z jednego boku krużganek.
14) Emil Montegut, Philosophie de la Sixtine (Revue des

Deux Mondes z 15 lutego 1870 r.) (p. a.).
15) Quintilianus, Institutio oratoria, XII,10 (p. a.)
16) I błogosławił, mówiąc: Wzrastajcie i rozmnażajcie się.
17) Mowa o popiersiu antycznem Jowisza, znalezionem w Otricoli pod Rzymem.
18) Andante (w muzyce) - spokojnie, powolnie.
19) Panneau - malowidło ścienne. Tryptyk - trzy zespolone obrazy.
20) "I natchnął w oblicze jego duch żywota". (Wujek).
21) Psyche = dusza.
22) Na Sycylji.
23) Przy katedrze florenckiej.
24) T. j. na płaskorzeźbach ich dłóta, zdobiących poddwoje Baptisterium florenckiego.
25) W "Zielonym klasztorze", przy kościele S. Maria Novella.
26) Przybądź, Duchu stworzycielu, Ty, coś jest palcem prawicy bożej, zażegnij zmysłom światłość!
27) Rozrzucone człony walki olbrzymów.
28) Dorobiłem się już wola w tej udręce!
29) W tonie szarym.
30) W jednej barwie.
31) Herb rodu, z którego pochodził papież Juljusz.
32) Rzeźbiarze starożytnej Grecji.
33) Hiob roz. XXXVIII w. 1-5, roz. XXXIX w. 32-35 (p.a.).

JÓZEF SZUJSKI (1835 - 1883).

Z Pism politycznych.

Dawna rzeczpospolita a jej pogrobowce.
(Prelekcja, 1871).

Są wypadki w dziejach ludzkości i narodów, które zdają się przepaścią oddzielać przeszłość od przyszłości, historyczne wczoraj od dzisiaj historycznego. Mogą być one najrozmaitszej natury. Mogą to być wielkie kataklizmy polityczne, sprowadzone obcą przemocą, mogą być wielkie wstrząśnienia społeczne, w których zwycięska idea gruchocze ręką potężną zabytki przeszłości, zrywa z nią i od siebie nowy świat rozpocząć pragnie.

Takim wielkim wypadkiem była np. rewolucja francuska 1789. Francuzi sami, mówi trafnie A. Toqueville.2), czynili wszelkie możliwe wysilenia, aby się tą rewolucją odciąć od przeszłości, aby z tej epoki nie wziąć nic w nową, o nowych ideach epokę. Do dziś dnia, tak dla wielu Francuzów, jak dla wielu ludzi innej narodowości wogóle, jest rewolucja francuska ową rogatką, poza którą całą przeszłość ludzkości jako zakazany i szkodliwy towar zostawić należy. Pomimo tego,

twierdzi Toqueville, mniej się to Francuzom udało, niż się spodziewali. Cały tom swego gruntownego dzieła poświęca on wykazaniu, co ze starej Francji do nowej przeszło, wykazaniu, że przeszło wiele złego, a wiele dobrego pozostało. Nie wdając się dalej w ten przedmiot, tylko dla przykładu tu przytoczony, wspomnimy tylko jedno, że ową centralizację monarchiczną, doprowadzoną do zenitu w słowie l'état c'est moi 2), przeniosła epoka porewolucyjna z osoby króla na stolicę swoją, i że odtąd, niezawodnie na szkodę Francji, Paryż mógł to hasło o sobie powiedzieć.

Czem dla Francji była rewolucja 1789, tem dla nas były dwa wypadki: jeden chlubę nam przynoszący, drugi boleści narodowej nieustanną przyczyną będący: reforma 3 maja i podział rzeczypospolitej. W reformie 3 maja usiłował szlachecki naród przez zacnych i cnotliwych reprezentantów swoich, z poświęceniem i zaparciem się siebie, w dziejach bezprzykładnem, odciąć się od burzliwej i anarchicznej rzeczypospolitej, którą opieką zdradziecką osłaniała Rosja; usiłował wysileniem wielkiem obalić mądremi i zbawiennemi ustawami to wszystko, co jego niemocy i hańby przyczyną się stawało. Pragnął sprawić przełom wewnętrzny w samym sobie, a jeżeli spółcześnie szlachcic francuski, wśród notablów i w pierwszych états généraux zasiadający, przyznawał wieśniakowi prawa człowieka i określał 3) wszechwładne l'état c'est moi królewskie, to szlachcic polski, zasiadający na sejmie czteroletnim, był może jeszcze szlachetniejszym, bo wracając też prawa człowieka, określał spółcześnie wszechwładzę własną, wypotęgowaną do liberum veto - przywróceniem powagi władzy monarchicznej.

Niestety, jak zacnemu Ludwikowi XVI nie pomogły szczytne zasady zgromadzenia narodowego, tak rzeczypospolitej nie pomogła ustawa 3 maja. Na szafocie ruchu rewolucyjnego padła głowa króla z bożej łaski - a spółcześnie prawie Prusy i Rosja poćwiartowały rzeczpospolitą drugim podziałem.

Jak mocarstwa rozbiorowe dokładały starań, ażeby żywot części podzielonych odciąć od wspomnień dawnej rzeczypospolitej, jak od króla, umierającego na komornem w Petersburgu, aż do ubogiego podsędka lub wojskiego jednym zamachem zapadło wszystko w wielki grób znicestwienia politycznego, jak wśród głuszy śmiertelnej, której już nie rozrywał gwar sejmików, sądów, trybunałów, konfederacji, zabrzmiała obca mowa obcych administratorów na tej ziemi, jakich użyto środków, abyśmy zapomnieli, czem byli ojcowie nasi, -mówić nie będziemy, bo nie to jest przedmiotem dzisiejszej pogadanki historycznej. Wiemy wszyscy, że udało się wiele, bardzo wiele, aby podbój mechaniczny uczynić podbojem de facto; wiemy, jak uszczuplono granice nasze, wiemy, na ilu to punktach ponieśliśmy porażki to od wyższej cywilizacji zachodnich sąsiadów, to od eksterminacyjnej gwałtowności wschodu: ale wiemy także, że w nędzy i upadku, w zamęcie politycznym i społecznym, pozostała, a nawet udzieliła się większej masie pamięć tego, czem byliśmy.

Musimy także wyróżnić dzisiejsze przedstawienie nasze od tego, co zwykle jako odrodzenie pojmowano. Mógłby nas

łatwo spotkać zarzut, że podejmujemy robotę niepotrzebną - bo oto daleko już wyszliśmy w wyobrażeniach naszych poza konstytucję trzeciego maja, bo potępiliśmy w teorji anarchję rzeczypospolitej i rządy szlacheckie, bo żyjemy w epoce, gdzie lud już uwłaszczono, czego nie uczyniła konstytucja 3 maja. Musimy zatem powiedzieć, że konstytucji 3 maja nie bierzemy tutaj jako zbiór takich lub owakich artykułów, nie wchodzimy w jej braki wobec dzisiejszych wyobrażeń politycznych i społecznych: ale bierzemy ją jako fakt, jako czyn dźwignięcia się z wieloletniego złego, jako czyn, który stanowił epokę w moralnem, ale nie stworzył już nowego porządku rzeczy w politycznem życiu narodu, bo temu podział przeszkodził. Właśnie dlatego, że temu podział przeszkodził, że nie było narodowi danem wprowadzić w życie rzeczywiste wielkiego faktu dźwignięcia się, nie może być jego historia dalsza braną ze stanowiska politycznego, ale ze stanowiska moralnego: nie ze stanowiska teorji, które wprowadzał, ale praktyki, którą potrafił stworzyć w narodzie.

To stawia kwestję dzisiejszą na zupełnie innym gruncie. Podnosząc kilka powszechnie znanych i uznanych przyczyn upadku rzeczypospolitej, przyczyn nie w instytucjach samych, ale w usposobieniu narodu spoczywających, będziemy się starali zwrócić uwagę na analogiczne objawy w dzisiejszem życiu. Objawy te brać będziemy z życia, któremu rozwijać się wolno, z epok historji naszej porozbiorowej, w których nadanie wolności konstytucyjnych lub zwolnienie ucisku pozwalały społeczeństwu okazać, o ile się zmieniło, o ile ogranicznem się stało lub nie stało, o ile się odbiło od dawnej anarchji lub nie. Gdzie żelazna ręka despotyzmu gniecie, społeczeństwo odpornie się koncentruje, tam jej diagnozy czynić nie można: wolność jest tym probierzem, który sądzić dozwala o sile społeczeństw, o ich dojrzałości do samodzielnego bytu.

Inne dzisiaj pytanie zajmować nas będzie, a tem jest: o ile ów testament umierającej rzeczypospolitej, konstytucja 3 maja, stała się zaporą dla złego, które doprowadziło do podziału; o ile udało się nam w życiu naszem porozbiorowem utrzymać i wzmocnić dzieło odrodzenia z dawnych błędów, o ile umieliśmy być ekspiatorami win naszych ojców bez uronienia kapitału dobrego, który nam przekazali. Pytanie obszerne, wyczerpać się niedające; musimy zatem szczerze wyznać, że chcemy tylko potrącić myśli światłego zgromadzenia w kierunku, który nam się nadzwyczaj zbawiennym wydaje.

Otóż jedną z najpowszechniej uznanych wad dawnej rzeczypospolitej jest jej bezrząd, anarchja. Nie pochodziła ona z braku organów rządu, nie pochodziła z braku instytucji sprawiedliwości - owszem pochlubić się możemy w teorji, że nie mieliśmy biurokracji, a mieliśmy urzędników, opatrzonych szerokiemi atrybucjami doraźnej władzy; mieliśmy piękną instytucję sądów wybieralnych, wyrobioną na najpiękniejszych zasadach; mieliśmy cały poczet dygnitarzy i urzędników, którzy gdyby byli funkcjonowali, nie byłoby bezrządu. Bezrząd nasz zatem nie był winą instytucji, ale był winą zatracenia pojęcia rządu i władzy, winą upadku poszanowania prawa w narodzie. Na tę utratę pojęcia rządu i poszanowania

prawa składały się długie wieki, przyczyniła się zaś niezawodnie wadliwość politycznych urządzeń. Naród szlachecki, zdobywszy sobie od czasów wolnej elekcji pełność praw, u - dzielność w całem słowa tego znaczeniu, pozostawił w ręce królewskiej rozdawnictwo urzędów i królewszczyzn, niebaczny, że przez to funkcje rządowe, funkcje egzekucji uczynił narzędziem politycznem w ręku króla. Król, odarty z władzy, chwycił się tego jedynego środka, aby ją odzyskać; naród, powierzając je królowi w nadziei, że łatwiej u króla jak u samego siebie dosłużyć się nagrody i chleba, odrazu najistotniejszym funkcjom społeczeństwa, rządowi, ufność swoją wypowiedział. Najszkodliwsza rzecz, jaka się w państwie stać może, jest podanie na wolę politycznej walki sprawiedliwości, porządku i bezpieczeństwa. To stało się w Polsce. Król nie pytał starosty, co on umie, ale co on myśli; szlachta nie pytała, co on robić powinien, ale co on znaczy. Urzędnik wobec dworu jak i narodu tracił swoją konieczną neutralność, a że naród był silniejszym, stał się bojaźliwym wobec niego lub jego możnych. Prawo gięło się i kurczyło wedle tego, do kogo zastosowanem być miało. P. Łaszcz chodził w płaszczu podbitym banicjami, a p. Wołodkowicz, gdy P a n i e K o c h a n k u marszałkował trybunałowi litewskiemu, pozwał p. Przeździeckiego o zgubiony w jego dobrach kańczug i rękawicę 4).

Dalekie to rzeczy, o których dzisiaj słuchamy jak o dziwach. A przecież zajrzyjmy we własną pierś, w tajniki usposobienia naszego, czy co bardziej zachwianem ujrzymy, jak pojęcie rządu, pojęcie o jego warunkach i potrzebie? Czy nie pozostał nam wstręt do wszystkiego, co się urzędowem nazywa? a nie mówimy tu o władzach rządu, pod którym jesteśmy, ale o tych, na których utworzenie sami wpływamy. Czy nie pojmujemy naszych instytucyj autonomicznych zbyt często jako obowiązanych przedewszystkiem do zwolnienia rygoru prawa, podczas gdy powinniśmy od nich żądać najskrupulatniejszego onegoż wykonania, i okazywać im najsumienniejsze posłuszeństwo dlatego, że są naszemi? Czy nie sądzimy ich z punktu widzenia czysto politycznego? Czy nie pytamy raczej, co on myśli, jak co on umie - co on znaczy, jak co on robi? Czyli politycznego charakteru nie uważamy za jedyną kwalifikację? Czy nie głęboko wrodzonem jest u nas przeświadczenie, że podołamy wszystkiemu z kilkoma teoretycznemi ogólnikami w głowie, że byle być dobrej wedle nas opinji, to żaden portfel 5) nie jest zbyt trudnym? "Nie święci garnki lepią" jest niedarmo polskiem przysłowiem; a polskie prowincje, wolniej oddychające, ojczyzną owych ubocznych sposobów agitacji i protekcyjek, któremi się ma zastąpić główny warunek: kwalifikację. Czyli kumulacja 6) urzędów, dygnitarstw, nie jest dotąd naszą polską chorobą, czyż nie jest chorobą pojmowanie urzędów jako nagrody zasług, nie jako drogi do zasług? Czy inna jest przyczyna tego smutnego a niezaprzeczonego niestety faktu, że u nas do prawdziwej pracy organicznej dotąd nie przyszło? Jeżeli każdemu usiłowaniu, każdej pracy patrzy z nerwową niecierpliwością na ręce myśl polityczna, lub co gorzej, sprzeczne myśli polityczne; jeżeli ta myśl nie pozwala, aby kapłan był przedewszystkiem kapłanem, urzędnik urzędnikiem, nauczy-

ciel nauczycielem; jeżeli jego praca nie jest mierzoną wedle tego, co ona buduje, ale wedle tego, czy ona tem budowaniem stosuje się dokładnie do zakreślonego przez jedno lub drugie stronnictwo polityczne planu; jeżeli wedle tego dopiero doznaje uznania, a w przeciwnym razie zawsze potępienia - jakże spodziewać się, aby wśród społeczeństwa rozdzielonego mogła powstać działalność, której istotą jest właśnie odłączenie od polityki dnia, jest usiłowanie pozostawienia śladów niespożytych na każdą przyszłość i na każdą ewentualność? Nie! niestety, jak rzeczypospolita nie mogła odzyskać utraconego pojęcia rządu, tak my z pominięciem tradycji 3 maja, której towarzyszyły pełne zapału usiłowania około reformy edukacji, około reform społecznych, my nie możemy się zdobyć dotąd na odzyskanie utraconego pojęcia o gospodarstwie narodowem. Wierni zasadzie "starosta albo kapucyn" nie możemy się zdobyć na odzyskanie instynktu rządu naszym małym kapitalikiem, bo jak ojcowie nasi widzieli w rządzie plac walki o zasady polityczne, nie znosili władzy i zgubili rząd, myśląc, że to ich uratuje od despotyzmu, - tak my widzimy w każdej pracy człowieka i pracy społeczeństwa walkę o formę naszego przyszłego bytu, niepomni, że forma się zmienić nie może, jeżeli bytu nie będzie - a byt to praca, zgoda, poradność, oświata, dobrobyt powszechny. I nie doczekamy się tej pracy, póki do tego zawieszenia broni nie przyjdzie; póki każdy ambitny przyszły przywódca polityczny nie będzie ciągnął jak prosty szeregowy wozu publicznego interesu, zagrzęzłego w tem błocie bezpłodnych walk politycznych; dopóki nie zmniejszy się liczba komendantów, a nie powiększy liczba prostych robotników.

Przejdźmy do innej, także powszechnie uznanej przyczyny upadku rzeczypospolitej. Jest nią upadek odwagi cywilnej, tej najpierwszej z cnót, któremi stoją republikańskie organizmy. Przez dwa wieki tak mało jej przykładów, że artykuł ten niezbędny w niesłychanie małej dozie chyba istniał w apteczce naszych ojców. Przez dwa wieki zaledwie kilka nieśmiałych głosów przeciw liberum veto, przez dwa wieki zaledwie jeden szlachcic, miecznik Jabłonowski, który wystąpiwszy przeciw niemu, śmiercią z aprehenzji 7) przypłacił, tak szarpanym był i prześladowanym. A nie było to skutkiem niewiadomości, że liberum veto jest zgubne. Narzeka na nie szlachcic w zagrodzie domowej, śpiewa przeciw niemu Kochowski:

Bóg z niczego świat stworzył, ale i my
Tem słowem "Nie pozwalam" Polskę obalimy.

O Sicińskim chodzą głuche wieści, że go ziemia wyrzuca, żaden z pisarzy nie śmie usprawiedliwiać tych, co chodzą jego torem. A przecież utrzymuje się ta potwora, znajduje chwalców, mistyków politycznych, którzy ją wynoszą, a nie znajduje szeregu ludzi, coby przeciw niej w imię dobra publicznego powstali. Dlaczego? bo nie było odwagi cywilnej, bo liberum veto utrzymywały względy na stronnictwa i ludzi, bo szlachcic, narzekając na nie w domu, milczał na sejmiku, bo pan, gotów sprzymierzyć się z królem na obalenie go drogą uboczną, mienił się publicznie obrońcą złotej wolności. Gdzie zaś niema odwagi cywilnej, tam zaczyna

w społeczeństwie panować fałsz urzędowy, fałsz kłamiący rzeczywistemu położeniu, fałsz, którego pomnikiem są owe szumne mowy posłów, wynoszących pod niebiosa stan rzeczypospolitej, gdy była już zajezdną karczmą wojsk Fryderyka i Rosji, fałsz, któremu świadczą drukowane panegiryki, sfałszowana historja, fałsz, który doprowadza nad kraniec przepaści i wpycha w nią, bo ją zasypuje różami...

Czyliśmy się dzisiaj poprawili pod tym względem? Nie! twierdzę śmiało, że nie. Na odwadze wyznawstwa, na gotowości cierpienia nam nie zbywa, ale to nie odwaga cywilna. Jeżeli galerja gorąco usposobiona, do klaskania gotowe ręce trzymająca, jeżeli dziennikarze, zacinający już pióra do pochwalnego artykułu, patrzą na nas, jakże chętnie puszczamy się w zawód publiczny, jakże chętnie przemawiamy w myśl galerji i w myśl dziennikarzy! Ale jeżeli przyjdzie zgryźć twardy orzech niepopularności, jeżeli przyjdzie wypowiedzieć to, co się w cztery oczy często mówi, wtedy znajdą się trudności, że z opinją trzeba ostrożnie, że dziennikarstwo to siła nie do pogardzenia, że się nie jest bocianem, aby się świat czyściło. I dlatego to i my mamy fałsz urzędowy o naszym stanie i o naszem położeniu, dlatego, ktoby porównał to, czem się mienimy a czem jesteśmy, co chcemy a co możemy, co głosimy a cośmy zrobili, do smutnych przyszedłby rezultatów. O co u nas najtrudniej, to o prawdziwy, spokojny obraz naszego położenia i stanu kraju; czemu się najtrudniej docisnąć na zielony stolik naszej polityki, to owym sprawom piekącym, gwałtownym, których załatwienia domaga się tysiące faktów, tysiące ujemnych stron naszego społeczeństwa, a które nie mogą się zdobyć na wymowne i śmiałe wypowiedzenie: Za pozwoleniem! o nas przedewszystkiem myśleć należy! Stąd też u nas brak dotąd tej zdrowej, spokojnej opinji, przyjmującej z uznaniem rezultat produkcyjnej pracy skądkolwiek; stąd służebnictwo jej frakcjom, które bądźto wywiesiły otwarcie sztandar pewnych teoryj, bądź zgubniejsze i podstępniejsze, ukrywają je pod pokupną etykietą interesów narodowych. Rdzeniem zdrowej opinji publicznej jest cywilna odwaga jednostek; gdzie tej niema, społeczeństwo zatacza się z ostateczności w ostateczność, robi, czego nie chce, mówi, czego nie myśli, dzieje się też z nim to i owo, ale nie jest panem swego położenia.

Wyłączność jednego stanu, stanu szlacheckiego, liczoną bywa między najwalniejsze przyczyny upadku dawnej rzeczypospolitej. W istocie, stan ten, jak był twórcą wielkiej cywilizacyjnej wędrówki na Ruś i Litwę, twórcą federacji, zwycięzcą na tylu polach chwały, jak wyrobione przezeń poczucie się narodowe jest dotąd walną, niepokonaną siłą naszą - tak przez skostnienie i zamknięcie się w granicach własnych, przez podbicie kolejne wszystkich innych, jakoto króla, arystokracji, duchowieństwa, przez wykluczenie i ekonomiczne zniszczenie chłopa i mieszczanina, przez schłopienie kozaka, dojść musiał do tej hipertrofji 8), która sprowadza śmierć: a że rzeczpospolita stała się właściwie jedną szlachecką rodziną, państwo zbiorem interesów szlacheckich, że państwo pochłoniętem zostało przez społeczeństwo, sprowadzić musiała śmierć moralną szlachty - śmierć rzeczy-

pospolitej i państwa. Ta śmierć moralna nastąpiła wtedy, gdy szlachta dosięgła zenitu swoich praw, gdy się uczuła jedną i jedyną, gdy z ruchliwej stała się zachowawczą, z dobijającej się używającą. Równość, wolność, braterstwo to najrzeczywistsze hasła szlachty polskiej, chociaż naturalnie w zakresie kasty. Demokracja to jej hasło, chociaż znowu w zakresie kasty. Czapkuje ona w ostatnich dwóch stuleciach wielkiemu panu, ale dopokąd jej pochlebia, dopokąd jawnie wyznaje, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Kocha i szanuje księdza, ale dopóki jej prawdy nie mówi, jak ksiądz Skarga. Podnosi ona króla, ale dopóki reformy nie chce, choćby najpotrzebniejszej. Szanuje uczonego, ale dopóki jej panegiryki pisze, jak Bieżanowski 9). Słowem, demokracja szlachecka ostatnich dwóch wieków ma wszystkie cechy zniewieściałości i ospałości, właściwie upadającym społecznościom. Nie znosi ona tej naturalnej, koniecznej, wszędzie się objawiającej arystokracji, bez której społeczeństwo umiera, arystokracji ducha, arystokracji rozumu, arystokracji wiedzy. Niwelacja umysłowa jej hasłem, skutkiem nędza w edukacji, w literaturze, w ludziach politycznych. Wychowanie współczesne było u niej dlatego tak niezmiernie popularne, że wypuszczano ze szkół ludzi wedle jednego szablonu, nie mądrzejszych i nie głupszych, jak wszyscy inni. Zagranica dlatego była tak wstrętną, bo budziła ze snu, bo patrzeć kazała. Marja Gonzaga 10) dlatego tak znienawidzoną, bo grupowała około dworu swego nietylko polityczną reformę, ale reformę w gustach i zamiłowaniach. Zdaje się, jakby szlachta, zdobywszy już wszystko, zapragnęła jeszcze jednego, bo pragnąć czegoś koniecznie i człowiek, i społeczeństwo musi, zapragnęła zrównania umysłów do jednego strychulca. Skapryszona przesytem, dawała ona premjum za głupotę, junactwo, burzliwość, nienawidziła i wytrącała rozumnych. Zamordowała nienawiścią swoją Ossolińskiego i Kisiela, wiozła w triumfie na sejm przeciwnika ich barbarzyńcę, który oczy kozakom wyłupywać kazał, ale pił, jadł i kochał się z bracią szlachtą, a mówił: Calamitas patriae una lamentatio Jeremiae 11) - Jeremiego Wiśniowieckiego. Nie chciała Kondeusza i wołała: Non est cum Deo, qui est cum Condeo 12), nienawidziła mądrego Prażmowskiego 13), a wybierając króla po abdykacji Jana Kazimierza, mniemała, że ją duch święty natchnął, gdy obrała najbiedniejszego z biednych, ks. M. Wiśniowieckiego! Zaledwie Sobieski z niepopularnego stał się popularnym, jużci zabito go nienawiścią i niewdzięcznością, gdy rządzić zamyślał. August, o dziwo, król, który się z postronnymi układał o rozdrapanie Polski - był kochanym przez szlachtę, bo - bo łamał podkowy i pił wybornie! Leszczyński chłodną tylko wykształconych posiadał sympatję - Poniatowskiemu uczoność szkodziła niezmiernie - Czarto - ryscy znienawidzeni, bo statyści 14) - Panie Kochanku, starosta Kaniowski 15) -popularni bohaterowie.- Czyliż trzeba więcej przykładów! Te wystarczą, aby wykazać, że gdzie demokracja przechodzi aż w namiętność niwelacji umysłowej, gdzie tak się staje zazdrośną i bojaźliwą o siebie, iż niepokoi ją nawet wiedza, drażni do namiętności nawet wyższość umysłowa, gdzie kamienuje się prawdę i rozum, gdzie wynagradza się i zaufaniem otacza głupotę i przewrotność: tam

ludzie, choćby zdolni, nie pomogą - tam wszystko stracone. Zamazała też w Polsce robotę rozumu nie zdrada, bo zdrada nie znajdzie wspólników w mądrem społeczeństwie - ale głupota bez granic, która oddawała się nadziei, że wolną rzeczpospolitą oszczędzać będą ci, co dotąd szanowali ją jako dojrzewającą do zguby!

Na szlachtę dzisiaj od lat czterdziestu bij-zabij! Za kilka lat po przeprowadzeniu różnych emancypacyj potrzeba będzie pomyśleć o emancypacji tych nieszczęśliwych istot, których ojcowie mieli przywilej szlachectwa; dać im np. certyfikat, że za upadek rzeczypospolitej nie będą odpowiadali. Mamy tymczasem, nie ubliżając w niczem powszechnie znanym demokratycznym zasadom, pewien rodzaj demokracji, podobniuteńki do tej antedyluwjalnej 16) szlacheckiej ze szkół jezuickich, i bodaj czy nie mamy - będę się starał dowieść - żyłki niwelacyjnej w społeczeństwie. A naprzód, aby iść koleją, czy nie uważamy, że u nas w bardzo wielu sferach społecznych jedynem marzeniem jest przestać być tem, czem się na pożytek społeczeństwa jest, a zacząć być tem, na co się codziennie gada, t. j. czemś nakształt szlachcica. Pańskość jest jedynem owych sfer marzeniem. Dążenie to zaczyna się od przekupek Szczepańskiego placu 17), które się obrażają, gdy się im nie mówi: Pani! Zaczyna się od włościanina, który usamowolniony, na gruntach właściciela większego pracować i doli swej poprawić nie chce, a ciągnie się przez resztę społeczeństwa. Poczucia godności własnego stanu w społeczeństwie mało, każdy jest na wylocie do "państwa". Jakże wybornie chwycił tę słabość społeczeństwa naszego mieczyc w Chłopach arystokratach, a Bałucki w Polowaniu na męża! 18) Nie jest ona małej wagi, bo dopóki tego poczucia nie będzie, będzie ciągle fałszywy apetyt - będzie pogardzona szlachecka pańskość jedynem Eldorado społecznem, a tarcie i kwas społeczny nie ustaną 19).

Ale niedosyć na tem. Narzekamy, że nie mamy ludzi, że u nas ludziom ostać się nie dają, że postawieni dzisiaj fetysze jutro dostają pałką i gruchocą się w kawałki. Dla - czego? Zdolności u nas nie brak, czasy ciasnoty szlacheckiej oświaty minęły, otworem stoją szkoły, uniwersytet, zawód publiczny, życie parlamentarne. Znaleźliby się ludzie, ale ludziom brak społeczeństwa, jak ptakowi powietrza. Zdrowe społeczeństwa z figurantów robią ludzi, chore z ludzi figurantów. Zdrowe umieją użyć każdego, chore nie dadzą nikomu nic zrobić. Bo zdrowe społeczeństwa ciążą wagą opinji publicznej na usługach swoich, zostają z nimi w ustawicznym związku, wymieniają uczucia i myśli; chorym dosyć, aby ktoś stanął dzisiaj, aby jutro stać się względem niego podejrzliwym, pojutrze potępić i zmieszać z błotem.

Tak jest, szlachty już dzisiaj niema, szlachectwo jest żółtą łatką na plecach, jaką żydzi na znak podejrzenia i niechęci społeczeństwa nosili; ale grasuje w społeczeństwie demokracja fałszywa rzeczypospolitej i jej duch niwelacyjny. Mniejsza już o to, że razi arystokracja imienia, razi tak często, tak wyraźnie arystokracja ducha. Jest pewne zaklęte koło, które przeszedłszy, staje się człowiek podejrzanym, dumnym, arystokratą, mniejsza o to, czy on szlachcic czy

nie; a dostaje człowiek ten nieszczęśliwy epitet, nie za to, że przestał być demokratą, nie za to, że przestał kochać społeczeństwo, ale za to, że przestał być zrozumiałym komuś, który go zrozumieć nie może lub nie chce, którego myśli inną biegną koleją.

Stąd bezwładność ludzi, stąd bezpłodność ich pracy, stąd koterje i koteryjki, stąd koła wzajemnej admiracji, stąd brak dyskusji, starcia zdań, a natomiast kłótnia i kwas w społeczeństwie. Każdy czuje się powołany do sądzenia wszystkiego i wszystkich, nie chcąc szanować nikogo, nie chcąc zaufać nikomu. Nikt nie chce dowiedzieć się od nikogo o niczem, ale chce sądzić wszystko, nie znając rzeczy, nie wysłuchawszy stanu sprawy. Każdy się uprzedza, nikt wyrozumieć nie chce. Nikt nie chce przypuścić, aby praca, doświadczenie, miłość kraju, dowodnie stwierdzona, dawała komu prawo do przywództwa; veto! bo mnie tam niema. Nikt nie chce przypuścić, aby umiarkowańsze zdanie nie było dowodem chłodu serca, aby zimniejsze zapatrywanie się na rzeczy zmieścić się mogło przy równem cieple miłości. Z tem,co się ma, ze zdaniem nieudolnem, niewyrobionem, idzie się bić i depopularyzować zdanie wytrawne i poważne, bo dla czegoż do licha zdanie nie ma być lepszem, kiedy serce pełne patrjotyzmu! Myśli inaczej, to nie czuje jak ja:nie mogę go rozumieć, nie chcę go! Jest to najstraszniejszy rak naszego społeczeństwa, najstraszliwszy spadek po dawnej rzeczypospolitej.

W takim stanie rzeczy, wobec dążenia demokracji szlacheckiej do niwelacji umysłowej, jeden tylko środek wiódł do opanowania umysłów: demagogja. Jest to ostatni stopień życia rzeczypospolitych, które przyprowadza do tyranji lub rozbicia. Gdzie rzeczpospolita nie pozwoli się ostać arystokracji ducha, rozumu, cnoty, gdzie cześcią nie otacza tych, którzy niemi celują, ale ich kamienuje, gdzie się w ludziach swoich nie czuje, tam powstaje panowanie złej wiary, tam ludzie, dążący do władzy, muszą mówić inaczej, jak myślą, aby uczynić to, czego chcą. Kto nie chce ani arystokracji rodu, ani arystokracji ducha, musi mieć arystokrację popularności. Musi dać panować nad sobą tym, którzy chodzą w jego szacie, którzy mówią, co on mówi, walczą, za co on walczyć pragnie, którzy mu służą - podobnie jak niedołęga i egoista, który, odepchnąwszy rodzinę, staje się ofiarą pochlebcy. W Polsce stało się to, jak się stało w Atenach; po Peryklesach nastąpiły herbowe Kleony, szczujące szlachtę na króla, na władzę, prowadzące własną politykę, zawierające przymierza z ludźmi ejusdem farinae 20) lub toczące z nimi wojny. Rodzili się oni z samej natury położenia, z natury stanowiska, które zajmowali. Dobroduszni kochali szlachtę i szlachcili się, jak Panie Kochanku; mniej dobroduszni poili ją, aby się z niej natrząsać; ambitni marzyli o koronie lub o stanowisku, samejże koronie groźnem. Rozpadła się rzeczpospolita na królestwa możnych, wobec których sam król był tylko jednym z uczestników władzy. Obce wpływy potrzebowały sięgnąć ręką, aby ją rozbić, i mimo wysileń ostatnich, rozbiły.

Miałbyż dzisiaj, gdy niwelacja demokratyczna pozostała, wyginąć ród oligarchów demagogów? O oligarchach doczytać się można w wielu gazetach, które trzymają społeczeństwo w ciągłym strachu przed potworami wstecznictwa w mitrach książęcych i koronach o dziewięciu pałeczkach![21]). Tymczasem nie da się to jakoś zastosować. Chcąc być oligarchą w znaczeniu dawnej rzeczypospolitej, trzeba być popularnym, a jużcić o popularności mowy tu być nie może. Ale dajmy na to, że te sfery zachowały wpływ na pewne warstwy społeczeństwa, że wielu ludzi u nas nie chce się obawiać ich, gdy co robią, uważając to za małoduszność; a dzielą tylko niechęć ku tym, co nic nie robią - czyliżby nie było w naszem społeczeństwie potęg nowej kreacji, sposobów zajęcia tego samego groźnego stanowiska, jakie dawniej możni zajmowali panowie? Czy niema u nas potęg, które, odzywając się do popularnych instynktów, mają w ręku dobre imię i cześć człowieka, które ciążą potężną dłonią na wszystkich funkcjach życia publicznego? Pełnia życia neutralizuje te potęgi zagranicą, zaprzęga je w służbę publicznego dobra; u nas w ostatnim szczególnie czasie wykluczyły one prawie wszystkie inne objawy życia - a raczej nieni życie zastąpić się dało. I dlatego to życzyćby należało, aby potęgi te, siłą swoją tak groźne, towarzyszyły objawom życia, ale go nie zastępowały! Z drażliwej tej kwestji przechodzimy raz jeszcze po rys charakterystyczny z dziejów dawnej rzeczypospolitej, nad którym nam się bliżej zastanowić wypadnie. Nie jest on przyczyną upadku, ale jest jego symptomatem. Gdzie życia brak, gdzie brak prawdziwego ruchu, gdzie brak ducha reformy, gdzie brak postępu - tam się zaczyna zasklepianie w teorji, budowanie karcianych domków systematów, przestrzeganie, aby teorja i systemat w niczem naruszonym nie został. Noli me tangere[22]), mówi takie społeczeństwo, jak ów warjat o szklanym żołądku. Są świętości, których ruszać nie wolno, są rzeczy, nad któremi dyskusji niema. Nasi przodkowie, postacie poważne, a większą częścią rumiane i okrągłe, zdają się na pierwszy rzut oka nie podlegać temu zamiłowaniu teorji, temu zamiłowaniu w budowaniu systematów, temu ciągnięciu wszystkiego do zasady. A jednak przeciwnie rzecz się miała. Przodkowie nasi budowali swój system wolności, swoją teorję polityczną i społeczną ze spokojem, z jakim niemiecki filozof budował systemy filozoficzne, albo Archimedes dowodził swego twierdzenia. Wśród wojen Jana Kazimierza, wśród najazdu Polski ze stron wszystkich, pisał p. Andrzej Maksymiljan Fredro, że Polska dopóty tylko istnieć będzie, dopóki fortec mieć nie będzie, dopóki pospolite ruszenie będzie jej główną siłą, dopóki elekcje i liberum veto istnieć nie przestaną. Wśród opłakanego stanu w pierwszych latach Stanisława Augusta, dowodził Wielhorski na sejmie 1766 r., że Polska nie zginie, że jej potencje upaść nie dadzą, dopóki będzie słaba, bo mocna zagroziłaby aequilibrium 23) europejskiemu. Doświadczając codziennie okropnych skutków elekcji i liberum veto, podniesiono jedno i drugie do narodowego dogmatu, uczyniono nietykalnemi zasadami! Formę rzeczypospolitej miano za absolutną doskonałość, wobec której urządzenia innych krajów, jako niewolnych, tylko na politowanie zasługują.

Słowem, nasi przodkowie byli największymi

teoretykami świata, bo, dostając codziennie cięgi za teorję, nie chcieli jej w niczem uszczuplić lub zmodyfikować.

Wielkością konstytucji 3-go maja było właśnie to, że odstąpiła od teorji, że odstąpiła od tego ślepego bałwochwalstwa systematu rzeczypospolitej; wielkością, że z teorji przodków nie przeszła do innej, z zagranicy żywcem przywiezionej lub jako przeciwieństwo dawnego stanu rzeczy ukutej, ale że umiała praktycznie wziąć ze starego, co było dobre, a odrzucić, co złe, przejąć z zagranicy, co było dobre, a nie naśladować jej; że wyszła gotowa, samorodna, praktyczna, jak Minerwa z głowy Jowisza.

Pokolenie pogrobowe, gdy już zabrakło generacji, ożywionej twórczym i praktycznym duchem 3-go maja, gdy minęły pierwsze dni Księstwa Warszawskiego i Królestwa, pokolenie to, ograniczone do teorji, nabrało też wszystkich wad teoretyków, odciętych od rzeczywistego życia, poddanych omyłkom w najprostszym arytmetycznym rachunku. Nadzieje obcej pomocy i wiara, że myśl zastąpi środki, że idea zastąpi siłę, jednakie tu, jak w czasach dawnej rzeczypospolitej.

Po wielkich i ciężko okupionych upadkach, dzisiaj, bodaj czy nie idziemy jeszcze dalej; idziemy do zaślepienia, że teorja zastąpi praktykę, że dosyć wyznawać, rozszerzać liberalne zasady, że dosyć w imieniu tych zasad opanowywać życie narodu, aby zagadkę bytu rozwiązać - że dosyć sprowadzić z zagranicy to lub owo uniwersalne lekarstwo, aby społeczeństwo postawić na nogi. Po epoce dogmatycznej, w której pod anatematem 24) złego patrjoty nie wolno było wystąpić przeciw idei, w jakiejkolwiek była ręce, wstępować zaczynamy w epokę, w której mamy uwierzyć, że zasada doprowadzi nas do celu; a że zasad kilka, mamy więc spychać jedną drugą. Co przewidywał wielki poeta 25), zdaje się zbliżać i zbliży się nieuchronnie, jeżeli wskutek czyto szczęśliwych okoliczności, czy wskutek dłuższego obtarcia się ludzi o siebie, nie obudzi się to, co wszystkie teorje i zasady poddaje pod komendę potrzeby praktycznej, co nie dozwala czekać na dobro jednej lub drugiej zasady, aż do czasu, gdy ona zwyciężyć, ale każe im pracować obok siebie dla powiększenia siły, oświaty i dobrobytu społeczeństwa. Zasady mogą być wyższe i bywają wyższe, niż cele społeczeństwa, niż cele narodu, bo zasady nie są wytworem narodowości, ale ludzkości; ale dopokąd naród nie stracił racji bytu, dopóki dba o zachowanie swojej indywidualności, nie może on żadnej, najbardziej szanowanej zasadzie pozwolić na bezwzględne gospodarstwo, musi być artystą-twórcą, który do celów swoich, do celu tworzenia siebie samego, do celu postępu i doskonalenia się wewnętrznego, dlatego, aby mógł służyć w świecie wszystkiemu, co wielkie i święte, aby mógł potężną prawicę swoją na szali zadań świata położyć, aby mógł być świadomym czynnikiem w walce zasad świata, aby mógł dać świadectwo prawdzie - do celów tych, mówię, ma wolność używania barw wedle swej myśli własnej, wedle tego rodzimego ideału, dla którego go Bóg z powodzi ludów powołał.

I tutaj czas nam zakończyć bolesną wędrówkę przez przeszłość i teraźniejszość podniesieniem kilku prawd, które

ogrzać nas powinny. A naprzód wypowiedzieć musimy to, co najlepiej ugruntowaliśmy wykładem naszym, że spuścizna dawnej rzeczypospolitej a z nią i obowiązek ekspiacji dawnych wad i grzechów nie ciąży na pewnych warstwach społeczeństwa, ale na całym świadomym siebie narodzie, że wszyscy jesteśmy pogrobowcami dawnej rzeczypospolitej, bogaci i ubodzy, wykształceni i mniej wykształceni, zrównani jednym losem i obdzieleni równą odpowiedzialnością. Kto wszedł w nasze życie, ten przejął dziewięć wieków jego historji, ten się dostał w tę atmosferę, w której zarówno mógł zaczerpnąć epidemicznego wyziewu złego, jak powietrza, wiejącego od husarskich naszych chorągwi, od błogosławionej ciszy naszego polskiego ziemiańskiego życia. I jak mu w piersiach do żywszego bicia serce porusza dzwon Zygmunta, widok Wawelu, tak wślizgnąć się w jego duszę może duch Zebrzydowskiego i Kmity, duch anarchji i nieszczęścia. Taki jest związek pokoleń w narodzie, jak skłonności złych i dobrych w życiu człowieka; od niego zależy, czy pokona złe a poda wolę swoją dobrym, lub przeciwnie. I nie na zmianie teoryj, zasad, wyobrażeń polega wyzbycie się złego a przyjęcie dobrego, nie na wyparciu się szlacheckich tradycyj lub pojęć dawnej rzeczypospolitej, które dzisiaj nie mają związku z życiem, nie na szukaniu źdźbła w oku nieboszczyków lub ich potomków - ale na tem głębokiem wejściu w siebie i porachowaniu się z sobą, czy złe nie wróciło w innej formie, czy nie opanowało nas pod kształtem zmienionym. Bo potęgą złego jest właśnie jego zdolność do maskarady, jego zdolność wywoływania tychże samych skutków innemi środkami: bo złe nigdy i nigdzie pokonanem być nie może zmianą teorji, ale pozbyciem się go w praktyce, nigdzie samem przyjęciem innych form, ale wyrobieniem z siebie i w sobie innej treści.

Gdyby mnie zaś zapytano, jaka droga do tego wyrobienia innej treści, skąd ją wziąć i jak ją stworzyć, jak uniknąć recydyw, jak utrzymać społeczeństwo na pochyłości, po której się toczy, wskazałbym, aby nie powtarzać zbyt często a nadaremnie powtarzanych rzeczy, jak: praca, nauka, moralne odrodzenie jednostek - wskazałbym, mówię, staranie się ustawne. namiętne o d u c h a k r y t y c z n e g o, tak względem samego siebie, jak względem objawów codziennego życia w społeczeństwie. Wskazując to dążenie, jako jedynie zbawcze, wbrew tym, którzy nas teorjami i zasadami chcą zbawiać, żądam rzeczy najtrudniejszej, jakiej żądać można, bo przetworzenia, odrodzenia narodu!

Polacy, jeden z najmłodszych narodów europejskich, ducha krytycznego nigdy nie mieli. Mieli oni, jak to już Kromer 26) wybornie ich charakteryzuje, wielkie zdolności, łatwość nabycia wiedzy i poprzestawanie na tej łatwości. Chwytali się z równą niekrytycznością obcych nowinek, jak niekrytycznie wprowadzali nowe instytucje, nie usuwając starych, budując np. w całem znaczeniu tego słowa rzeczpospolitą, a zostawiając, przez zamiłowanie tradycyj, cały aparat monarchiczny. Wszystko było u nich doraźne, raptowne, namiętne. Otóż jako ratunku żądam namiętnego chwycenia się krytycznego kierunku, żądam tej wielkiej ambicji, aby zwyciężyć wady narodowego charakteru, pozbyć się narodowej

właściwości, która jest zabójczą; żądam, aby cały zapał młody, cała miłość ojczyzny po raz ostatni uniosła pokolenie nasze w sferę, która już nie potrzebuje zapału, bo ma męską dojrzałość, która zastępuje zapał zimną krwią, z jaką świadome dzieją się czyny!

Kierunek krytyczny, wniesiony w nasze społeczeństwo, a wniesie go tylko praca i nauka, sam jeden zdolny stać się rozjemcą wszystkich sporów, wszystkich walk, a naturalnym łącznikiem ludzi. Zastosowany do jednostek, obudzi zatracone pojęcie odpowiedzialności słowa i czynu; zastosowany do społeczeństwa, skończy epokę, w której przez serce do głowy trafiano. Przychwyci on wpół drogi każdą wadę narodową, każde słowo bez treści, każdą ambicję bez kwalifikacji. Zachowawczy z natury, nie wyrzuci dla zasady rzeczywistego kapitału narodowego; rewolucyjny, a raczej reformistyczny z celu, nie pozwoli się ostać fałszywej monecie. A kryterjum to samo, co dawniej, tylko że pierwej było w sercu, teraz przenieść je trzeba do głowy.

Na wielkiej widowni chrześcijańskich dziejów postawił Bóg narody, które wyposażył rozmaicie, jedne duchem krytycznym, drugie wielkiemi natchnieniami i porywami ducha. Ta rozmaitość ich wyposażenia kładła pomiędzy niemi nienawiść i pobudzała do walki. Anglja i Hiszpanja, Francja i Niemcy, Polska i Moskwa. Od kolebki widna ta różnica. W obronie wiary i idei walczy Polska, w obronie wiary i idei walczy Francja. Krytyczny duch reformacji nie przyjmuje się we Francji i Polsce: rozum nie umie u nich pokryć tej pełni ducha, która napełnia ich pierś, a absolutyzm Ludwika, despotyzm jednostki szlacheckiej znoszą te narody dla punktu honoru, który w nich widzą. W walce z narodami, które w sobie, nie poza sobą, cel najwyższy ujrzały, które od pierwszej chwili bytu mechaniczną zaborczość lub gospodarkę w domu za najwyższy cel postawiły, które wytworzyły ideał państwa, jak Niemcy, ideał wolnych instytucyj, jak Anglja, ideał despotyzmu narodowego, jak Rosja - w walce tej nierównej ducha z rozumem, zapału z wolą, honoru z obowiązkowością, upadły kolejno Hiszpanja, Polska i Francja, i stoimy dzisiaj na wielkim cmentarzu nietylko naszego żywota, ale i żywotów nam pokrewnych, stoimy dzisiaj w pobitym katolickim obozie, którego najwyższa głowa, ów ideowy szczyt świata, pozbawioną została władzy monarchicznej w imię ironicznej zasady: siła przed prawem, duch niechaj żyje samym duchem! Losy tych narodów ciemna przysłania przyszłość: to atoli zdaje się prawdopodobnem, że walka tąż samą bronią, co pierwej, będzie na długi czas niemożnością lub samobójstwem. Muszą one przejść ciężką próbę, nie aby poddać się i uznać wyższość przeciwników, ale aby znaleźć formę dla tego, co dotąd roztrącało formy, dla tego ducha, który nie pozwolił im się ustawić do harmonji, do jakiej racjonalni ustawili się przeciwnicy. Rola ich nieskończona; ale drogą do przyszłej roli jest przejęcie nie idei, ale metody, którą przeciwnicy doszli do zwycięstwa.

1) Aleksy Toqueville, autor dzieła l'Ancien régime et la Révolution.

2) "Państwo to ja!" (słowa Ludwika XIV).

3) T. j. ograniczał.

4) O Radziwille - Panie Kochanku i jego "bandzie albeńskiej" (do której należeli Łaszcz i Wołodkowicz), zobacz w Pamiętnikach Soplicy Rzewuskiego.

5) Dom.: ministerjalny.

6) = łączenie w ręku jednej osoby.

7) T. j. zbytnio wziąwszy sobie do serca...

8) = przerostu.

9) Poeta i dziejopis XVII w.

10) T. j. Marja Ludwika.

11) Nieszczęście ojczyzny to jedyna skarga Jeremiego.

12) Nie jest z Bogiem, kto jest z Kondeuszem.

13) Prymasa, zwolennika kandydata francuskiego na tron polski (o stosunku szlachty do niego por. pamiętniki Paska pod r. 1669).

14) T. j. politycy, mężowie stanu.

15) Mikołaj Potocki (por. o nim ostatni rozdział Pamiątek Soplicy Rzewuskiego).

16) Tu tyleż, co "przedpotopowej".

17) W Krakowie.

18) Anczyc (zm. 1883) - poeta i dramaturg, autor popularnego poematu Tyrteusz; Bałucki (zm. 1901) - wybitny komedjopis (Grube ryby, Dom otwarty etc.).

19) Eldorado, legendowy kraj złota.

20) "Z tej samej mąki".

21) T. j. hrabiowskich.

22) Nie waż się mię dotykać.

23) Równowaga.

24) Klątwą.

25) W Nieboskiej Komedji.

26) Marcin Kromer w dziele Polonia (1577).

P I O T R C H M I E L O W S K I (1 8 4 8 - 1 9 0 4).

Przekonania i dążności pozytywistów warszawskich 1).

I.

Jeżeli pod wielu względami podobne są do siebie czasy, następujące po roku 1831 i 1864, to podobieństwo to pod względem literackim sprowadza się do najmniejszych rozmiarów. Po roku 1864 niema tego rozłamu piśmiennictwa na dwa odrębne niejako światy, z których jeden jaśnieje wszystkiemi blaskami poezji, a drugi bardzo powoli i nader mozolnie się zapełnia produkcjami umysłowemi, do których społeczeństwo w podobnym czasie nie czuje wielkiego pociągu. Jakkolwiek bowiem wielu utalentowanych ludzi kraj opuściło, to jednakże pomiędzy nimi jedna tylko rzeczywista znakomitość się znajdowała, t. j. Józef Ignacy Kraszewski; a nadto z bardzo nielicznemi wyjątkami wszyscy oni ogłaszali swe pisma w kraju; stali się zatem siłą dla niego na pół tylko straconą, o tyle, że nie mogli częstokroć społeczeństwa swego obserwować zbliska, a przez to pozbawiali się tej znajomości bieżących interesów, która każdemu utworowi piśmienniczemu, w jego wpływie na czytelników, nadzwyczaj silnie pomaga.

Zatamowanie ruchu literackiego w kraju nie przedstawiło się tak jaskrawo, jak po roku 1831 : - wszystkie pisma dawniej istniejące wychodziły w dalszym ciągu, - a było ich sporo: w Warszawie p i ę ć dzienników, c z t e r n a ś c i e tygodników, j e d e n miesięcznik i jedno pismo zbiorowe. - -

Przed rokiem 1830 wydawanie czasopism pozostawało w ręku literatów, którzy nie szukali w tem zajęciu zysków; autorowie pisali bezinteresownie i o honorarjach nie marzyli; nic więc dziwnego, że gdy owych bardziej przedsiębiorczych literatów zabrakło, pisma musiały przestać wychodzić, a autorowie, nic na tem nie tracąc, nie czuli nieodzownej potrzeby czasowych wydawnictw. Obecnie wydawnictwa te dostały się przeważnie w ręce przemysłowców, którzy, uważając je za interes, oczywiście dbali o to, ażeby interes ten nie zmarniał; podtrzymywali go więc i wtedy nawet, gdy czasy były ciężkie, a pisma nie przynosiły zysków dawniejszych. Jednocześnie jednak nie należy zapominać, że ilość czasopism i ich rozpowszechnienie, jeżeli nie świadczy o stopniu oświaty w kraju, to w każdym razie daje nam poznać doniosłość jej promieni; wskazuje, jakie i jak wielkie warstwy społeczne z jej dobrodziejstw korzystają. Powstanie wyliczonych powyżej czasopism może być dostatecznym dowodem, że potrzeba czytania wzmogła się znacznie, że popyt na pracę umysłową nietylko nie ustawał, ale zwiększał się ciągle; przedsiębiorcy bowiem nie ryzykowaliby swego kapitału na rzecz, nie mającą pokupu. Rozumie się, że nie wchodzę na teraz w treść i wartość wewnętrzną tych wydawnictw, ani też nie myślę by-

najmniej twierdzić, jakoby ówczesna liczba czasopism była zupełnie odpowiednią ilości liczebnej narodu; chciałem tylko przez zestawienie kilku cyfr stwierdzić fakt wyższości tego okresu literatury naszej nad bezpośrednio poprzedzającym pod względem rozpowszechnienia czasopism, a zatem i chęci do czytania. Jest to więc względne jedynie, a nie bezwzględne oznaczenie wartości tej chwili literackiej, chwili zbyt ważnej w dziejach naszego społeczeństwa, ażeby ją można bez bliższej rozwagi pominąć. Jeżeli w ogólności takie zwiększenie się liczby czasopism zwróciłby musiało uwagę w każdym czasie, w każdej dobie rozwoju, to tem bardziej zastanowić nas powinno w tej tak niepospolicie zawichrzonej chwili, która do pracy cichej na polu piśmiennictwa zachęcać się nie zdawała, przedstawiając myśli i działalności ogółu zadania zarówno trudne do rozwikłania, jak tem bardziej do przeprowadzenia ich w praktyce życia.

Nastąpił wielki przewrót w stosunkach ekonomicznych i społecznych. Reforma, która w innych krajach Europy dokonała się oddawna, a nawet w innych częściach byłej rzeczypospolitej również od lat dwudziestu uskutecznioną została, dla Rusi, Litwy i Królestwa w tej dopiero urzeczywistniła się chwili. W teorji, będąca życzeniem ludzi postępowych już od wieku niemal, wielokrotnie roztrząsana i rozwijana, dopiero wtedy znalazła swój wyraz praktyczny, nie taki zapewne, jakiego większość inteligencji sobie życzyła, ale taki, jaki zgóry został wskazany. Jak ostatnia prawie weszła Polska w koło narodów europejskich za pośrednictwem religji, tak na ostatku w przeważnej swej części pozbyła się resztek średniowiecznego ustroju społecznego. Chłop został nietylko człowiekiem, nietylko właścicielem, ale i obywatelem kraju.

Reforma ta, która pod względem społecznym ostatecznie upodobniła nasze stosunki ze stosunkami europejskiemi, która otworzyła dalekie widnokręgi dla całych miljonów i na nowej niejako podstawie gmach przyszłości narodowej osadziła, wywołała bezpośrednio przewrót ekonomiczny, najprędzej uczuć się dający. Dawne pańszczyźniane gospodarstwo musiało ustąpić miejsca folwarcznemu, co zmuszało dawnych właścicieli, w wygodnem zazwyczaj farniente [2] pogrążonych, do przyłożenia pracy osobistej, do oszczędności i oględności pewnej, pod groźbą wywłaszczenia. Ta groźba, połączona w okolicach kresowych z innego rodzaju wywłaszczeniem, wysunąć musiała oczywiście na plan pierwszy kwestję utrzymania bytu materjalnego i szukania środków, ku temu celowi skutecznie prowadzących.

Umiejętna uprawa roli stać się naturalnie musiała dla ziemian warunkiem niezbędnym do wybrnięcia z niezbyt świetnych interesów finansowych, w jakich pozostawali dawniej, ufni w pracę przymusową tych, co teraz młodszymi ich braćmi prawnie zostali. Atoli, obok racjonalniejszego chodzenia około roli, trzeba było uznać znaczenie i potęgę przemysłu i kapitału; nie można było gardzić jednym, a lekceważyć drugiego; należało się pozbywać coraz prędzej przesądów szlacheckich o swojej wyższości i o swojem dostojeństwie, lecz

jąć się pracy oburącz, a z łokciem i wagą pogodzić się, uszanować w nich przedstawicielstwo podobnejże pracy, która miała odtąd w zupełności zastąpić dawny przywilej.

Przemysł, który szybszy i bogatszy swój rozwój w kraju datuje od roku 1850, t. j. od czasu zniesienia granicy celnej między Cesarstwem a Królestwem, znalazłszy otwarty rynek na Wschód, wzmagał się z każdym rokiem, zwłaszcza, gdy komunikacja kolejowa większą siecią dróg ziemię naszą pokrywać zaczęła. Do jedynej dawniej istniejącej kolei [3] przybywa w Królestwie w tym przeciągu czasu cztery inne i sprawiają, że Warszawa staje się nader ważnym punktem, w którym, jeżeli nie gromadzi się, to w każdym razie istnieje łącznik handlu zachodniego ze wschodnim. Wprawdzie przemysł nasz w znacznej części znajduje się w ręku Niemców, którzy niejednokrotnie wcale po polsku nie umieją, to przecież wpływ jego na kraj nie umniejsza się przez to, i jeżeli jeszcze niezbyt liczne wywołuje współzawodnictwo ze strony krajowców, to obudza przynajmniej samowiedzę jego potrzeby. - -

Takie położenie rzeczy, zmuszające do ścisłego rachowania się z praktycznemi wymaganiami życia, nie mogło pozostać bez wpływu na uczucia i przekonania ogółu, na program jego postępowania, na jego poglądy co do przeszłości i teraźniejszości. Życie gorączkowe, marnujące się z jednej strony w lekkomyślnych albo i bezmyślnych nawet hulankach, a z drugiej w bezowocnych wysiłkach, nie mogło już być nadal ideałem ludzi, którzy byt swój zagrożonym widzieli. Hasło tedy pracy organicznej drobnej, powolnej, ale wytrwałej i ciągłej, jako punkt wyjścia i jako środek pożytecznego zużytkowania sił wytwórczych, zastąpiło dawniejsze godło wulkanicznych wybuchów albo życiowej apatji. Ani wymuskany, wypolerowany salonowiec, ani wiecznie wzdychający i niezadowolony wieszcz, ani galwanizujący się wiecznie wielkiemi i świętemi intencjami, ale zaślepiony w postępowaniu młodzieniec, lecz człowiek pracowity, dzielący swój czas na długą, bardzo długą pracę i skromny odpoczynek, stał się przedmiotem, jeżeli nie uwielbień i pochwał, to przynajmniej życzeń i pragnień. Do tej pracy powołani zostali nietylko mężczyźni, ale i kobiety, których położenie materjalne zmuszało do zaprzestania roli lalek salonowych lub istot "zapoznanych", a wzięcia się natomiast do roboty, do wywalczenia sobie samodzielności.

A gdy sobie przypominano bezpośrednią przyczynę tych smutnych stosunków materjalnych, gdy coraz bliżej nadchodziła przykra rocznica stuletnia [4]: zwrócono się ku przeszłości już nie z tem bałwochwalczem uwielbieniem, które nie umie rozpoznać tego co prawdziwie wielkie i piękne, od tego, co jedynie przesąd lub miłość własna za takie poczytywać lubi, - ale z poszukiwaniem powodów nieszczęść naszych i upadku politycznego, ażeby w ich rozważaniu doszukać się istotnego źródła klęsk i niepowodzeń, którychby na przyszłość unikać należało [5]. Uporczywe zrzucanie z siebie wszelkiej winy, praktykowane ciągle za czasów dawniejszych, nie mogło teraz znaleźć posłuchu i uważanem być zaczęło za jeden ze środków odurzających, któremi ukołysane umysły nie

miały dosyć energji, aby śmiało, po męsku zajrzeć w oczy złemu i stanowczem postanowieniem zerwać się do pracy nad sobą, do wykorzenienia z pomiędzy społeczeństwa tych chwastów, co rozwój roślin pożytecznych przytłumiały.

Te dążności, wywołane praktyką życiową, mające zatem twardy grunt pod nogami, nabrały nowego znaczenia i zabarwiły się inaczej, gdy na nie padło światło nauki współczesnej. Otwarcie Szkoły Głównej w Warszawie miało pod tym względem nadzwyczaj potężną doniosłość, zarówno przez bezpośrednie działanie kilku dzielnych i znakomitych profesorów, jak niemniej przez oddziaływanie pośrednie, właściwe każdej instytucji naukowej. W kraju, który przez lat blisko 30 pozbawiony był wyższego zakładu naukowego, musiał oczywiście panować pewien mrok w zakresie umiejętności; zdobycze nauki zachodniej nie dostawały się do niego wcale, albo nadzwyczaj późno, i to w formie jak najbardziej popularnej, a niekiedy tendencyjnie skrzywionej. Założenie Akademji medyko-chirurgicznej w 1857 r. rozwijało umysły w jednym przynajmniej kierunku praktycznym i do życia tak nieodbicie potrzebnym; założenie Szkoły Przygotowawczej (r.1861) rozszerzyło ten zakres, wprowadzając wyższe pojęcie nauk humanitarnych i budząc zapał w licznych szeregach młodzieży, która naprawdę tłumnie zapełniała audytorja, spragniona wiedzy, co dawniej tak trudno zdobywać się dawała. Szkoła Główna (r. 1862) odziedziczyła już i to zainteresowanie się nauką i ten zapał młodzieży; a rozszerzający się zakres wykładów z każdym rokiem wytwarzał tę atmosferę naukową w społeczeństwie, co sama nie stanowi wprawdzie nauki, ale ją ułatwia, zachęca i pobudza do niej. Boć oczywiście każdy wyższy zakład naukowy, gromadząc w swych murach grono młodzieży, staje się zarazem rozsadnikiem wiedzy na daleko szersze koła, gdyż każdy ma rodzinę i znajomych, z którymi dzieli swe wiadomości, zwłaszcza gdy te, jak wśród ówczesnego położenia, miały cały urok rzeczy nowych. Z tego zbiornika rozchodziły się ożywcze prądy na inteligentną część społeczeństwa i wyrwały ją choć trochę z powszednich małoznaczących stosunków. Z małego miasta Warszawa stała się znowu, jak po roku 1818, miastem wielkiem, zainteresowanem nauką; a to usposobienie stolicy udzielało się i prowincji.

Pierwsze coprawda pokolenie, wychowane przez Szkołę Główną, poszło utorowanemi już dawno gościńcami; oddało się uprawie poezji, drukując różne zbiorki wierszy, mniej lub więcej udatnych, pod mniej lub więcej romantycznemi tytułami. W wierszach tych, zarówno strona myślowa, jak i forma, była poprostu spadkiem, odziedziczonym po bezpośrednio poprzedzającym okresie rozwoju; nie świta tu jeszcze żadna nowa dążność, nie znać tu jeszcze wpływu umiejętności. Ale druga już zkolei generacja wychowańców poczuła na sobie wybitny wpływ ducha nowego, który bił z nowej instytucji. Powoli, bardzo powoli dowiadywała się ona o świetnych zdobyczach nauki nowożytnej lub o potężnych prądach, nurtujących w umysłowości europejskiej. Nie wprost wielką rzeką komunikacyjną, ale pobocznemi strumykami dopływały do niej wiadomości o tem, co ówcześnie cały Zachód w pewien stan gorączkowy

wprawiało. Ze wstępnej prelekcji Henryka Struvego dowiedziała się młodzież, że poza granicami kraju od lat już kilkunastu huczała burza materjalizmu, którą wzniecili Moleschott, Vogt i Büchner, a o której u nas do tej pory ni słychu nie było.

Z teorjami Comte'a spotykamy się wprawdzie już w roku 1844 w dziele Adrjana Krzyżanowskiego p. n. Dawna Polska; ale wiadomość ta przebrzmiała tak dalece, że nawet wydawca drugiej edycji tego dzieła w lat kilka o tym fakcie nic a nic nie wiedział. - - Dopiero obszerna rozprawa ks. Franciszka Krupińskiego p.t. Szkoła pozytywna, pomieszczona w Bibljotece Warszawskiej r. 1868, zaznajomiła myślących czytelników z nowym rodzajem filozofji, która, chociaż we Francji oddawna już znana, w tym jednakże czasie na nowo stała się przedmiotem rozbiorów z powodu dzieł o niej napisanych przez Littré'go i Stuarta Milla. - -

Te były główne czynniki, obudzające myśl krytyczną młodzieży, która z konieczności musiała zadać sobie pytanie: w jakim też stosunku znajduje się oświata naszego kraju do oświaty Zachodu? Naturalnie, dokładnego o tem pojęcia młodzież mieć nie mogła; ale wiedziała tyle, że zagranicą oddawna znane są i rozpowszechniane takie prawdy lub teorje, o jakich przewodnicy dotychczasowi umysłowości naszej nie wiedzieli; że zagranicą rozbierają się zagadnienia niezmiernej doniosłości religijnej, filozoficznej, społecznej, ekonomicznej, gdy tymczasem u nas kwilono na przebrzmiałą nutę, że zagranicą poddawano wszystkie myśli i wszystkie stosunki ludzkie ścisłej analizie, surowej krytyce, gdy u nas ciągle jeszcze powoływano się na tradycyjne powagi; że słowem, zagranicą nauka, umiejętność trzymały berło w państwie umysłowem, gdy u nas hołdowano płaczliwemu rozmarzeniu lub namiętnym a ślepym wybuchom. Takie ryczałtowe zestawienie stosunków własnych z zagranicznemi nie mogło w śmielszych i energiczniejszych umysłach nie sprawić bolesnego wrażenia, nie mogło oczywiście zakryć tej prawdy, że od r. 1831 przyzostaliśmy wtyle za Europą zachodnią i to pod każdym względem, zarówno rolniczym, jak przemysłowym, zarówno naukowym, jak literackim. Najwięcej atoli raził uczącą się młodzież zastój w umiejętności, zastój pojęć w społeczeństwie. Jak w ciele ludzkiem osłabienie krążenia krwi powoduje ciężkie niemoce, tak w narodzie zatamowane krążenie pojęć niezdolnym go czyni do życia umysłowego. Z wielkim zapałem do nauki, z sercem gorącem a rozsądkiem krytycznym, z niemałą dozą zarozumiałości i zuchwalstwa młodzieńczego, dla którego trudności nie istnieją, bo czuje w sobie siłę tysiąckrotną, wystąpili co dzielniejsi do walki z istniejącym stanem literatury, chcąc go zmieniać, przerabiać, reformować, ufni, że zwycięstwo na ich przechyli się stronę, gdyż walczyli w imię "nauki", tej władczyni umysłowej czasów naszych.

I tak - z wpływów ekonomiczno-społecznych i naukowych zarysowało się położenie, które porównywano do owego obudzenia się ducha poezji romantycznej w trzecim dziesiątku naszego stulecia, które jednak o wiele słuszniej zestawić

można z prądem reformatorskim w wieku XVIII.

Jak naówczas, tak i teraz, wystąpiono w imię światła przeciw obskurantyzmowi, w imię tolerancji przekonań przeciw ślepemu dogmatyzmowi, w imię postępu przeciw zastojowi. Jak wówczas, tak i teraz, poglądy nowe, reformatorskie pojawiały się stopniowo, występowały nader umiarkowanie względem istniejących i wiekami utrwalonych nie tyle przekonań, ile nałogów myślowych; radykalne doktryny albo nie miały zwolenników wcale, albo tak nielicznych, a raczej odosobnionych, że oni bardzo mały wpływ na społeczeństwo wywierać mogli. Jak wówczas, tak i teraz, to, co było u nas najdrażliwszem zawsze -kwestja religijna- została z dyskusji niemal usunięta, a krytyka jawna, otwarta, tyczyła się nie dogmatów, ale obrządków zewnętrznych i duchowieństwa. Jak wówczas, tak i teraz, względy na okoliczności zewnętrzne, z bytem kraju związane, hamowały zbyt zapalczywe i za daleko sięgające zapędy, poskramiały zbyt ostre wycieczki przeciw niektórym przynajmniej stronom życia społecznego.

Nic atoli w dziejach się nie powtarza. Jeżeli zatem w ruchu współczesnym upatrujemy podobieństwa do prądu reformatorskiego w "wieku oświeconym", to nie możemy zamknąć oczu na bardzo poważne różnice, zarówno pod względem idei, jak osób, co ją głosiły. W "wieku oświecenia" głównymi rozpowszechnicielami nowych myśli byli księża, - rzecz to całkiem naturalna, wyjaśniająca się ówczesnym stanem rzeczypospolitej, gdzie duchowni jego reprezentowali oświatę en masse 6). Obecnie nastąpiły już nowe wyzwoliny umysłowe z pod przewagi duchowieństwa; idee nowe rozpowszechniają ludzie świeccy, a jeżeli wśród zwolenników i propagatorów nowego życia duchowego znajdują się księża, to stanowią nader nieliczne wyjątki. Ale co ważniejsza od kwestji osób, to sama treść poglądów, o które walka się toczy. Prawda, że tak samo, jak w wieku XVIII, wystąpiono pod sztandarem wiedzy; ale wiedza dzisiejsza a wiedza zeszłowieczna to dwa stany rzeczy, nie całkiem różne wprawdzie, lecz wielce od siebie odległe. Suchy racjonalizm "wieku oświecenia" w krytyce swojej kierował się przedewszystkiem zdrowym jedynie rozsądkiem, a zdrowy rozsądek, jak wiadomo; nie starczy na wszystko. Zdrowy rozsądek umie być bardzo jasnym, wielce nieraz dowcipnym przewodnikiem po krainie przeszłości i życia obecnego; lecz nie potrafi zbadać głębokich tajników, zarówno religji, jak i sztuki, zarówno natury, jak społeczeństwa; nie zrozumie i nie oceni należycie ani mitów, które będzie chciał tłumaczyć alegorycznie albo śmiać się z nich zechce, ani średnich wieków, które ryczałtem potępi; nie wzniesie się do tej przedmiotowości, jaka potrzebna jest przy ocenie dziejów, ale wszystko osądzi według jednego szablonu; nie zdobędzie się na wszechstronność, koniecznie potrzebną przy rozpatrywaniu różnych usposobień ludzkich, ale je wszystkie do jednego mianownika sprowadzi; nie przejmie się głęboką poezją uczuć serdecznych a rzewnych albo wizyj mglistych i fantastycznych, bo śmiech, tak licujący z jego naturą, niedaleko mu się zapuścić dozwoli w krainy duszy ludzkiej... Nie napróżno też po tym wieku racjonalizmu

nastąpiło świetne oddziaływanie promieni uczucia i blasków wyobraźni w poezji romantycznej; nie napróżno rozgrzały się serca i zapaliły fantazje. Wiedza dzisiejsza daleko szersze obejmuje widnokręgi, gdyż oko jej z jednej strony rozjaśniało się potężnym wiekowym rozwojem ducha, a z drugiej zaostrzyło się za pośrednictwem wielkiego czynnika, jakim jest doświadczenie, eksperyment ...

A jak już sam nastrój ogólny jest inny, tak też i treść idei nowych przedstawia się odmiennie. Nie idzie tu teraz o reformy polityczne, gdyż te nie mają racji bytu; nie idzie o reformy szkolne, gdyż te również z pod dyskusji praktycznej się wymykają; nie idzie nawet o reformy literackie, gdyż styl i język nie uległy skażeniu, co więcej, - nawet w kwestjach wychowania ludu, który przyszedł do samoistności w obywatelstwie, sporu zasadniczego bynajmniej niema; rzecz cała obraca się w sferach inteligentnych, a kwestja sporna dotyczy środków, jakich używać potrzeba, ażeby w walce o byt nie zginąć, lecz owszem przekazać potomkom dziedzictwo ze znacznym dorobkiem. Jeżeli mówię o środkach, to mam na uwadze głównie środki umysłowe: cały zakres duchowych czynników, które życie narodu podtrzymują. Walka w tym względzie toczy się nie przeciw przesądom i zabobonom, z których otrząsnęliśmy się w wieku XVIII, ale przeciw fałszywemu albo rutynicznemu pojmowaniu dróg życia społecznego.

Nie myślę bynajmniej przeceniać obecnego stanu tej walki. Jakkolwiek upłynęło już lat piętnaście, jesteśmy właściwie w jej początkach dopiero, - zwycięstwo nie przechyliło się ani na jedną, ani na drugą stronę i trudno nawet przewidzieć chwilę, w którejby coś stanowczego zajść mogło. Trzeba zatem przypatrzyć się dwu walczącym obozom, które słusznie przezwano starym i młodym, chociaż bowiem i w jednym i w drugim znajdują się ludzie różnego wieku, świeższe żywioły, z postępem europejskim idące, bądź co bądź młodymi nazwać można.

Ażeby sobie jasno, o ile można, przedstawić sytuację, zapoznajmy się najprzód z temi siłami, które młodzi, wchodząc na arenę działania piśmienniczego, już byli zastali.

II.

Minął już był dawno okres wielkiej poezji naszej. Mistrzowie jej: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński pokładli się do grobu; współuczestnicy, niepospolitym obdarzeni talentem, albo milczeli zupełnie, jak Aleksander Fredro (zmarły 1876), albo przemawiali, choć bardzo rzadko, głosem niezrozumiałym już dla współczesnego czytelnika, jak zmarły tegoż roku Goszczyński w urywku z poematu Bogarodzica, jak Bohdan Zaleski we Wieszczem Oratorjum. - -

Atoli nietylko przedstawiciele i współuczestnicy wielkiej poezji nie wywierali na społeczeństwo potężnego, żywego i ciągle odnawiającego się wpływu, ale nadto i ta druży-

na, co zbierała pokłosie po wspaniałem żniwie, co dożyła, że tak powiem, jesieni naszej poezji, przerywa twórczość swoją albo też nie umie utrzymać liry w drżących dłoniach. Lirnik litewski, Ludwik Kondratowicz, umiera (r. 1862),lirnik mazowiecki, Teofil Lenartowicz, żyje wprawdzie i śpiewa dotychczas, równocześnie rzeźbiarstwem się zajmując,lecz to, co drukuje, nie ma w sobie tego uroku i tego powabu, któryby nieprzeparcie ku sobie pociągał, coby serca i umysły zniewalał. - - Wszędzie wprawdzie znajdują się wiersze ładne, milutkie, ale nawet i pod tym względem czuje się jakaś maniera, jakieś powtarzanie siebie samego i form, dawniej przez siebie stworzonych. - -

I z tej zatem drużyny nie dolatywał żaden głos śmiały i piękny, coby, zrozumiawszy nowe potrzeby życia, siłą zdobytego dawniej imienia, tem skuteczniej do serc, spragnionych prawdy i postępu, przemówił. Ci, co zamilkli, zrzekli się dobrowolnie wszelkiego wpływu na społeczeństwo; ci, co przemawiali jeszcze, zwracali się do szczupłego grona słuchaczów, chwalących wszystko, co z ich ust wychodziło. A mimo to czasopisma drukowały niezmierną ilość wierszyków; zbiory poezyj pojawiały się także dość często. Dostarczali ich poeci i wierszokleci młodszego od tamtych i najmłodszego pokolenia, co, przyswoiwszy sobie udatną formę zewnętrzną i posiłkując się frazeologją romantyczną, mniej lub więcej szczęśliwie z uczuciami swemi się popisywali. Pomiędzy tymi przedstawicielami najnowszego okresu poezji naszej znajdowali się bezwątpienia ludzie niemałych zdolności poetyckich, choć prawdziwie twórczego talentu w najwyższem znaczeniu tego wyrazu nie posiadali. - -

Jeżeli jednak już u tych poetów napotykało się dużo rzeczy przestarzałych, dużo niepotrzebnego rozmarzenia,dużo ckliwej rozpaczy; to cóż powiedzieć o całej litanji imion chrzestnych, któremi podznaczone były wiersze, pełne afektowanego smutku, pełne melancholijnych zachwytów dla róży, lilji, a nawet chabru ... Wylewano potoki łez, przeklinano świat siarczyście, rozpaczano, truto się ... a jednak widziało się później twarz poety uśmiechniętą i rzeźwą, słowo swobodne i lekkie na ustach. Były to męczeństwa teatralne, rozpacze udane, bo naśladowane tylko zewnętrznie ze Słowackiego, Heinego, lub Musseta.

Słowem - okres poetyczny sam się dobijał tym fałszem, jaki pomiędzy życiem a słowem poety coraz częściej się uwydatniał, i tym brakiem twórczej siły, co się na nowe tematy zdobyć nie potrafiła, ale tysiąckrotnie już ośpiewane jeszcze raz ubierała w królewską szatę poezji.

Było tedy rzeczą całkiem naturalną, że młodzież, pragnąca prawdy, pracująca w imię nauki, mająca przed sobą ważne zagadnienia życia, na które płacz i narzekanie nic pomóc nie mogły, zwróciła się przedewszystkiem przeciw tym egotycznym wylewom zbyt rozłzawionych marzycieli, co jękiem tylko przemawiać zwykli.

Istniało naówczas w Warszawie, założone w roku 1866 przez Adama Wiślickiego, pisemko p. t. Przegląd tygodniowy.

Skromne rozmiarami, nie miało z początku żadnej wyraźnej barwy i to tak dalece, że pisarze ściśle religijnego sposobu myślenia pomieszczali tu swe prace narówni z młodymi propagatorami materjalizmu Buchnera. Odznaczało się ono jedną bardzo ważną cechą, a mianowicie: wielką ruchliwością; nie dbając o wyczerpanie kwestji, o studja gruntowne, muskało wszystkie sprawy, zaciekawiało, pobudzało do mówienia o nich. Nadto redaktor miał wielką zdolność wynajdywania i skupiania koło siebie sił młodych, rzutkich,choć niewyrobionych, które w piśmie jego mogły się wypróbować, ponieważ miały swobodne pole do swego rozwoju. O ile inne czasopisma utrudniały przystęp do siebie, stawiając wymagania, na które młodzież niejednokrotnie zgodzić się nie mogła, o tyle w Przeglądzie tygodniowym wypisać się było można dowoli, byle krótko a jędrnie.

Otóż pod koniec roku 1867 pojawił się tu artykuł: Groch na ścianę, będący niejako hasłem tej pierwszej fazy w opozycji sił młodych względem istniejącego stanu rzeczy w literaturze. Opozycja ta z samego początku objawiła się przedewszystkiem przeciwko chwastem zarosłej niwie liryki naszej i biczykiem sarkazmu wypłaszała z wyobraźni mniemanych poetów ich mniemane męczarnie, ich bezsensowe zachwyty dla róż, lilij i chabrów. "Ach, ileż to razy -czytamy tu- odbywałem Dantejską wędrówkę po kręgach rymu, chcąc się spotkać z myślą ... ileż razy rzewnemi spłakałem się łzami nad sonetem do białej róży; jakże naziębłem wśród ranków, biegając za gwiazdy w sukience, utkanej z zorzy... Ale szczytem mojej męczarni były wieszcze płody pseudonimów i kobiet. Czuli śpiewacy róży, makolągwy i gila: Florjanie, Zbigniewie, boskie Liljany, Wandy, Aniele i Adele!... wy, co karmicie się lazurem i esencją liljową, czemuż musiałem z wami cierpieć? Przebóg, wy jesteście uosobionemi ranami, karjatydami schylonemi pod brzemieniem nieszczęścia, źródłami sączącemi łzy miljonów! Wasza wielka pierś rozdarta od ramienia po żebra, wasze oczy zapatrzone poza kręgi gwiazd; komety zniszczenia świecą wam nad głową, a buchacie ogniem piekelnych czeluści, jak lawą wrzące piersi Wezuwjusza". Po tem sarkastycznem zagajeniu następuje wykazanie na paru przykładach całej niedorzeczności kłamanego cierpienia i całej nędzoty bezsensowych rymów. "Czem jest pieśń bez myśli, uczucie bez jasnego widzenia rzeczy, serce bez stałego i niewzruszonego charakteru? A możnaż nazwać potęgą pieśni nabój wyszukanych wyrazów, jakiemi częstokroć zapoznani genjusze bombardują do twierdzy zdrowego rozsądku, zbrojnej w baterje, ulane z twardego i niczem nieprzebitego sensu... Zaprawdę powiadamy wam, natchnieni wieszcze, iż nadto widoczne są sposoby tworzenia waszych fantasmagoryj, abyśmy jeszcze mogli stanąć wobec nich jako spektatorowie. Bo i cóż wy potraficie nadzwyczajnego? Potrzeba wam przekleństwa: bierzecie piorun, potrzeba nienawiści: wzywacie węży, krokodyli, lampartów, gotowi jesteście wszystkie mammalia, amphibia, insecta 7), a nawet cały układ Cuviera wezwać do unicestwienia jednego indywiduum, które po takiem zbatożeniu rymami wygląda, jak oparzona kura"... Wkońcu autor zwraca się do poetów ze słowem poważnem, kreśląc w najogólniejszym zarysie

charakter wieku obecnego: "Wiek XIX nie jest wcale wiekiem cierpiących i zachwycony ch trubadurów; jego poezję stanowi ciągły postęp, ciągła dążność do zajęcia takiego stanowiska wobec praw przyrody i ludzkości, aby w jaknajwiększym zakresie urzeczywistniał dla siebie wszystko, cokolwiek myśl jego podyktuje do wykonania... A wy, poeci, cóż tej ludzkości dajecie? wiarę, siłę ideału? Czyście służkami pańskiemi, co torują nowe drogi?... Nie, na takie rzeczy nie macie czasu -wy cierpicie!..." (Przegl.tygodn. 1867, Nr. 49).

Artykuł ten był wyrazem przekonań dość licznego kółka młodzieży, które nie przestało odtąd domagać się od poezji i beletrystyki wogóle zrozumienia zadań współczesnych, podejmowania kwestyj żywotnych, a porzucenia zblakłych już dekoracyj romantycznych, mających ustąpić prawdzie. - -

Tak śmiało, a nawet zuchwale, przemawiało grono młodzieży, które przekonane było, że poezja i beletrystyka, z powodu nadmiernego rozpowszechnienia a bardzo wielkiej nieużyteczności, wymaga prędkiej i stanowczej reformy, skąpania w nurcie myśli zdrowych, mogących wlać w jej żyły nowe życie i przemienić ją na istotny czynnik produkcji społecznej. Dążnościom tym sprzyjało usposobienie ogółu, ze wstrętem odwracającego się od poezji, czyto wskutek gonienia wyłącznie za dobrobytem materjalnym i pogrążeniach się w uciechach czysto zmysłowych, - co bywało najczęściej, - czy też dlatego, że nie widziano w poezji tych czynników, które w życiu codziennem na pierwszy plan weszły: zamiast marzeń i ślepych porywów - ciągła mrówcza praca. Niektórzy też poeci, pod naciskiem takiego usposobienia, porzucili, choć na chwilę tylko, mdłe narzekania i zaczęli śpiewać hymny na cześć spracowanych, biedzących się w pocie czoła.-

Tymczasem rzeczywiście romantyzm, którego ostatni epigonowie tak smutnie zaprezentowali się publiczności, tracił coraz bardziej kredyt i w krainę przeszłości się zasuwał. Zauważono, że ta prawda życia, o którą się upominał w początkach swego wystąpienia na scenę, znikała w mgłach fantastycznych, w pogoni za nadzwyczajnemi, nawet monstrualnemi pomysłami; że uczucie, którem potężnie chwycił za serca współczesnych, przemieniło się u naśladowców w komedję cierpień i smutków; że fantazja, która tak świetnie zaludniła panteon poezji w wielkich dziełach mistrzów, ożywiając abstrakcyjne jego sale, przez poprzedników wzniesione, zawładnęła potem słabym rozumem i urojenia swoje za natchnienia z nieba podawać chciała. W tej krytyce romantyzmu niektórzy zaszli nawet za daleko, jak mianowicie Franciszek Krupiński w artykule: Romantyzm i jego skutki (Ateneum 1876), ponieważ, zestawiając treść utworów nowszej poezji naszej ze smutnemi wypadkami rzeczywistości, obwiniali poezję o to, że stała się przyczyną nieszczęść samych, że idealizowała samych niedorzecznych zapaleńców, same wichrowate głowy, same błahe lub zbrodnicze czyny. W tej napaści krytyk nietylko nie odróżnił odrębnych faz romantyki naszej, - przez co na jednej ławie pomieścił winnych z niewinnymi, - ale nadto zjawiska społeczne nader złożone chciał tłumaczyć zapomocą

jednej przyczyny -egzaltowanej poezji. Zaznaczyć tu wypada, że ta gwałtowna wycieczka przeciwko całemu świetnemu okresowi twórczości naszej nie wyszła bynajmniej z grona owej młodzieży, co napadała na poezję lichą, ale czciła twórczość prawdziwą i widziała już u nas, w Panu Tadeuszu, brzask nowej epoki poetyckiej, w której poezja opierać się ma na zjawiskach rzeczywistości, na odtwarzaniu artystycznem ludzi i wypadków tak, jak się one przedstawiają zdrowemu, poetycznie, choć trzeźwo patrzącemu oku. Już w tym poemacie dostrzegali oni początek realnego w twórczości kierunku, który jest jedynym odpowiednim dzisiejszym usposobieniom i dążnościom. Teorja ta powstała z rozważania literatur obcych i przyczyniła się w znacznej części do wytworzenia działalności twórczej u nas.

Bądź co bądź, jeżeli owa śmiała, a nawet zuchwała krytyka nie wyrugowała całkowicie nędznych produkcyj, to niewątpliwie zmniejszyła ich liczbę. Trudno bezwątpienia wymagać, ażeby młodzieniec lub panienka, naczytawszy się różnych poezyj i wierszy, nie zapragnęli tworzyć sami; byłoby to chcieć zniszczyć instynkt naśladowczy w człowieku, - i teraz więc, jak dawniej, pisze się mnóstwo wierszydeł, co zresztą nie jest rzeczą bardzo szkodliwą samo przez się; staje się zaś szkodliwą, gdy tę skłonność podbudza łatwość druku i zachęta. Otóż pod tym względem widzimy obecnie bardzo wyraźny zwrot ku lepszemu. Pisma nasze obecnie nieporównanie mniej drukują poezyj, aniżeli przed laty piętnastu; można powiedzieć, że dziś tyleż wierszyków zostaje w koszu redakcyjnym, ile ich poprzednio czytelnikom podawano; a to już zysk wielki.

Zanim jednak doszło do tego, toczyła się walka w innym kierunku, a i ona do wywołania powyżej zaznaczonego skutku niemało się przyczyniła.

III.

Od krytyki poezji łatwy dosyć był krok do krytyki wszelkiej powagi, zarówno literackiej, jak i społecznej. Jeżeli to, co najwyższą czcią otaczano dotychczas w literaturze, z powodu niedołęstwa lub niepożyteczności zakwestjonowanem zostało w niezbyt sławnych, "zapoznanych" wieszczach, to sama się przez się nastręczała uwaga: czy i wśród "powszechnie uznanych" pisarzów nie znajdują się tacy, którzy postęp społeczeństwa opóźniają przeważnym wpływem swoim na masy. Począwszy od największych, jacy wówczas istnieli, a skończywszy na niegłośnych wcale, wszyscy niemal pisarze przeszli wtedy przez rózgi krytyczne, któremi ich młodzież, ufna w siebie i przekonana prawie, że od niej się dopiero nowa, świetna era literacka datuje, niemiłosiernie plażyła.

I w tej sprawie również Przegląd tygodniowy kupił około siebie młode i żwawe siły. Wprawdzie opozycja względem powag zaczęła się już była dawniej, mianowicie na polu lingwistyki, ale głosy opozycyjne były odosobnione, musiały szukać ucieczki w oddzielnych broszurach, ażeby swobodnie

się wywnętrzyć, - pisma bowiem dla takich "napaści" zamykały swe szpalty. Dopiero Przegląd tygodniowy, dosyć rzutki od samego początku i chętnie zajmujący się krytyką literacką, dał możność skondensowania się głosom owym i wywierania przez to wpływu nieustannego. Grono ówczesnych współpracowników, pomiędzy którymi najwydatniejsze miejsce zajmowali: Józef Kotarbiński, Juljan Ochorowicz, a wreszcie najzdolniejszy, najostrzejszym stylem władający Aleksander Świętochowski, nie potrzebowało się oglądać na nic w swoich sądach o literaturze. Nie mając stosunków pomiędzy literatami, nie napraszali się nikomu, żyli zdala od nich, zajmując się nauką, nie szukali niczyjej protekcji, nie schlebiali żadnej powadze, która rej w Warszawie wodziła; stąd też słowa tej młodzieży były bezwzględne, ostre, surowe, nie rachujące się z żadnemi konwenansowemi przepisami, - stąd nieraz szorstkie, a nawet grubjańskie. - -

Prasa warszawska i jej przodownicy najczęstszych i najdotkliwszych pocisków stawali się celem. "Pominąwszy, że wiele tego rodzaju publikacyj -pisano tu o prasie- podejmowanych jest u nas z zamiarem prostej handlowej spekulacji; pominąwszy powtarzające się zbyt często fakty tandety literackiej, ważniejszym i zgubniejszym jest obraz nieruchomości, zastoju chińskiego, ślepego uporu do zasad raz przyjętych, chociażby te zasady dawno przez cały świat za niedorzeczne uznane były... Znaczna część naszej prasy, zamknąwszy raz furtkę dla nowych przekonań, spogląda na nie z litością, bezpieczna poza murem swego niedołężnego zasklepienia. Niedość na tem, - żadne z tych pism nie podniosło się nawet do tego stanowiska, ażeby zaprezentować sobą jakiś odrębny kierunek, - wszystkie one mają też same podstawy, też same cele, tenże sam charakter". (Przegl. tygod. 1871, Nr. 16). Patrząc na zjawiska tej prasy, Przegląd chłostał jej zawziętą politykomanję i aktoromanję, a jej współpracowników biczował w charakterystycznie zatytułowanych artykułach: Nule, Pasorzyty literackie, Pleśń społeczna i literacka.

Nie poprzestając na krytykach i artykułach okolicznościowych, Przegląd tworzy z początkiem 1871 roku nową rubrykę w swych szpaltach, p. n. Echa warszawskie, w których bronią ironji, humoru, satyry i sarkazmu stara się "wystrzeliwać maruderów po kątach" i ułatwić krążenie nowych idei w społeczeństwie, o którem się wyraził: "Ziarno nasienia jodły, zarzucone wiatrem na wierzchołek stromej skały lub na szczyt niebotycznej wieży i rozrastające się na twardym kamieniu w bujny krzew, może tylko iść w porównaniu z losami ziarn nauki, kiełkujących tu i ówdzie na kamienistym gruncie naszego społeczeństwa". W tych Echach odzywały się nawet najdrobniejsze grzeszki prasy perjodycznej i podlegały zręcznej, dowcipnie zjadliwej szykanie, w której celował mianowicie Aleksander Świętochowski. Jeżeli strzały z dział grubszego kalibru gniewały dotkniętych autorów, to deszcz pocisków z wiatrówki 8) przyprowadzał wielkich i małych reprezentantów prasy do tej irytacji chwilowej, lecz ciągle się powtarzającej, która dotkliwszą nieraz bywa

od jednorazowego, choćby silnego ciosu. To też, jeżeli dawniej oburzano się niekiedy na artykuły Przeglądu, nie zaszczycano go przecież odpowiedziami, polemiką, choąc zapewne metodą pitagorejską 9) zażegnać licho; ale teraz prażona nieustannie prasa warszawska nie mogła wysiedzieć spokojnie; rozdrażnienie jej wzrastało z każdym numerem Przeglądu, przynoszącym Echa niepoczciwe, które każde jej głupstwo w lot chwytały i powtarzając kilkakrotnie - w karykaturę straszną przemieniały. Chociaż śmiano się niby z "niedowarzonych" słów Przeglądu, z chciwością przecież brano każdy numer, bo się zawsze spodziewano jakiejś niespodzianki. I ci, co przed laty trzema z lekceważeniem patrzyli na niepozorne gronko młodzieży i nie raczyli nawet o niej mówić w pismach, ujrzeli się teraz obsaczeni dokoła; zaatakowani z różnych stron; powaga ich ucierpiała znacznie w opinji pewnej części ogółu, która się zwróciła ku żwawym napastnikom. Przegląd zyskiwał coraz więcej czytelników, stawał się siłą społeczną, której już ignorować nie było można. Interesował, zaciekawiał, dawał do wszystkiego przyprawę z soli nieraz istotnie attyckiej i pieprzu, który niejednemu podniebieniu lepiej od soli, choćby attyckiej, smakuje 10). Zaczęto więc przebąkiwać po cichu o nowej falandze pisarzów, nie zgadzających się ze starszymi braćmi po piórze, owszem, wojowniczo względem nich usposobionej. Zrobiono z uśmiechem uwagę, że ta falanga twardo stoi przy swoich sztandarach, że nie umie gramatyki i że idzie ławą. W uwagach tych, robionych przez najbardziej, a przynajmniej najczęściej dotykanego redaktora Kurjera Warszawskiego, nie było oczywiście słów uznania, owszem znać było rozdrażnienie wielkie i nieprzyjaźń. To wywołało manifest ze strony młodych, który kategorycznie zestawiał dwa przeciwne sobie prądy.

Manifest ten, napisany w ostatnim kwartale r. 1871 przez Aleksandra Świętochowskiego, w samym już tytule mieścił zaznaczenie odrębnego stanowiska, osobnego stronnictwa. Nosił on napis: My i Wy, a był zarówno skargą na niechętne przyjęcie nowego grona pisarzy przez starszych braci, jak i wypowiedzeniem im zawziętej walki: "Wy wszyscy, którym już tylko siwizna i zmarszczki pozostały na obronę zdań własnych, pamiętajcież, na Boga, że i słońce ma swoje południe. Czyż chcecie swój zachód przeciągnąć dlatego, ażeby wschód jak najpóźniej nastąpił? Czyż jeszcze będziecie się upominać o to, że niesprawiedliwie potępiamy was? Czyż kiedy wy, jako ludzie rozważni, doświadczeni, chłodniejsi, wystąpiliście do nas, już nie mówię ze słowami pochwały, ale przynajmniej szczerej sympatji i zgody? Czyż w działaniu naszem uznaliście nas jako cyfrę, którą wciągnąć należało w rachunek ogólny? Czyż uznaliście w nas ludzi, którzy chcą i są zdolni pracować obok z wami? Nic nie zrobiliście z tego wszystkiego, a skarżycie się teraz, żeśmy się sami o swoje upomnieli, źle mówię, - żeśmy się wam pamiętać kazali. Przypuściwszy, że wasza rola jeszcze nie skończona, dlaczegoście nam wszelkiej zaprzeczali? Czy myślicie, żeście wy tylko zaarendowali honor, miłość dobra, poczucia piękna? Czy sądzicie, że młodej piersi wszystko to obce,

że serce nasze nie drga, imaginacja się nie zapala, umysł nie poddaje, a z oczu łzy nie płyną, że nie cierpim, nie kochamy, - a tylko nienawidzim, plwając na wszystko szyderczo?.. Rezerwując sobie swobodę zdania, nam odmówiliście prawa głosu. I dziś skarżycie się, że usta wygłaszają na was tu nowe wyroki? Smutna kolej, smutna chwila rachunku z tymi,którym się zawsze istnienia zaprzeczało. Gdybyście byli odrazu coś ustąpili ze swojej wielkości, gdybyście zgodzili się na to, że i nam wolno przyjąć udział w zadaniach, któreście dotąd sami spełniali, - bylibyśmy dotąd lepiej sobie znajomi; możebyście nauczyli się bezstronności, zapału, ruchu, śmiałości pragnień, a my skorzystali z waszej pomocy i doświadczenia!

W skardze tej mieści się bardzo dużo historycznej prawdy, chociaż wypowiedzianej w sposób zbyt osobisty. Istotnie, gdyby przodownicy czasopiśmiennictwa stanęli byli na wysokości zadania chwili, gdyby wzięli byli w swe ręce i opanowali budzący się ruch postępowy, zapoznając się gruntownie z tem, co młodzież wiedziała tylko po wierzchu i z nazwiska tylko: - cały przebieg nowej walki pojęć poszedłby innym trybem, odbyłby się o wiele spokojniej, oszczędziłby wielu ludziom przykrego błąkania się po manowcach myśli i uchroniłby społeczeństwo, choć w części, od chaosu wyobrażeń, jaki w niem panuje. Ale niestety, ówcześni przewodnicy piśmiennictwa sami dowiadywali się zazwyczaj od młodzieży dopiero o zdobyczach wiedzy tegoczesnej - i choćby chcieli, nie byliby w możności ująć ruchu w karby. Rzecz więc poszła na ostre. Młodzież lekceważona, posądzana o prywatne zawiści, chociaż ich w przeważnej części mieć nie mogła,gdyż nie znała osobiście osób krytykowanych, zawrzała gniewem i i impetycznie do tych powag się odezwała; ciągle akcentując to, że im dobrych chęci nie zaprzecza, że wierzy w ich pragnienie służenia dobru publicznemu. Ale przyznawszy to, nie mogła się powstrzymać od wyrażenia słów odwetu:

; "Widzimy, że was siły opuściły, jesteście sterani pracą i wiekiem, wzrok się wasz stępił na widoki nowe, zmysł stracił poczucie nowych potrzeb, leniwa myśl pozbawiona życia kręci się tylko w kółku dawnych celów, a świeżych rozpoznać nie umie... Całe nieszczęście w tem, że, przeciągnąwszy swój zawód zbyt długo, obok strat zyskaliście jeszcze wadę nałogu - przewodniczenia innym. To was w każdym razie nie tyle broni, ile szkodliwymi i nieużytecznymi czyni.Ustąpcie więc z drogi wszyscy, którzy ją tylko zawalać możecie; inni dopędzajcie tych, którzy od was prędzej biegną ... Bo o cóż najbardziej chodzić powinno każdemu, przyjmującemu na siebie obowiązek przewodniczenia drugim w sferze ducha? Naturalnie, jeżeli tu mamy na myśli swoje społeczeństwo,każdy starać się powinien przedewszystkiem o wywołanie wogóle jak najwięcej sił umysłowych, o przyspieszenie pory jego dojrzałości, o pobudzenie go do pracy, nauki, zrozumienia swego położenia i swoich zadań. Pytamy się: co wyście w tej mierze zrobili, - wy opiekunowie sentymentalnych powieści i zagważdżającej mózgi polityki? Czy to takie mają być tytuły waszej zasługi, takie dowody, które nas mają przekonać o waszej wielkości?"

Najdotkliwiej atoli draśnięci zostali nie starzy już kierownicy prasy, ale ci młodzi jej współpracownicy, co w Kurjerze zwłaszcza i pismach tygodniowych, pisząc drobne wiadomości lub feljetony, zezem patrzyli na krzątających się około rozpowszechnienia nowych dążności... Nazwano ich dawniej pasorzytami literackiemi, a teraz w manifeście potrącono ich niemal z pogardą: "Może nam ktoś powie, że nie szanujemy nawet młodszego pokolenia? Prawda, poco próżniaki i niedołęgi mają wycierać napróżno kąty w dziennikach i, nie dając nic literaturze, marnować czas, który dałby się zużytkować w kierunku jakiego zacnego zajęcia? Czyż i młodzieńczość ma wywoływać w naszem przekonaniu jakieś skrupuły? Zanadto dobrze wiemy, ile takiego tolerowanego zamłodu niedołęstwa kryje się pod łysinami dzisiejszych potentatów, ażebyśmy jeszcze innych do tego zachęcać mieli. Metryka ani nas do ludzi nam zbliża, ani od nich oddala, tylko prawdziwa wartość ku nim pociąga". (Przegląd tygodniowy 1871, Nr. 44).

Tym sposobem rozpoczęła się walka między starymi i młodymi. Okres przygotowawczy skończył się, rozpoczęła się walka o zasady. - -

Jest to wybitnem znamieniem tej fazy rozwoju duchowego, że tylko najogólniejsze zasady, najabstrakcyjniejsze poglądy były silną stroną umysłów młodych, którym ani doświadczenie życiowe, ani nauka dobrze przetrawiona nie dały jeszcze treści do form już gotowych. Domagali się oni od przedstawicieli prasy silnie wyrobionych przekonań - ale sami mieli właściwie jedno tylko niewzruszone, o zdobycie którego ludzkość wieki całe walczyła, t. j. wołali o swobodę rozbioru wszystkich zjawisk, o swobodę badania wszystkich przedmiotów, o swobodę krytyki wszechstronnej i bezwzględnej, bez oglądania się na żadne powagi.

A tymczasem, wypowiedziawszy walkę, trzeba było wystąpić jawnie, z jasno sformułowanemi przekonaniami, potrzeba było pokazać swój program. Do wypełnienia tego zadania, do skupienia na chwilę różnorodnych kierunków myśli przez wynalezienie takiego systemu, któryby całość zjawisk wszechświata w sobie obejmował i dawał rozwiązanie zawiłych zagadnień, posłużył pozytywizm, z którego zasadami bojownicy postępu tymczasem, choć powierzchownie tylko, się zapoznawali.

IV.

- - Trzeba wiedzieć, że jak zwolennicy naszej romantyczności, w pierwszych już latach jej rozwoju, uważali jej nazwę za całkiem niewłaściwą dla nowej poezji, tak też i zwolennicy pozytywizmu niejednokrotnie mówili sobie, że wyraz ten nie przedstawia właściwych cech kierunku myśli, w jakim postępowali. Dlaczegoż wyraz ten jednak przyjęli? Poprostu dlatego, że nie znaleźli lepszego, odpowiedniejszego; a że pozytywizmem na nowo zaczęto się zajmować we Francji i Anglji, sądzili, że należy przyjąć na siebie nazwę pozytywi-

stów, jako nom de guerre 11). Co przyjęli i czego się trzymali w teorji Comte'a, to była zasada, że filozofja musi się opierać na wynikach nauk specjalnych, musi być ich zsumowaniem i uogólnieniem. A że nauki od czasów działalności Comte'a 12), znacznie się w badaniach posunęły, więc też i jego uogólnienia musiały ulec zmianom, nieraz bardzo stanowczym. "Dla pozytywistów - pisano naówczas - powagą jest tylko badacz naukowy, o ile się zajmuje rozpatrywaniem szczegółów nauki, jego specjalność stanowiącej. Co stwierdzone zostało doświadczeniem, to stanowi zasługę i tytuł do nazwy powagi. Wszelkie zaś uogólnienia, jakie stąd wycią - gnąć się dadzą, liczą się już na karb osobistości ich autora; mogą być słuszne lub fałszywe, ale w niczem pozytywisty nie obowiązują. Pozytywistą można pozostawać nawet wtedy, gdy się ktoś nie zgadza ze szczegółowemi uogólnieniami czyto samego Comte'a, czy też innego filozofa z tego kierunku. Każdy odpowiada tu za siebie i błędy jednego nie dadzą się przepisać na stronę pasywów samej nauki pozytywnej. I to stanowi właśnie całą potęgę i wieczną żywotność pozytywizmu. Nie lęka się on ani swoich wyznawców, ani swoich wrogów. O własnej sile, a raczej o sile wszystkich ludzi, zgłębiających naukę, dąży do zdobycia prawdy, ufny w nieomylne zwycięstwo. Porażka jednego jego ucznia nie zachwiewa jego podstaw; wyjęcie jednej cegiełki nie rujnuje całego gmachu. To, co jest osobistem, przemija; co dobrem ogólnem - zostaje i trwa". Tyle co do strony teoretycznej; co się tyczy praktycznej, oto jak wykładano naówczas znaczenie pozytywizmu: "Opierając moralność swoją na pogodzeniu interesu osobistego z interesami ogólnemi, pozytywizm nietylko nie usunął surowych obowiązków względem ogółu, lecz owszem - pierwszy wygłosił i uzasadnił pojęcie tych obowiązków. Jeżeli potrzeba oddać część, a nawet całość swego interesu na korzyść ogólną, to się nazywa w pozytywizmie nie poświęceniem, lecz spełnieniem właśnie obowiązku. Zdarzają się bowiem i takie okoliczności, w których człowiek działa w interesie dobra ogólnego, nie zważając na swój własny interes, ani na swoje sympatje, nie mając większej wyrozumiałości dla siebie lub dla swoich przyjaciół, niż dla każdego innego człowieka, myśląc tylko o pożytku wspólnym, jaki spłynie z jego czynu dla samego społeczeństwa, teraz czy później. I wówczas robi to bez hałaśliwych wykrzykników, nie przybierając bolejącej miny ofiary, nie namaszczając swych skroni chryzmatem nad - ludzkiego poświęcenia".

Wtedy to teorja Darwina, ekonomika społeczna, dążności praktyczne do podniesienia dobrobytu kraju, uprawa nauk przyrodniczych i technicznych weszły do hasła, jako składowe części pozytywizmu, i były temi przedmiotami, któremi się najchętniej młodzież zajmowała, usiłując pociągnąć ku sobie światłą część publiczności. "Nigdy nie widziano - wołali pozytywiści - aby naród ubogi, niezasobny w zapasy materjalne, pozbawiony dobrodziejstw szeroko rozwiniętego przemysłu i handlu, doszedł do wysokiego wykształcenia, wydał z łona swego znakomitych uczonych, artystów, poetów. I naodwrót, wzrost nauk i sztuk ma się w stosunku prostym do wzrostu dobrobytu materjalnego. Mogą się naturalnie pojawić wyjątki

w zakresie jednostek, ale nigdy w zakresie grup społecznych... Nauki specjalne oddają spoza przeczone usługi materjalnemu rozwojowi społeczeństwa; pozytywizm, na tych warunkach budujący swoje uogólnienia, popierać musi również i ich rezultaty: czyni to świadomie z przewidywaniem wszystkich możliwych skutków. Uznaje razem z innymi, że nabytki duchowe ludzkości są najwyższą jej chwałą i najwznioślejszą cechą; nie może przecież uznać, że nabytki te dadzą się zdobyć bez podstawy materjalnej. Jeżeli zapatrywanie się to jest fałszywe, pozytywizm nie ma racji bytu; jeżeli zaś jest prawdziwe, okazuje się on jedynym świadomym celu przewodnikiem w krainie myślenia i działania. W naszych czasach, w których zakwestjonowano tyle prawd, w których codzień nowy jakiś przewrót w myśleniu czuć się daje, roz - strzygnięcie powyższego dylematu jest rzeczą niemałej wagi. Lekceważąco zbywać go niepodobna; drwinami nikt tu nic nie dokaże; bo nie jest to ani urojenie szkolarskiej fanfaronady, ani też szumowiny wrzątku myśli społecznej, ale przekonanie, które wszystkiemi porami wciska się do organizmu duchowego, wołając o urzeczywistnienie. Jeżeli czujemy, że masy coraz bardziej interesują się własnemi sprawami, musimy zgodzić się na wniosek, że nie czas przykrywać światła korcem. Od początku bowiem życia historycznego masy staczają głównie walkę o dwie rzeczy zasadnicze: o coraz większy krąg światła wiedzy i o coraz obszerniejszy zakres samoistnej działalności. Prawie aż do najnowszych czasów nieporównanie liczniejsza cyfra ludności w krajach, mieniących się cywilizowanemi, była odsunięta od dobro - dziejstw nauki i od praw samoistności. Dziś nawet istnieje jeszcze przekonanie, że oświata nie wszystkim wychodzi na zdrowie, że samodzielna czynność prowadzi nieukształconych lub półukształconych na bezdroża demoralizacji. Pozytywizm pragnąłby znieść zaporę, odgradzającą uprzywilejowanych od upośledzonych, i to za pośrednictwem poprostu - nauki; chciałby rozpowszechnić do najszerszych granic tę myśl, że oświata dla wszystkich jest konieczna, zbawienna; że jedynie samoistna działalność mas może przynieść skutki najpożądańsze. Oczywiście nie może liczyć na poparcie ze strony uprzywilejowanych, którzy, korzystając z zapewnionej sobie ciepłej wygody, ruszać się z miejsca nie myślą. Zwraca się więc do mas, rachując na świeże ich siły i na bezstronne umysły. Kto pragnie oświaty dla wszystkich, ten zapewne nie własny swój interes ma na pierwszym planie i prędzej czy później musi zyskać dla siebie szacunek".

Dla nadania sobie pewnej powagi, wykazując, że już w przeszłości u nas z podobnego stanowiska na rzeczy filozoficznie patrzano, obrano sobie za krajowego patrona Jana Śniadeckiego, który otwierał "erę sumiennej pracy filozoficznej, szukającej nie popisu, lecz pozytywnych rezultatów". Chcąc zaś uniknąć zarzutu zacieśnienia się w pewnem, ściśle określonem kółku systematu, pozytywiści mówili, że popularyzując wyniki badań naukowych, nie lekceważą i nie potępiają zgóry ani jednego objawu, jaki życie "ze sobą przynosi". (Pozytywizm i pozytywiści, Niwa 1873, Nr. 29).

Juljan Ochorowicz.
O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologji.

Otóż tak mniej więcej pojmowany pozytywizm użyty został na sztandar, około którego skupiło się grono młodzieży, nazywającej i nazywanej pozytywistami. - -

---

1) Pierwsze cztery (skrócone) rozdziały książki "Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu" (1881).

2) Po włosku = "nic nierobienie", próżnowanie, nieróbstwo.

3) Warszawsko-wiedeńskiej.

4) T. j. rocznica utraty niepodległości (charakterystyczny tu styl autorów, zmuszonych pisać pod jarzmem cenzury rosyjskiej).

5) Por. na ten temat - zamieszczone tu przedtem rozprawki ówczesnych historyków t. zw. "szkoły krakowskiej", Kalinki i Szujskiego.

6) Jako całość.

7) Ssaki, płazy, owady.

8) Strzelby dziecinnej, pukawki.

9) T. j. przemilczania.

10) Sól attycka = dowcip wykwintny, t. j. taki, jaki właściwy był dawnym Ateńczykom.

11) = imię bojowe.

12) 1798 - 1857.

J U L J A N O C H O R O W I C Z (1 8 5 0 - 1 9 1 7).

O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologji (1877)1).

Poezja liryczna należy do najpopularniejszych działów sztuki. Równie dostępna dla różnych stopni rozwoju umysłowego, jak muzyka lub malarstwo, a łatwiej i jeszcze zrozumialej przemawiająca do duszy, była liryka zawsze wyrazem ludzkich cierpień i radości, echem życia i wspomnień, zapowiedzią nowych uczuć i pragnień. Ci zaś, którzy tę potrzebę duchową ludzkości zaspakajali, cieszyli się zawsze uznaniem, nietylko gorącem, ale i stosunkowo długotrwałem - może nawet dłuższem ci, którzy przy mniejszym talencie umieli się lepiej dostrajać do wymagań duszy tłumu prostotą niewybrednej formy. Niemniej jednak i w niższych i w wyższych dziedzinach twórczości głos powszechny przypisywał im "na-

tchnienie z nieba". Nikt nigdy nie utrzymywał, że można "nauczyć się być poetą" - wierzono tylko, że można wykształcić lub zaniedbać "dar z bożej łaski". Trzeba było urodzić się poetą. Coprawda, jak we wszystkiem, tak i tutaj, życie nie zna stanowczych granic i bywało zawsze więcej powołanych, niż wybranych. Z ludzi wybitnych mało kto nie pisał wierszy w młodości - pewna doza poezji musiała tkwić w duszy każdego z tych młodzieńców, którzy do czegoś wielkiego dojść mieli, ponieważ nie co innego, tylko tchnienie pewnej wrodzonej poezji dawało im siłę do wzniesienia się ponad życie powszednie, w jakimkolwiek kierunku, i wytrwałość w poszukiwaniu celów wyższych. Potem, ten młodzieńczy wyraz nadmiaru sił lepszych, rwących się do czynu i do sławy, w jednych zanikał, ustępując miejsca innym, głębszym z natury lub prozaiczniejszym aspiracjom; u innych, mniej licznych, rozkwitał i dochodził do pełnego rozwoju, zaćmiewając inne kierunki i uzdolnienia i tworząc już tylko poetów.

O tych właśnie mówić mamy, a celem naszym będzie uprzytomnienie sobie tych swoistych różnic psychologicznych, niezbędnych i wystarczających dla stworzenia poety, różnic, rzucających pewne światło na warunki twórczości poetyckiej. Ponętne, ale niełatwe zadanie. Wymaga bowiem sondowania tych głębin duszy ludzkiej, które zazwyczaj nie dopuszczają światła dziennego, a oświetlone, migocą tysiącem barw, niełatwych do ujęcia i określenia.

"Oko ducha -mówi Wiktor Hugo- nie może znaleźć nigdzie więcej blasków, więcej cieniów, niż w człowieku"... "Znam widok wspanialszy, niż morze - jest nim niebo; znam widok wspanialszy, niż niebo - jest nim wnętrze duszy ludzkiej".

Wielki poeta powiedział prawdę. Wszakże to wszystko, co w nauce i sztuce podziwiamy, jest dziełem tej duchowej pracowni, do której wstęp mają: ksiądz, poeta i ... psycholog. Niechże więc i nam wolno będzie zajrzeć w to tajemnicze źródło wielkich słów, z których mają powstawać wielkie czyny, a przynajmniej wielkie wzruszenia...

*

* *

Pierwszym warunkiem organizacji poetyckiej jest odpowiednio spotęgowana wrażliwość.

Nazywamy nią zdolność przyrodzoną, której się nie nabywa, lecz odziedziczaj, zdolność łatwego ulegania pobudzeniom zewnętrznym. Wszystkim wiadomo, czem są osoby tak zwane nerwowe, które lada szmer niespodziany o drżenie przyprawia, w których powietrze przed burzą, naładowane elektrycznością, obudza niepokój, którym lada silniejsze wrażenie szkodzić może, rozstrajając nerwy, a nawet sprowadzając chorobę. Lecz czy takie usposobienie nerwowe zawsze stanowi jeden ze składników poetyckiej organizacji? Bynajmniej. Istnie-

je bardzo wiele osób nerwowych, u których nawet śladu weny poetyckiej nie spotykamy, a natomiast wielu pierwszorzędnych poetów nie ulega wcale okrzykom nerwowym, gdy ktoś pięścią w stół uderzy, albo gdy wiatr zawieje w kominie. Widocznie więc, jeśli wrażliwość jest jednym z warunków natury poetyckiej, to nie w tem ogólnem znaczeniu nerwowej pobudliwości. Wrażliwość poety musi mieć specjalny charakter.

Zobaczmyż, jakim on będzie?

Poeci zasługują nieraz na nazwę zimnych i obojętnych, ponieważ niezawsze dają poznać to, co czują. Widocznie więc wrażliwość ich ma charakter głębszy; ale to nie jest to głębokość trwała. Jeżeli z jednej strony istnieją ludzie nerwowi, których wrażliwość jest tylko powierzchowną, jeżeli z drugiej strony istnieją inni, którzy, przy braku pozorów, wchłaniają w siebie wrażenia, aby je bardzo długo, skrycie, w głębi duszy przechowywać, pozwalając im tam nurtować i trwać bez poczucia potrzeby wylania się w jakikolwiek bądź sposób, to ani taka wrażliwość zewnętrzna, powierzchowna, ani taka głęboka, lecz utajona i trwała, nie jest właściwym przymiotem poetów. Pierwsza byłaby zbyt lotna, dorywcza i gadatliwa, druga zbyt stała, monotonna lub niema.

Wrażliwość poety musi być głęboka, ale zarazem zmienna, "co on czuje, inni uczuć chcieliby daremnie", ale też on czuje szybciej, bo różnorodniej. Rzeczy i ludzie, wypadki i wspomnienia, wszystko to silniej wnika w jego serce, wyciskając swe piętno, ale nie to piętno martwe, bierne, które, do podziwu tylko prowadzi, lecz żywe, ruchliwe, które, jak kameleon, mieni się i zaciera, aby nowe do życia powołać. - -

Poeci oddają nam wrażenia, których im świat dostarczył, oddają nam często czystsze i wspanialsze, a ta wymiana, to pośrednictwo jest pasmem przeobrażeń wewnętrznych, wzbogacających ogół, wyczerpujących poetę. Głębokość a zarazem zmienność owego "wielkiego uczucia" trafnie maluje Wiszniewski w swoich "Charakterach rozumów ludzkich" 2): "Człowiek z genjuszem ma mocniejsze od innych czucie, które za każdą myślą z szybkością błyskawicy aż do głębi serca dochodzi... Wszystko, co go otacza, mocniejsze na nim czyni wrażenie; każda większa myśl zapala go i unosi. Najmniejsze słówko pochwycone przeobraża się w nim szybko na myśl i uczucie, sięga aż do dna duszy, krąży z szybkością błyskawicy, wszystkie tajniki umysłu i serca przebiega, obudza roje myśli i rozliczne uczucia, wprawia w ruch wszystkie siły umysłu i, jak wetknięty kij w wielkie mrowisko, długie i nieprzewidziane w całej duszy jego sprawia wzburzenie"...

Porównanie nieco grube, ale dobitne. Autor mówi jeszcze w innem miejscu o wrażliwości poetyckiej: "Opisując rzeczy świata otaczającego, poeta okazuje rysy i kształty, które przed okiem naszem zawsze wymykały się, i odsłania przymioty, okoliczności i stosunki, około których tysiąc razy krążyliśmy, a nigdy ich nie dostrzegli. W zwierciadle jego duszy wszystko innych nabiera wymiarów, zdumiewa, zachwyca i porywa".

Nie jest to więc owo pospolite spotęgowanie wrażliwości, nie jest to owa czysto zmysłowa pobudliwość, lecz raczej pobudliwość wyższego rzędu, nietak łatwo w grę wchodząca, wybredniejsza, duchowa, którą Małecki nazywa "poetycznem na świat spojrzeniem", a którą zwykle mianem estetycznego poczucia określają. Jeśli więc Brodziński odsądza od miana poety tego, "czyje ucho nieskłonne do Apolla dźwięku", to zaraz dodaje, że chodzi tu o wrażliwość głębszą,niż ta, którą posiadać może ucho, że chodzi tu o tego, "komu nie drży o serce głos czarownej struny", i o tym ma prawo powiedzieć, że "nie zna drogi do serca, obce mu są kraje, w których skrzętna bogini błogie sny podaje".

Z naszych poetów Mickiewicz i Słowacki w wysokim stopniu posiadali tę prawdziwie poetycką wrażliwość; śmiem nawet twierdzić, że u Słowackiego była ona żywsza, bujniejsza, choć zato i kapryśniejsza zarazem. Słusznie mówi Małecki, że "przed jego okiem widne były wszystkie tęczowe barwy poezji, rozlanej po rozłogach życia ziemskiego. Najniklejsze, najtajniejsze objawy jej przytomności pomiędzy nami mówią do jego wyobraźni: jesteśmy! Gdzie wzrok zwyczajnego usposobienia nie widzi nic, jak pospolite kształty żywota,gdzie ucho najczulsze nie słyszy, jak tylko rytm powszedniego toku wydarzeń, Słowacki tam umie dopatrzyć i dosłuchać się jakby ostatnich westchnień tęsknych tej melodji, która w poranku dziejów ludzkości była regulatorem życia na ziemi, a dziś już prawie zupełnie się wyniosła z obszarów bytu rzeczywistego. To też, za dotknięciem jego ręki, przemienia mu się wszystko jakby w jakiś eter powiewny".

Błyskotliwość jego wrażliwości, a zarazem większa jej moc, sprawiały tę nadmierną podatność na wrażenia, tę bezustanną walkę wewnętrzną, wynajdywanie udręczeń w najprzyjaźniejszych nawet warunkach, wreszcie tę szorstkość obejścia, którą Słowacki dzielił z wielu innymi poetami, a która mu tak łatwo narażała i zniechęcała ludzi. Dumny odrębnością i wyższością swego uczucia, nie mógł zmusić innych do podążania za jego wrażeniami i wiecznie czuć musiał pewien rozbrat pomiędzy własnem sercem a jego prozaicznem otoczeniem. Dziecięciem jeszcze budził trwogę w sercu matki na widok burz wewnętrznych, które się w bladej jego twarzy odbijały -

i myśląc o synu,
Nie śmiała wyrzec: Niech się dzieje wola Boga!
Bo w czarnych oczach dziecka płomień gorączkowy,
Przedwcześnie zapalony, trawił młode życie...

A później, równie przedwcześnie dojrzały uczuciem,żądał wzajemności takiej, jakiej znaleźć nie mógł, i upokorzony, z "sercem jak kryształ w setne porytem skazy" wszystkie uczucia swojego skarby "ognistej wyobraźni rzucił na pożarcie". I nie dziw, że wyobraźnia ta pod wpływem tylu głębokich i jaskrawych wrażeń "w złote rozkwitała farby i kładła się, jak tęcza, na ksiąg białej karcie".

O twórczości poetyckiej ze stanowiska psychologii.

Wrażliwość Mickiewicza o wiele była spokojniejsza. Umiał on lepiej od Słowackiego panować nad wpływami wrażeń, a błyski jego wyobraźni długo kryły się w głębi duszy, za chmurami marzeń, zanim przybrane w czyste i miarowe kształty, ukazały się ludziom spokojne, pełne i harmonijne. "Wszystko takem napisał, jak tu do was gadam", mówił poeta sam o sobie. On nie wybuchał jak wulkan, lecz jak słońce oświecał. I tylko część tych jasnych promieni rozsiewała jego wola wśród ludzi. Choć "czuł za miljon", w pieśniach zawarł tylko tyle uczucia, "ile krwi ludzie dojrzeć mogli w jego twarzy". Reszta została w sercu. I jeśli Słowacki wołał w uniesieniu:

"Kto chce w pioruny wstąpić i w błyskanie,
"I śnić to, co ja śnię - niech przy mnie stanie",

to Mickiewicz w spokoju swym wymagał więcej:

Chcąc mnie zrozumieć[3], nie ze mną trzeba być, lecz we mnie".

Wymagał zbyt wiele - bo rozumieli go wszyscy - ale to pewna, że takiego wylania uczuć, wylania w tak świetnej formie, z takiem olbrzymiem bogactwem "duszy rwanej w kawały" i rzucanej nam na strawę duchową - że takiej formy poetyckiej, jaką władał Słowacki, mógłby mu nawet Mickiewicz pozazdrościć. I dosyć było stanąć przy nim, ażeby ujrzeć te pioruny i to błyskanie, które duch jego wokoło siebie rozsypywał - a rozsypując, cierpiał. Burza, jaką czuł w sobie, huczała i w pieśniach jego - Mickiewicz przeciwnie, wpierw ją w sercu tłumił, zanim do braci przemówił.

Gdy mnie spokojnym zowią dzieci świata,
Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
I obojętna duma, jak mgły szata,
Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem:
I tylko w nocy - cicho - na Twe łono
Wylewam burzę we łzy roztopioną.

(Rozmowa Wieczorna).

Tak roztopiona burza nie straszyła ludzi, budziła tylko poczucie wyższości. Wzrok jego, nie będąc groźną przestrogą dla matki, umiał przecież ujmować ludzi siłą spokojnego a głębokiego uczucia. "Wejrzenie Mickiewicza - mówił jeden z bliższych jego znajomych - było przeciągłe, długie, raczej rozważne, niż przenikające. Kiedy kogo słuchał, raptem dziwną błyskało iskrą, kiedy zabierał się do odpowiedzi, zdawało się, że wszystko wtedy, co widział lub słyszał, w jedno zbierało się ognisko; a ile razy w rozmowie z kimś obcym myślą jaką był uderzony, czynił nagle zwrot sam do siebie, podnosił głowę, oko się mgłą okrywało i, przez czas jakiś nieruchome, pokazywało się po chwili, jakby ogniem i życiem do własnego wnętrza było zwrócone". - -

Ale nawet najlepiej rozwinięta wrażliwość, zarówno ogólnie zmysłowa, jak i czysto estetyczna, nie wystarczyłaby nigdy poecie do zebrania tych wszystkich wrażeń,które w skład jego fantazji wejść muszą, jeżeli ma się stać mistrzem, panującym nad sercami ludzi. Wrażliwość zmysłowa daje tylko powierzchowne świata odbicie, daje tylko zapas bardzo różnorodnego materjału, ale nie sięga głębiej, nie sięga do najbogatszego źródła poezji: do serc ludzkich. Wprawdzie wrażliwość estetyczna przebiera ten różnorodny materjał, wybiera co lepsze i przydatniejsze, wprawdzie umie ona odczuć nawet to, co dla wrażliwości zmysłowej jest niedostępnem, ale będzie to zawsze tylko zebranie form, objawów, pozorów, nie zaś treści wewnętrznej, która ożywia dusze pokrewnych nam istot: uczuć, marzeń, pragnień, namiętności. Chcąc ten szacowny materjał posiąść, poeta musi posiadać inną wrażliwość, którąby mu pozwoliła odczuwać stany duchowe wesela, żalu, rozpaczy, miłości, przerażenia, upojenia lub przygnębienia u innych istot, nietylko te, których sam doświadcza, ale i inne, bezpośrednio dla niego niedostępne. Takie odczuwanie różnorodnych obcych stanów duchowych, bez którego nie byłoby prawdy w osobach i przejściach moralnych, odtwarzanych przez poetę, nazwałbym " "współczuciem psychologicznem". Jest ono rozszerzeniem doświadczenia własnego, jest drogą do serc innych, jest więc dla poety skarbem nieocenionym i niezbędnym.

Dziwimy się, jakim sposobem taki Schiller w dziewiętnastym roku życia mógł napisać Zbójców; jakim sposobem mógł tak poznać serce ludzkie w demonicznych jego wybuchach, równie jak w idealnej miłości. Przez jaką cudowną władzę powieściopisarz, który nie był zbrodniarzem, który nawet nigdy nie widział spełniającej się zbrodni, umie jednak malować ją z tak uderzającą prawdą?... Wszystko to tłumaczy nam psychologiczne współczucie. Powieściopisarz lub dramaturg nie doświadczył nigdy uczuć idącego na śmierć zbrodniarza, ale czuł żal i obawę, wstyd i niepokój, gdy nieraz, dzieckiem jeszcze będąc, obciążony jakimś grzechem dziecinnym, stawał przed ojcem karzącym i gniewnym... Nie był złodziejem - ale czuł, jak mu serce silniej uderzało, gdy chc chciał komuś figla wypłatać. Nie był matką, której dziecię umiera z głodu, ale czuł boleść i smutek, gdy najmilsze jego dzieło sponiewierał zjadliwy krytyk....4)

Jednem słowem zdolność odczuwania różnorodnych stanów duchowych na podstawie własnych przejść może poecie otworzyć wrota do wszelkich tajemnic ducha, jeśli tylko ma serce i umie "patrzyć w serce".

A nie jest to bynajmniej zdolność pospolita. Tysiące ludzi czują, co im dolega, a nie czują, nie pojmują nawet tego, co dolega innym. Czuć i współczuć - są to dwie rzeczy bardzo różne, choć jedna wypływa z drugiej. Ale i współczucie może być podwójne: tego, o którem mówię, nie należy mieszać ze współczuciem moralnem, pospolicie litością nazywanem.

Inna rzecz jest współczuć czyjejś nędzy lub boleści poczuciem moralnem, które prowadzi do ofiary, do jałmużny, ubolewań, pociechy, a inna współczuć psychologicznie, przedmiotowo, dla samej potrzeby poznania i odczucia. W tym razie poeta jest tylko psychologiem intuicyjnym, termometrem cudzych uniesień.

Dlatego to tak często w życiu doznajemy zawodu, gdy poznamy bliżej poetę, którego cudowne, rzewne, miłością ogółu natchnione pieśni zachwycały naszą duszę. Sądziliśmy, że i w człowieku, tak jak w pismach, znajdziemy wylanie serdeczne, gotowość do usług, do współczucia przynajmniej, jaką nam pisma jego przewidywać pozwalały - a tymczasem poznajemy człowieka chłodnego i szorstkiego, który nas odpycha kapryśnem obejściem, który się zapala i unosi, ale tylko dla utworów swej fantazji. - -

Uczucia poetów są głębokie, wstrząsające, wyraziste, ale - ulotne, jeśli zaś bywają stałe, to tylko wtedy, gdy przedmiot drogi widziany jest z oddalenia przez pryzmat wspomnień i marzeń.

Albo też wspomnienia są materjałem par excellence 5) poetycznym. Rzeczywistość chwili obecnej ma zawsze zbyt ostre zarysy, zbyt wiele prozaicznej przymieszki, ażeby mogła wprost wejść w skład poetycznego arsenału artysty. Dopiero, gdy przez zacieranie i zlewanie się wyobrażeń, pospolite rysy znikają, piękniejsze występują w mgle eterycznej, poetyczne drobiazgi żyją i tętnią i świecą, a prozaiczne akcesorja jak plewy odpadają od ziarna pamięci, wtedy myśl poety prowadzi nas coraz dalej "smugiem fal" i płyniemy swobodnie ponad rzeczywistością "w ciszę - jasność - w błękit - w dal".

Wód zwierciadła, gór widziadła,
Ziemia, niebo, jeden kraj!
Rzeczywistość się pomału
W świat przemienia ideału
W sen ze srebra i kryształu.

(Krasiński).

Tak samo zidealizowania i zatarcia jaskrawych cech potrzebują uczucia i wzruszenia życiowe poety. Gdy miłość jest w pełni rozwoju, gdy poeta przejęty gniewem, nienawiścią, rozpaczą lub innem jakiem uczuciem, wówczas dopiero zbiera się materjał dla twórczości, o samej twórczości jeszcze niema mowy, ona potrzebuje uspokojenia, ciszy, oddalenia, perspektywy, uroku wspomnień.

"W chwili natchnienia człowiek nic nie tworzy,
Śpiewa dopiero, gdy natchnienie znika".

* * *